

CICHA PRZEMOC
Dzieci za dobrze
wychowane

RURA INNEJ ERY
Nord Stream
dzieli Niemców

POST ZDALNY
Nasza asceza
trwa od roku

DALEJ JEST SPÓR
Dwugłos po procesie
badaczy Zagłady

KRÓLOWIE ŚNIEGU
Czy alpinści
lubią góry

Kraków 21 lutego 2021 nr 8 (3737)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne

www.TygodnikPowszechny.pl

Państwo-Kościół nowy rozdział

Rafał Matyja:

POLSKA BEZ ŁASKI

O. Maciej Biskup:

SZAFARZE WŁADZY

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



KTÓŻ ZDOŁA SIE OSTAĆ?

FESTIWAL NOWE EPIFANIE 2021

ORGANIZATOR



Centrum Myśli
Jana Pawła II

Institucja Kultury
m.st. Warszawy

MECENASI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Odnowienie na cześć
Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących
z Fundacji Promocyj Kultury



Projekt współfinansuje
m.st. Warszawa

PARTNERZY

SZA
NIAW
SKI

POTEM
o-tem

fundacja
na
marginiesie

Teatr
Horzycy

teatr
miejski
w GŁĘBICACH

TEATR
SOHO

TEATR
LOGIA

TEATR
SOHO

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

TEATR
LOGIA

PATRONI MEDALNI



dwójka
POLSKIE RADIO

KULTURA

TEATR

e-teatr.pl

teatralny

KS. ADAM

Boniecki: Modele i życie

Z A DR. HAB. SŁAWOMIREM SOWIŃSKIM Z INSTYTUTU POLITOLOGII UKSW I CZŁONKIEM ZESPOŁU LABORATORIUM „WIEZI” PRZYPOMNĘ, ŻE ZE SKOMPLIKOWANEJ polityczno-religijnej historii zachodniej Europy wyłoniły się trzy modele relacji państwo–Kościół: model ostrej separacji między państwem a Kościołem, model autonomii i współpracy państwa z Kościołem, który przyjąć może odmianę Kościoła popieranego lub uznanych społeczności wyznaniowych, i model Kościoła państwowego lub narodowego.

U nas mamy model autonomii i współpracy. Podstawą dlań są zapisy konstytucyjne i umowy, zwłaszcza konkordat. Określa się ten model mianem „przyjaznego rozdziału”, choć – według prof. Sowińskiego – precyzyjniej byłoby mówić o „publicznej wolności religijnej”. Przez świeckość państwa rozumie się tu neutralność światopoglądową, nie zaś antykościelny laicyzm. Ten model, siłą rzeczy, sprzyja napięciom i konfliktom dotyczącym granicy między dopuszczalnym i pożądanym publicznym zaangażowaniem Kościoła a jego autonomią wobec instytucji władzy i neutralnością światopoglądową państwa.

Tyle o modelach, bo na pisanie o ich zastosowaniu brak tu miejsca, zresztą mnóstwo o tym napisano. Ja tymczasem chciałbym wrócić do kilku wspomnień.

Wspomnienie pierwsze: 14 kwietnia 1950 r. pomiędzy przedstawicielami władz i Kościoła katolickiego zostało zawarte porozumienie regulujące funkcjonowanie Kościoła w PRL-u. Dokument powstał z inspiracji prymasa Wyszyńskiego. Chociaż podpisanie go nie zahamowało represji wobec Kościoła, to w późniejszych sporach stało się ono punktem odniesienia.

Drugie: 18 listopada 1965 r. polscy biskupi z okazji zbliżającego się Milenium skierowali list do biskupów niemieckich („przebaczymy i prosimy o wybaczenie”). Władze PRL zawrzały oburzeniem, że Episkopat ośmielił się włączyć w działania międzynarodowe, i odmówiły wizyjowych wszystkim zaproszonym na uroczystości milenijne biskupom.



Trzecie: w 1990 r. rozmawiałem z prymasem Józefem Glempem o przywróceniu lekcji religii do szkół. Prymas przyznał, że ta decyzja zaskoczyła go i zaniepokoiła, bo w tamtej chwili Kościół w Polsce nie miał przygotowanego do nauczania w szkołach personelu. Ale – wyjaśnił kard. Glemp – jak można było odmówić takiego daru ofiarowanego Kościołowi?

Porozumienie z 1950 r., krytycznie oceniane w Watykanie, zawarte w kontekście ostrej separacji państwa i Kościoła, wręcz walki z Kościołem, okazało się znakomitym posunięciem strategicznym.

List do biskupów niemieckich stał się doniosłym wydarzeniem dyplomacji publicznej. Kościół w państwie systematycznie go eliminującym z życia publicznego, spełniając swoją misję, odegrał ważną rolę w wymiarze międzynarodowym.

Przywrócenie lekcji religii do szkoły, motywowane chęcią naprawienia jednej z krzywd wyrządzonych przez PRL ludziom wierzącym, okazało się darem ponad siły. Dziś np. Urząd Miasta w Kielcach informuje: „W obecnym roku szkolnym z udziału w lekcjach religii zrezygnowało aż 2023 licealistów – na 6474 przyjętych. To ponad 31 procent”.

Konkluzja, wydaje mi się, jest taka: prawne określenie relacji państwo–Kościół jest bardzo ważne, ale samo, nawet najlepsze, na wiele się nie zda, bo o funkcjonowaniu tych relacji ostatecznie decydują ludzie odpowiadający za obie instytucje.

Na wezwanie: „Musimy bronić polskich kościołów za wszelką cenę. Wzywam wszystkich członków Prawa i Sprawiedliwości i wszystkich, którzy nas wspierają, do tego, by wzięli udział w obronie Kościoła, w obronie tego, co dziś jest atakowane” – Rada Stała Konferencji Episkopatu Polski odpowiedziała, że dziękuje, ale „nikt nie potrafi lepiej obronić Kościoła i obiektów sakralnych niż wspólnota wierzących”. A służbom porządkowym wyjaśniła, że „Kościół chce pozostać otwarty dla wszystkich ludzi, niezależnie od ich przynależności w życiu społecznym i politycznym”. I to była bardzo dobra odpowiedź. © P

„Święta spotkania” – wydania specjalnego
w interpretacji znakomitych lektorów
– słuchaj w aplikacji Audioteka.

TYGODNIK
POWSZECHNY

▶ audioteka



22 Polska bez łaski

RAFAŁ MATYJA

Musimy wypełnić z życia społecznego paternalizm. Nowe relacje państwa z Kościołem to tylko jeden z wymiarów takiej zmiany, ale z różnych powodów kluczowy.



26 Szafarze władzy

ROZMOWA Z OJCEM MACIEJEM BISKUPEM:
Tematy moralne są przez polityków wykorzystywane tylko do tego, by podburzać nastroje społeczne. A Kościół w tym aktywnie uczestniczy. To przerażające.

46 Rura, która dzieli Niemcy

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Politycy, eksperci, ekologodzy – coraz więcej grup w RFN domaga się wstrzymania budowy gazociągu Nord Stream 2. Aby do tego doszło, zdanie musi zmienić także Angela Merkel.



72 Pożegnanie z Wisławą

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

W szpitalu powiedziała, że miała bardzo ciekawe życie, dużo przyjaciół – i że się kurczowo tego życia trzymać nie będzie.



36 Istnieje życie

PIOTR SIKORA

Już od prawie roku mamy niezwykle wielki post. Nie potrzebujemy dodatkowej ascezy.

64 Dobre imię

MICHAŁ OKOŃSKI:

Nieprawomocny wyrok kwestionujący jeden akapit z antologii „Dalej jest noc” nie oznacza zakwestionowania tysiąca siedmiuset stron.

66 Kwestia standardów

WOJCIECH PIĘCIAK:
W sprawie cywilnej przeciw Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu sąd rozczarował obie strony sporu.



86 Metanoja

MAREK RABIJ

Pierwsze zimowe wejście na K2 symbolicznie zamyka epokę alpinizmu heroicznego. A w dużej mierze również urojonego – tak jak chybiona jest sama wizja góry jako wroga czy też łupu.



6 Prawica: ani porozumienia, ani zjednoczenia
ANDRZEJ STANKIEWICZ

7-11 Obraz tygodnia

19 Tygodnik czytelników

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

22 Polska bez łaski
RAFAŁ MATYJA

26 Szafarze władzy
ROZMOWA Z O. MACIEJEM BISKUPEM

28 Za górami, za wieżami
MARCIN ŻYŁA: Czy wieże i platformy widokowe na szczytach Beskidów nie popsują krajobrazu?

30 Długi marsz
ROZMOWA Z JAKUBEM WIECHEM, EKSPERTEM DS. ENERGETYKI

■ ■ WIARA

36 Istnieje życie
PIOTR SIKORA na *Wielki Post*

40 Katolik w Gabinetie Owalnym
ZUZANNA RADZIK:
Prezydentura Joeego Bidena stawia pytania, czy katolicki polityk może mieć inne zdanie niż biskupi

42 Kłopoty z Marią
MARCIN MAJEWSKI:
Wątpliwości co do tożsamości przyjaźni Józefa rozstrzygnięte

43 Ziemia Abrahama
BARTOSZ HLEBOWICZ o planowanej wizycie Franciszka w Iraku

■ ■ ŚWIAT

48 Rura, która dzieli Niemcy
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

51 Pół roku na ulicach
WOJCIECH KONOŃCZUK
o protestach na Białorusi

TEMAT TYGODNIKA



KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP”

12 Zabaweczka

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Kiedy próbuje o tym mówić, krzyczą: „Byłaś czysta, nakarmiona, bez siniaków, o co ci chodzi?”. A ona, od lat na antydepresantach, słyszy u terapeuty, jak dzielna jest, że w ogóle przetrwała.

16 Czego nie widać

ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ RUTKOWSKĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ:

Ofiara przemocy chce powiedzieć rodzicom: zobaczcie, co mi zrobiliście! I usłyszeć: nie mieliśmy pojęcia, przepraszamy.

■ FELIETONY ■

33 JACEK PODSIADŁO **45** WOJCIECH BONOWICZ

62 HANNA KRALL

84 JAN KLATA **85** PAWEŁ BRAVO

90 STANISŁAW MANCEWICZ

90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: Wybory parlamentarne, Katowice 2015 r.

FOTO: Dawid Chalimoniuk / Agencja Gazeta

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

54 Gra polityczna

MARTA ZDZIEBORSKA:
Procedura impeachmentu Donalda Trumpa kolejny raz stanie się tylko narzędziem partyjnej walki

56 Koreański kłopot Bidena
ROMAN HUSARSKI

58 Żywy Dominica
WOJCIECH JAGIELSKI:
Ugandyjczyk Dominic Ongwen winnym zbrodni wojennych

■ ■ HISTORIA

64 Dobre imię
MICHAŁ OKOŃSKI

66 Kwestia standardów
WOJCIECH PIĘCIAK

■ ■ NAUKA

68 Zarazki i tabelki
MARTA PANAS-GOWORSKA,
ANDRZEJ GOWORSKI
o historii rozwoju epidemiologii

■ ■ KULTURA

72 Pożegnanie z Wisławą
KALINA BŁĄŻEJOWSKA

77 W odśrodkowym wirze
JERZY JARNIEWICZ: *Joan Didion w obserwowanej rzeczywistości wchodzi z zaangażowaniem. Jest kimś z zewnątrz, ale też częścią świata, który opisuje*

80 Teatr jest wahaniem
DARIUSZ KOŚCIŃSKI o premierze „Biegunów” Michała Zadary

82 Kropka i trzykropek
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Palm Springs”

84 Świadek nieobojętny
LEKTOR o książce Józefa Czapskiego „Rozproszone”

■ ■ ZMYŚŁY

86 Metanoja
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Woś się jeży

Szczęśliwi ci, którzy mogą się spokojnie martwić klimatycznym końcem świata. Ale co z tymi, którzy pod rządami nowego zielonego ładu nie doczłągają się do końca miesiaca? – pyta **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

➔ Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]

Kobieta, z którą chciałem się związać, w moim przekonaniu powinna mieć pewien szczególnie cenny dar bogów: radosne zaufanie do życia – opowiada pisarz **ZBIGNIEW MENTZEL** w cyklu rozmów **KATARZYN KUBISOWSKIEJ** powszech.net/podkast



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

[WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA](http://WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA_SWIATA)



[f /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.facebook.com/tygodnikpowszechny) ■ [i /TYGODNIK](https://www.instagram.com/tygodnik) ■ [y /TYGODNIK](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny) ■ [y /TYGODNIKPOWSZECHNY](https://www.youtube.com/tygodnikpowszechny)



PRAWICA: ANI POROZUMIENIA, ANI ZJEDNOCZENIA

Szef PiS obawia się, że Jarosław Gowin jeszcze w tej kadencji może dokonać wolty i stworzyć rząd z opozycją.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

MOŻEMY TO SOBIE POWIEDZIEĆ WŁAŚCIWIE oficjalnie: Zjednoczona Prawica w obecnej formie przestanie istnieć jeszcze w tej kadencji. Inspirowany przez Jarosława Kaczyńskiego rozłam w koalicyjnym Porozumieniu miał na celu przejęcie tej partii i zmarginalizowanie jej lidera Jarosława Gowina, który uważany jest w PiS za hamulcowego śmiałych planów prezesa. W 2017 r. Gowin namówił prezydenta do głośnego weta w sprawie ustaw sądowych PiS. W 2020 r. zablokował prezydenckie wybory korespondencyjne. A teraz zapowiedział, że nie zgodzi się na podatek reklamowy, tak przebiegle zagmatwany i selektywny, by

uderzył akurat w te media, które Kaczyński uznaje za wrogie.

Kaczyński musi tolerować Gowina, bo bez jego posłów nie ma w Sejmie większości. Ale nawet prezesowska, pragmatyczna odporność ma swe granice. W ostatnich tygodniach do Kaczyńskiego zaczęły dobiegać plotki o tym, że Gowin kontaktuje się z Donaldem Tuskiem. Pisał o tym w minionym tygodniu propisowski portal wPolityce.pl: „Wicepremier spotkał się z byłym premierem w ciągu ostatnich kilkunastu dni w stołecznym Hotelu Warszawa”.

Nie ma znaczenia, że to wymagałoby dużej brawury obu polityków, jako że ten ho-

*Mateusz Morawiecki,
Jarosław Kaczyński
i Jarosław Gowin,
Warszawa,
październik 2020 r.*

tel mieści się obok siedziby TVP Info. Nie ma znaczenia, że Gowin zaprzeczył i zapowiedział pozew przeciw wPolityce.pl. Znaczenie ma to, w co wierzy Kaczyński. A on wietrzy spisek.

Gowin rzeczywiście utrzymuje kontakty z opozycją. Chodzi zwłaszcza o PSL, ale przy okazji wojny z Kaczyńskim w sprawie wyborów prezydenckich wiosną minionego roku odnowił także kontakty z Platformą, z którą rozstał się w 2013 r. Doskonale wie, że w kolejnych wyborach nie ma co liczyć na miejsca na listach PiS dla siebie i swych ludzi. Stąd kontakty z opozycją i szukanie alternatywy.

Kaczyński o tych kontaktach wie, bo podczas awantury o wybory prezydenckie Gowin był bliski paktu z opozycją, co mogło zagrozić rządowi PiS. Ostatecznie do sojuszu nie doszło. Ale widmo przejściowego rządu całej opozycji z Gowinem, który obala Zjednoczoną Prawicę, przejmuje rząd, TVP i rozpisuje wybory, to zły sen Kaczyńskiego.

W tym sensie plotki o Tusku zadziałały jak zapalnik. Kaczyński jako tarana użył europoła Adama Bielana, swego wieloletniego podwładnego, ostatnio na zlecenie prezesa udającego działacza Porozumienia. Bielan próbował dokonać pałacowego przewrotu, przejąć partię i zagwarantować Kaczyńskiemu bezwzględna lojalność. Osobistą nagrodą dla niego miała być jedynka na liście PiS do Parlamentu Europejskiego za 3 lata – tak, Bielan jest przewidujący.

Szkopuł w tym, że Bielan może i jest dobrym propagandystą, ale nie ma ani pozycji, ani charyzmy, by odbić Gowinowi jego własną partię. Gowin wyrzucił więc Bielana i jego popleczników, w tym czterech posłów. Nadal ma jednak pakiet kontrolny – 13 posłów, bez których Kaczyński nie jest w stanie rządzić.

Kaczyński ociąga się z uznaniem przywództwa Gowina, co byłoby przyznaniem się do klęski. A Gowin domaga się wyrzucenia buntowników z rządu i stawia sprawę jasno: dopóki prezes nie zaakceptuje jego przywództwa, będzie bojkotował koalicyjne konwentykły.

To wciąż jeszcze nie jest koniec. A może właśnie jest. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

Dodruk punktów dla humanistów

ŁUKASZ KWIATEK



W ŚRODOWISKU AKADEMICKIM DUŻE emocje wywołały zmiany w wykazie czasopism punktowanych. Przypomnijmy: chodzi o ogłaszaną przez ministra klasyfikację czasopism – za opublikowanie w nich artykułu naukowcy otrzymują określoną liczbę punktów. Zdobyte punkty są podstawą oceny działalności samych naukowców oraz jednostek, które reprezentują. A to ma przełożenie na finansowanie jednostek.

Największe kontrowersje dotyczą polskich czasopism: w aktualnym wykazie dodano ich 129, a 264 podwyższono punkty. Ogromną większość z nich (odpowiednio: 125 i 223) stanowią czasopisma z dziedziny nauk humanistycznych, społecznych i teologicznych. Wśród największych beneficjentów zmian są tytuły, w których publikował sam minister Czarnek, albo te związane z jego alma mater. Przykładowo: autor publikacji w „Biuletynie Stowarzyszenia Absolwentów i Przyjaciół Wydziału Prawa KUL” otrzyma 70 punktów (przed rokiem: 20). Na tyle samo wyceniono publikację w znanych na całym świecie „Nature Astronomy” czy „Nature Human Behaviour”.

To skrajny przykład, który obrazuje zresztą szerszy problem związany z ocenianiem

w ramach jednego systemu przyrodników i humanistów. Trudno o procedurę, która oddałaby sprawiedliwość wszystkim, ale tym razem chodzi także o niejasny tryb wprowadzenia zmian. Odcieła się już od nich Komisja Ewaluacji Nauki, która ma w tych sprawach doradzać. Jednocześnie z ministerstwa postanowiła odejść Anna Budzanowska, odpowiedzialna za wdrożenie ostatniej reformy w polskiej nauce – tej samej, która miała zwiększyć znaczenie naszych uniwersytetów na arenie międzynarodowej.

Ministerstwo stosuje swoistą strategię „wyjaśniania przez zaciemnienie” – wskazuje, że na zmiany miała wpływ ocena czasopism pod kątem „wierności właściwemu celowi badań naukowych, jakim jest poznawanie prawdy i jej obrona w kulturze”. Uwzględniono też związek czasopism „z kulturą narodową oraz rolę w umacnianiu tożsamości cywilizacyjnej kultury polskiej”.

Gdyby zinterpretować ten komunikat życzliwie, należałoby podkreślić, że w niektórych dziedzinach humanistyki publikowanie w polskim języku ma ogromny sens. Ale i tak trudno pozbyć się wrażenia, że ministrowi Czarnkowi chodzi o coś bardziej fundamentalnego: pokazanie, że wszyscy polscy uczeni są wybitni. ©

Gdy dom jest biurem, a biuro domem

ROSNA SZANSE, że niezdrowe splątanie materii prywatnego i służbowego, jakim zaowocowała konieczność pracy z domu, doczeka się prawnego rozwiązania. Kodeks Pracy, pisany jeszcze w epoce Gierka, rzecz jasna nie odzwierciedla rzeczywistości Polski roku 2020, kiedy – jak podał niedawno GUS – miejsce zamieszkania stało się także miejscem pracy dla blisko 4 mln osób. Czas kupowany przez pracodawców dotychczas na zasadach niemal pełnej wyłączności nagle zmieszal się z czasem prywatnym. Przepisy z września ub. roku, umożliwiające delegowanie pracowników do pracy zdalnej, miały w założeniu charakter tymczasowy. Kształt noweli Kodeksu do końca ub. roku miała wypracować Rada Dialogu Społecznego. Niestety, jej prace utknęły na etapie sporu, czy nieobecność pracowników w zakładzie

pracy zapewnia większe oszczędności pracodawcom, czy może jednak pracownikom.

Na razie stronom udaje się przynajmniej skrócić protokoły rozbieżności. Pracodawcy gotowi są zrezygnować z zapisu, który zakazywałby pracownikom wykonywania w godzinach pracy czynności domowych, jak sprzątanie czy pranie. Wszystko wskazuje również na to, że nowelizacja nie wprowadzi paragrafu, na mocy którego przełożeni mogliby bez zapowiedzi wizytować mieszkania pracowników. Związki zawodowe zdają się z kolei akceptować postulaty pracodawców, którzy obowiązek wypłaty ekwiwalentu za energię elektryczną wykorzystywaną w domu do pracy woleliby wyprowadzić poza zapisy Kodeksu Pracy i uczynić przedmiotem indywidualnej umowy z pracownikiem. Najmniej wątpliwości budzi redefinicja wypadku przy pracy, która bazować ma na założeniu, że o takiej kwalifikacji zdarzenia decyduje charakter czynności, podczas której doszło do wypadku, a nie jej miejsce.

© MAREK RABIJ

Czy uda się prześcignąć koronawirusa

POLSKĘ, obok Danii i Włoch, wymieniła przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen jako liderów szczepień w Europie. Podczas wystąpienia w Parlamencie Europejskim 10 lutego wyróżniła nasz kraj za zaszczepienie większości pracowników ochrony zdrowia oraz pensjonariuszy domów opieki. Oceniała, że Unia „nie jest na etapie, na jakim chciałaby być” w walce z pandemią, i przyznała, że Komisja „nie doceniła problemów związanych z masową produkcją szczepionki”. Według von der Leyen cel, czyli zaszczepienie do lata 70 proc. populacji krajów Unii, nie jest jednak zagrożony.

Minister zdrowia Adam Niedzielski oznajmił tymczasem, że przez ostatnie trzy tygodnie wykonywano średnio 460 tys. szczepień i że oznacza to „miesięczną wydolność na poziomie 2 mln szczepień”. W sumie w Polsce podano już ponad 2 mln dawek, a liczba osób w pełni zabezpieczonych, czyli po drugiej dawce, zbliża się do 700 tys. „Trwa walka z czasem, trzeba zaszczepić jak najwięcej osób, zanim nowe mutacje SARS-CoV-2 zdążą się u nas szeroko rozprzestrzenić” – ocenia prof. Wojciech Szczeklik. O wzrastającej liczbie chorujących wymagających hospitalizacji mówi z kolei dr Paweł Grzesiowski; według niego dowodzi to, że w Polsce rozpoznał się brytyjski, znacznie bardziej zakaźny wariant wirusa. Epidemiolodzy z przerażeniem patrzyli na tłumy w ostatni weekend na Krupówkach – większość tańczących i śpiewających ludzi nie przestrzegała żadnych zasad sanitarnych. Nawet jeśli próbować to tłumaczyć stopniem zmęczenia obostrzeniami – takie wydarzenia grożą gwałtownym wzrostem zachorowań. © P MACIEJ MÜLLER

Koszmary opieki okołoporodowej

NIE MOGŁO BYĆ bardziej wymownego czasu na opublikowanie tego raportu – Najwyższa Izba Kontroli zbadała, jak wygląda opieka nad pacjentkami, które poroniły, urodziły martwe dziecko lub których dziecko zmarło tuż po porodzie. Skontrolowano 37 szpitali z siedmiu województw. Żaden z nich nie zapewniał prawidłowej i wystarczającej opieki.

W raporcie wymieniono szereg nieprawidłowości związanych z personelem, dokumentacją medyczną, prywatnością. Najbardziej wstrząsające wydaje się jednak tych kilka faktów.

Blisko 35 proc. kobiet nie miało możliwości skorzystania z pomocy psychologa – w trzech szpitalach takich porad nie udzielano w ogóle. W pięciu szpitalach kobiety, które poroniły lub urodziły martwe dziecko, przebywały w sali razem z kobietami w ciąży lub po narodzinach zdrowego dziecka. W jednym ze szpitali pacjentkom, które poroniły, przy wypisie wręczano broszury o karmieniu piersią.

Jak dużej grupy dotyczyć mogło takie traktowanie? Jak podaje NIK, w Polsce w latach 2017-19 co roku ok. 1700 kobiet urodziło martwe dziecko, a u ok. 40 tys. ciąży zakończyła się poronieniem. © P EVELINA BURDA

KRAJ W SKRÓCIE

BEZ WYBORU

Większość dziennikarzy powstrzymała się na jeden dzień od aktywności w proteście przeciw szykowanemu przez rząd i wymierzonemu w media prywatne podatkowi od reklam. Na portalach i w TV wyświetlała się czarna plansza z informacją „tu miał być twój ulubiony program” lub „media bez wyboru”.



ARIADUSZ ZIOLEK / EAST NEWS

Z WYBOREM

Dające się słyszeć przy okazji jeremiady o zagrożeniu dla pluralizmu należy oczywiście uznać za przesadzone: człowiekiem roku Klubów „Gazety Polskiej” został Jarosław Kaczyński, choć przecież większość tytułów przyznała ten tytuł Danielowi Obajtkowi.

WYBRAŃCY

Pluralizm pluralizmem, ale co z wolnością słowa, skoro poseł PiS Marek Suski został pozwany przez koncern RASP za wpis na Twitterze: „Niemcy są wzorem dbałości o praworządność w Polsce i mają długą tego tradycję. Kiedyś egzekucje dziś ONET!”, a za nazwanie Onetu „polskojęzyczną rurą do gazowania Polaków” i „brudną wodą po Der Sturmer” pozwu doczekał się członek kolegium IPN Krzysztof Wyszkowski?

WYBRANEK

IPN resztą też wydaje się pluralistyczny: p.o. jego dyrektora we Wrocławiu został wieloletni działacz ONR Tomasz Greniuch, który w 2006 r. fotografował się z dłonią uniesioną w nazistowskim pozdrowieniu.

Włochy: miliardy ponad podziałami



PAWEŁ BRAVO

KIEDY MARIO DRAGHI ZOSTAŁ powołany, by stworzyć nowy włoski rząd, jedno z najczęstszych pytań w lokalnym Google'u brzmiało: „Jest z lewicy czy prawicy?”.

Włosi co prawda kojarzą nazwisko – to ich ostatni już realnie poważany w Europie rodak poza światem sportu i mody – ale nikt dotąd nie wnikał, jaka jest polityczna tożsamość tego dawnego urzędnika ministerstwa skarbu, następnie szefa banku centralnego, a wreszcie Europejskiego Banku Centralnego. W tradycyjnej logice ustrojów liberalnych od takich ludzi wymaga się wręcz, aby byli neutralnymi technokratami.

Jednak Draghi jest nie tylko ekspertem finansowym i już raz dowiódł, że potrafi poruszać się po korytarzach władzy: gdy w 2011 r. jako szef EBC ratował euro przed upadkiem w czasie kryzysu zadłużeniowego, wykonał poważną robotę polityczną, przekonując do tej nieortodoksyjnej operacji zwłaszcza Niemców.

Tamten kryzys i narzucona przez Brukselę polityka oszczędności zniechęciła Włochów do Unii. Dziś jednak rząd pod kierunkiem proeuropejskiego Dragiego ma do rozdisponowania największą krajową transzę z tzw. pakietu pomocowego, więc nastroje są raczej dobre. Do tego stopnia, że do koalicji wspierającej gabinet dołączył ochoczo Matteo Salvini, dotąd czołowy i brutalny retorycznie eurosceptyk. „Prawica, lewica, to tylko etykiety, jestem pragmatykiem” – oświadczył lider Ligi.

Tak więc Włochy mają trzeci już w tej kadencji rząd, z kolejną równie egzotyczną większością jak poprzednie, teraz jednak bezpiecznie szeroka, bo cementowaną sumą 209 mld euro. Do czasu pierwszej klótni. Liga już zażądała głowy urzędnika w ministerstwie zdrowia, który upiera się przy zachowaniu epidemicznych obostrzeń. © P



ART JALAL / REUTERS / FORUM

BIEG DO NATURY. 11 lutego w Dohuku (iracki Kurdystan) aktywiści praw zwierząt wypuścili na wolność sześć niedźwiedzi syryjskich, trzymanyh wcześniej dla rozrywki w domach. To część akcji ratowania tego gatunku przed wyginieciem, na którego skraj doprowadziło go kłusownictwo. Zwierzęta wpadły w panikę, wzbudzając popłoch wśród obserwatorów, potem jednak powędrowały w stronę gór na iracko-tureckim pograniczu. Szacuje się, że jedna trzecia z 32 gatunków dzikich zwierząt, którymi handluje się nielegalnie w Iraku, to gatunki zagrożone. © P MŻ

Birma wciąż może stanąć w ogniu

ESKALACJA: to słowo najlepiej oddaje nastroje w Birnie po puczu przeprowadzonym przez armię na początku lutego.

Wojskowym, którzy obalili rząd Narodowej Ligi na rzecz Demokracji, nie udało się na razie ani zastraszyć, ani zmęczyć społeczeństwa na tyle, by stłumić pokojowe protesty. Nadzieje generałów na szybkie zdławienie oporu wzbudził fakt, że tuż po przewrocie Birmańczycy nie wyszli masowo na ulice. O ostrożność w wyrażaniu sprzeciwu wobec uzurpacji armii zaapelować mieli zresztą sami aresztowani liderzy NLD (choć autentyczność tych apeli jest kwestionowana). Teraz, pomimo upływu czasu, protesty nie słabną. W Myitkyina, stolicy stanu Kaczin na północy kraju, w nocy z soboty na niedzielę słychać było strzały. Na nagraniu opublikowanym w internecie nie widać, czy wojsko otworzyło ogień do demonstrantów, czy były to jedynie strzały ostrzegawcze.

Zarówno obserwatorzy zagraniczni, jak i sama birmańska opinia publiczna spodziewają się dalszego zaostrzenia konfliktu. W połowie lutego wojsko zawiesiło przepisy wprowadzone przez gabinet Aung San Suu

Kyi, które zakazywały m.in. aresztowania obywateli czy przeszukiwania ich domów bez nakazu sądowego. Wojskowy rząd przyznał sobie również prawo do naruszania tajemnicy korespondencji oraz możliwość konfiskaty majątku obywateli, rzecz jasna pod pretekstem zabezpieczania dowodów rzekomej „działalności wyrotowej”.

W całym kraju trwają aresztowania członków i sympatyków NLD. Junta miała też rzekomo wypuścić z więzień 23 tys. skazanych, głównie za pospolite przestępstwa. Jak podaje serwis „The Irrawaddy”, mieszkańcy Rangun organizują nocne patrole straży obywatelskiej, aby odstraszyć bandytów, którzy według plotek zostali zworbowani przez juntę dla wzniesienia niepokojów społecznych, które z kolei mogłyby dostarczyć pretekstu do użycia siły wobec protestujących.

Krwawa rozprawa z uczestnikami protestów w sierpniu i wrześniu 1988 r. pokazuje, że wojsko, które w Birnie uważa się za spoiwo tamtejszego społeczeństwa i gwarant istnienia państwa, może znów otworzyć ogień do ludzi na ulicach. W tej sytuacji kluczowa będzie reakcja społeczności międzynarodowej. Zerwanie stosunków handlowych i dyplomatycznych z Birmą sprawi, że generałowie nie będą mieli nic do stracenia.

© P MAREK RABII

Biden wobec Jemenu

SIÓDMY JUŻ ROK trwa ta wojna, konflikt długo toczony w cieniu syryjskiego, a od 2015 r., po zaangażowaniu się Arabii Saudyjskiej, będący próbą sił między Rijadem a Teheranem (Iran wspiera tu Hutich, szyckie ugrupowanie społeczno-polityczne; Saudowie kierują walczącą z nimi koalicją). Niewiele jest miejsc, gdzie przez wojnę, głód i skutki epidemii cholery ludzie cierpią tak bardzo i tak długo jak w Jemenie. W ogłoszanych co kilka tygodni raportach humanitarnych ONZ zmieniają się tylko liczby – według ostatniego, ponad połowa Jemeńczyków ma kłopot z zaopatrzeniem w żywność, a do końca roku ostre niedożywienie zagrożi tu 2,3 mln dzieci poniżej 5. roku życia.

Umiarkowaną nadzieję na koniec konfliktu przynosi nowa władza w USA. W pierwszym miesiącu swojej prezydentury Joe Biden zrobił już sporo: wykreślił Hutich z listy grup terrorystycznych, wyznaczył specjalnego wysłannika ds. Jemenu i zapowiedział koniec aktywnego wsparcia dla Saudów (które zainicjował jeszcze Barack Obama). W Białym Domu rośnie przekonanie, że wycofanie się z tej wojny to argument w rozmowach z Iranem: wróćcie do negocjacji o swoim programie nuklearnym, a w zamian USA będą dążyć do pokoju w Jemenie, *de facto* osłabiając wpływ Arabii Saudyjskiej.

Tyle polityczna kalkulacja. Jednak sytuacja wojskowa nie sprzyja Bidnowi. Huti są bliscy zdobycia ważnego miasta Marib, a uznawany przez Zachód rząd Jemenu obawia się, że negocjacje mogą przynieść uznanie ich zdobyczy terytorialnych. W dodatku koalicja przeciw Hutim gromadzi też mniejsze grupy, w których interesie nie leży koniec walk. Poprzednie rozmowy o pokoju, toczone pod koniec 2019 r. w Szwecji, doprowadziły tylko do wymiany jeńców. © P MARCIN ŻYŁA



Pierwsze
Radio
Informacyjne

ŁUKASZ GRAJEWSKI opowie

Agnieszce Lichnerowicz o niemieckim konflikcie wokół Nord Stream (korespondencja na s. 48)

w „Światopodglądzie” Radia Tok FM, w czwartek, 18 lutego, o godz. 16.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KORAN ZAMIAST BIBLII

Po raz pierwszy w historii USA parlamentarzysta przysięgał nie na Biblię, lecz na Koran.

Madinah Wilson-Anton dostała się do stanowego parlamentu w Delaware.

Należy do Partii Demokratycznej i jest praktykującą muzułmanką.

Podczas uroczystości w stanowym Kongresie w Dover 27-letnia parlamentarzystka przysięgała na Koran należący do jej ojca.



TWITTER / @MADINAHFORDE

PAPIEŻ NA WALENTYNKI

„We wspomnienie św. Walentego chciałbym skierować myśl i życzenia do narzeczonych: towarzyszę im moją modlitwą i im błogosławię” – powiedział Franciszek podczas modlitwy Anioł Pański w Watykanie.

DOMOWY POPIELEK

„Moja sugestia jest taka: świętujcie Środę Popielcową w domu, z rodziną” – wezwał katolików diecezji Westminster kard. Vincent Nichols. „Błogosławcie się nawzajem, czyniąc znak krzyża na czole innego” – zalecał prymas Anglii i Walii.

ZAŁOŻYCIEL
OSKARŻONY

Niemieckie media ujawniły, że założyciel działającego również w Polsce stowarzyszenia Pomoc Kościołowi w Potrzebie o. Werenfried van Straaten (1913–2003) w 1973 r. molestował seksualnie 20-letnią wówczas kobietę, za co po latach zapłacono jej odszkodowanie w wysokości 16 tys. euro. Od co najmniej 10 lat wiedziało o tym kierownictwo organizacji i Watykan.

Kościół ofiar i Kościół władzy, pieniędzy, polityki



ARTUR SPORNIAK

W 1995 r. KOŚCIÓŁ SZCZECIŃSKO-KAMIEŃSKI zaczął się rozpadać na dwie części. Sprawcą podziału był ks. Andrzej Dymier, oskarżony o wykorzystanie seksualne wychowanków założonego przez siebie Ogniska św. Brata Alberta. Po jednej stronie stanęły ofiary, m.in. późniejszy franciszkanin o. Tarsycjusz Krasucki, który zdobył się na odwagę publicznego opowiedzenia o swojej krzywdzie; wychowawcy, których za wsparcie ofiar spotkały szykany; ludzie Kościoła domagający się sprawiedliwości – m.in. ojcowie Józef Puciłowski OP i Zdzisław Wojciechowski SJ oraz Marcin Mogielski OP, którego brat był molestowany przez ks. Dymiera, czy siostra Miriam.

Po drugiej stronie: kolejni metropolici szczecińscy – zmarli Marian Przykucki i Zygmunt Kamiński oraz obecny Andrzej Dzięga; ówczesny biskup pomocniczy Stanisław Stefanek, który zbagatelizował pierwsze sygnały od ofiar; oraz abp Sławoj Leszek Głódź, który przez blisko dekadę blokował śledztwo prze-

ciwko ks. Dymierowi zlecone mu przez Watykan.

Szczegółowo historię wieloletniej kościelnej inercji przedstawia na stronie „Więzi” Zbigniew Nosowski w cyklu „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie”. Na podstawie tego cyklu TVN24 wyemitowała niedawno reportaż „Najdłuższy proces Kościoła”. Z materiałów tych wynika, że władze kościelne broniły ks. Dymiera, gdyż jest on sprawnym zarządcą, pomnażającym majątek kościelny i posiadającym wpływ w świecie polityki. Ofiary do tej pory się nie liczyły.

Owe dwa Kościoły po raz pierwszy zetknęły się ze sobą kilka dni temu, gdy abp Andrzej Dzięga spotkał się z mężczyzną wykorzystanym seksualnie przed laty przez ks. Dymiera. Następnego dnia ksiądz, który przez ćwierć wieku był bezkarny, został odwołany przez metropolitę z funkcji dyrektora Instytutu Medycznego im. Jana Pawła II w Szczecinie. To pierwszy sygnał dający nadzieję na scalenie pękniętego Kościoła. ©P

Budda tysięcy kilometrów nad Ziemią

KOSMICZNĄ ŚWIĄTYNIĘ chcą wystrzelić na orbitę buddyjscy mnisi z Daigoji w Kioto, kompleksu świątynnego założonego w IX w. W satelicie o wymiarach 30 x 20 x 10 cm, zbudowanym we współpracy z japońską firmą Terra Space Inc., umieszczony będzie posążek Buddy, mandale i święte pisma. Ma być wyniesiony na orbitę poniżej 1000 km nad Ziemią i okrążyć ją raz na kilka godzin. Jak tłumaczą mnisi, „my, ludzie, potrzebujemy Buddy, który czuwa nad całą Ziemią z perspektywy wszechświata. Celem przedsięwzięcia jest stworzenie świątyni otwartej dla każdego, bez względu na to, gdzie na świecie się znajduje”.

W kierunku kosmicznej świątyni mają być odprowadzane modlitwy w intencji pokoju, o bezpieczeństwo ludzkości w obliczu katastrof naturalnych i epidemii, a także w trosce o ludzi pracujących w przestrzeni kosmicznej. Powstanie specjalna aplikacja śledząca pozycję satelity i informująca wiernych, kiedy modlić się w kierunku nieba.

©P MAM

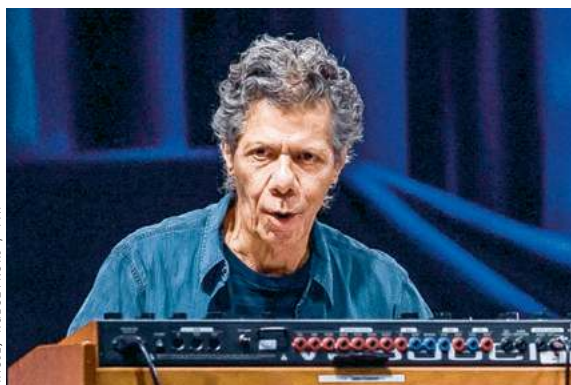
Zbawienie duszy i ekonomia

WIELKOPOSTNE PRZESŁANIE papieża to zachęta do skromnego życia, modlitwy i troski o drugiego człowieka, słowem: do nawrócenia, które jest fundamentem pełnego rozwoju człowieka. Może dlatego co roku ogłasza je kard. Peter Turkson, prefekt Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, oskarżanej często, że „zapomina” o najważniejszej misji Kościoła – głoszeniu ewangelii i zbawieniu dusz – zajmując się politycznymi i gospodarczymi problemami tego świata.

Kard. Turkson reprezentuje papieża na ekonomicznych szczytach i bierze udział w negocjacjach ze środowiskami nie zawsze przyjaznymi Kościołowi i religii. W ostatnim roku szczególnie krytykowany był za promocję „inkluzywnego kapitalizmu” i „wielkiego resetu” – projektów nowego światowego ładu, w których oponenci Franciszka widzą neomarksistowską ideologię i rządy światowej finansjery.

– Nawrócenie to także troska o dobro wspólne i czynienie świata lepszym – tłumaczy kard. Turkson, „Tygodnikowi”. – Nie można mówić o miłości bliźniego, nie troszcząc się o jego podstawowe potrzeby, jak żywność, woda czy leki. Chcemy być głosem tych, za którymi na światowych forach nikt się nie ujmie. Upominamy się o uwolnienie patentów leków, objęcie najbiedniejszych państw programem szczepień, redukcję długów przez Bank Światowy. To też jest świadectwem naszego chrześcijaństwa.

©P EDWARD AUGUSTYN



Chick Corea: brzmienie na lata

BYŁ SKAZANY NA JAZZ od dziecka. Jego ojciec przewodził dixie-landowej grupie, a w Ameryce zaczynała się właśnie moda na bebop. Jako kilkulatek Chick Corea grał już na pianinie i próbował swoich sił jako perkusista. Jego kariera rozwijała się równie błyskawicznie. Jeszcze dobrze nie przedstawił się na jazzowej scenie, a już grał u boku Milesa Davisa. Przełom lat 60. i 70. to erupcja kreatywności pianisty, który pracował przy albumach nie tylko dziś kultowych, ale też różnorodnych stylistycznie. Z tego okresu pochodzą post-bopowe „Now He Sings, Now He Sobs”, freejazzowe nagrania grupy Circle i klasyka fusion „In a Silent Way” czy „Bitches Brew” Davisa. To właśnie genialny trębacz przekonał Coreę do sięgnięcia po pianino elektryczne i tym samym zdefiniował jego brzmienie na lata. Świętąca triumfy grupa Return to Forever eksplorowała terytoria pomiędzy jazzem a prog rockiem. W postępującym uładzeniu brzmienia pianisty starzy kompani doszukiwali się wpływów bliskich mu scjentologów. Niezależnie od powodów sięgnięcia po bardziej przystępny język Corea osiągnął w nim mistrzostwo, o czym świadczą aż 23 nagrody Grammy. Zmarł w wieku 79 lat na skutek choroby nowotworowej. © JAN BŁASZCZAK

Leczenie otyłości i obiecujące wyniki

OSOBY, które przez 68 tygodni przyjmowały semaglutyd, stosunkowo nowy lek, wykorzystywany dotąd w terapii cukrzycy typu 2, zrzuciły średnio 15,3 kg – ogłosili John P.H. Wilding i współpracownicy w raporcie z testów klinicznych III fazy, opublikowanych w „New England Journal of Medicine”. W badaniu wzięło udział blisko 2 tys. osób z otyłością (średnia waga 105 kg) z 16 krajów. W grupie kontrolnej, której podano placebo, odnotowano spadek wagi ciała o 2,6 kg. Autorzy podkreślają, że żaden inny lek nie osiągnął dotąd nawet zbliżonych wyników.

Semaglutyd działa podobnie jak jeden z hormonów uwalnianych do krwi po posiłku, wywołujących uczucie sytości – przyjmowanie tego leku prowadzi do obniżenia apetytu. Producent, duńska firma Novo Nordisk, złożył już wniosek o dopuszczenie opracowanej terapii w USA i Unii Europejskiej.

© P Ł K

KULTURA W SKRÓCIE

BANKSY W WARSZAWIE

Ponad 100 prac najśłynniejszego i najbardziej tajemniczego graffitiarza na świecie prezentuje Centrum Praskie Koneser w Warszawie. Wystawa „The Art of Banksy. Without Limits” potrwa do 11 kwietnia.

WYRÓŻNIENI W KINIE

Laureat Srebrnych Lwów na ostatnim FPFF w Gdyni, film „Sweat” Magnusa von Horna, zdobył nagrodę na 44. Festiwalu Filmowym w Göteborgu. Z kolei „Boże Ciało” Jana Komasy nominowano do nagród francuskiej Akademii Sztuki i Techniki Filmowej. Polska produkcja powalczy o statuetkę Cezara w kategorii „najlepszy film zagraniczny”.

KRÓTKIE FORMY

Prof. Jerzy Zajądo został laureatem tegorocznej edycji Konkursu im. prof. Tadeusza Kotarbińskiego na najlepszą książkę humanistyczną. Jurorzy docenili jego zbiór esejów „Minima Iuridica. Refleksje o pewnych (nie)oczywistościach prawniczych”. Fundatorem nagrody jest Uniwersytet Łódzki.

WIERZSE WYBRANE

Trzy tomiki laureatki Literackiej Nagrody Nobla, amerykańskiej poetki Louise Glück (na zdj.), ukazały się dzięki Wydawnictwu a5. Pierwszy, w przekładzie Krystyny Dąbrowskiej, trafi do rąk czytelników i czytelników już za kilka miesięcy.



SACHS RON / ABAKA / EAST NEWS

Wspólna krew

ANITA PIOTROWSKA



NIESTETY, POLSKA REPREZENTACJA do Oscara, czyli „Śniegu już nigdy nie będzie” Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta, odpadła w przedbiegach – może dlatego, że jednak nie spełniło się tytułowe proroctwo? Mimo to niezwykle cieszy, że na nominację w kategorii najlepszego filmu zagranicznego ma szansę czeski „Szarlatan” Agnieszki Holland. Najwyraźniej historia słynnego ziela-rza, opowiedziana w formie mrocznej przypowieści o żądzy władzy nad ludzkim życiem, trafiła w amerykańskie gusta. To zresztą ciekawy zbieg okoliczności, że oba konkurujące ze sobą filmy polskich reżyserów, nakręcone w przededniu pandemii, łączy wspólny temat na czasie: poszukiwanie cudownego uzdrowienia.

Niektórzy podczas tegorocznego kibicowania mogą mieć rozdarte serca. W tej samej stawce oscarowej znalazła się bowiem bośniacka „Aida” Jasmili Žbanić, współprodukowana przez Ewę Puszczyńską. Film będący kobiecym spojrzeniem na masaker w Srebrenicy zawiera jeszcze inne polskie akcenty: montaż Jarosława Kamińskiego, kostiumy Małgorzaty Karpik i muzykę, podobnie zresztą jak „Szarlatan”, Antoniego Komasy-Łazarkiewicza.

Puszczyńska ma do nagród Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej szczęśliwą rękę, by wymienić statuetkę dla „Idy” i trzy nominacje dla „Zimnej wojny”. A w tym roku może powalczyć o Oscara jeszcze jeden jej „podopieczny” – „Zabij to i wyjedź z tego miasta” Mariusza Wilczyńskiego w kategorii pełnometrażowej animacji. Czekamy zatem na kolejne dobre wiadomości. Przypominają one w ten smutny czas, że co jak co, ale filmy i filmowców mamy naprawdę wyśmienitych. Ci ostatni zaś wzmacniają nie tylko kino polskie, ale są też ważną częścią europejskiego krwiobiegu.

©

ZABAWECZKA

Kiedy próbuje o tym mówić, krzyczą:
„Byłaś czysta, nakarmiona,
bez siniaków, o co ci chodzi?”.

A ona, od lat na antydepresantach,
słyszy u terapeuty, jak dzielna jest,
że w ogóle przetrwała.

TEKST **KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET**
ILUSTRACJE **KASIA KOZAKIEWICZ** DLA „TP”





ROK 2008, TUŻ PRZED WIGILIĄ. LIDKA jedzie ostatnim pociągiem, patrzy w szarość za oknem, chciałaby zawrócić. W myślach kuje dla siebie zbroję: z tematów, o których bezpiecznie będzie rozmawiać, z oczywistych żartów i prostych słów, które nie wywołają drwin, że z miasta na wieś wróciła, że przemądrzała, i że ma „zejść na ziemię”. Przypomina sobie więcej takich powrotów do domu (dużego, zimnego i pustawego, o nikłym świetle i ścianach pomalowanych na brązowo): ściśnięty brzuch i klucie na okolicy serca w drodze ze szkoły, dłoni zaciśniętą w kieszeni na ulubionych cukierkach-pocieszycielach. Otwiera oczy, znów szarość za oknem i stare przerażenie: zbroja jest zbyt słaba, nie łśni, załamuje się pod byle naciskiem.

Dziś 38-letnia Lidka mówi o sobie tak: – Dzieciństwo, wczesna młodość? Prawie nie pamiętam. Jeśli już, to stopklatki. Jestem grzeczną dziewczynką – najlepszą uczennicą w klasie, odprasowaną, „chodzącą jak w zegarku”, jak mówi mój tata. Opowiem ci o tym, choć nigdy tego nie robię – przywykłam do zarzutu, że przesadzam. Tacie chciałabym powiedzieć: patrz, co mi zrobiłeś. A tamtą przestraszoną dziewczynkę mocno przytulić i zapewnić: jeszcze kiedyś będziesz żyła.

– Dawna ja wykonuje polecenia ściśle według wskazań: co zjeść, w co się ubrać, jak zagospodarować dzień, z kim się zadawać, co mówić i co czytać – kontynuuje Lidka. Niesubordynacja jest karana. Lekko, by nie było śladów: uderzeniem w głowę lub po twarzy, ciągnięciem za uszy i włosy, odbieraniem odłożonych groszy. Nawet gdy kończy 18 lat, nie ma prywatności: w łazience i pokoju wykręca się zamki, by można było wejść w każdej chwili, prześwietlane są jej rzeczy, nawet śmieci.

– Ale najgorszą karą jest milczenie, gdy rodzice mają zły humor – mówi Lidka. – Przymiliam się, przepraszam nawet wtedy, gdy nie wiem za co. Czasami płaczę, ale to powoduje śmiech. „Tylko ryćććć potrafi”, „jak jesteś taka nerwowa, to za miotłę chwytaj, żadnych studiów nie skończysz, nie dasz sobie rady”. W czasie kłótni tata zamyka okna („problemów nie wynosimy na zewnątrz”).

Jaszczurka

Agnieszka, lat 48: – Marzeniem rodziców był chłopiec, więc nazywali mnie chło-

pięcym imieniem. Potem, gdy miałam 6 lat, urodził się mój brat i nagle stałam się „niegrzeczna”, „przeszkadzałam”. Nie pamiętam, by od tamtego czasu powiedział mi cokolwiek dobrego.

Agnieszka dostawała zastrzyki. – Bardzo się tego bałam – opowiada. – Przyjmowałam je w domu, a rodzice śmiali się z moich łez. Ojciec to nawet nagrywał, żeby pokazać potem reszcie rodziny. Tłumaczyłam to sobie: jestem śmieszna, głupia i mała. A jednak próbowałam się bronić. Przed którymś zastrzykiem poszłam sama na pogotowie i poprosiłam, by mi go zrobiono.

– Myślałam często, żeby uciec i zamieszkać w domu dziecka – mówi dalej Agnieszka. – Mama była pielęgniarką. Chciała mieć piękną rodzinę, choć z jej nadmiernej dbałości, „co ludzie powiedzą”, wnoszę teraz, jak była nieszczęśliwa. W domu miał być porządek, dzieci grzeczne i ładnie ubrane. Nazwali mnie jaszczurką. Jaszczureczką, jaszczurcią – pieszczotliwie – rzadziej, gdy wreszcie zrobiłam w ich mniemaniu coś dobrego. Bo na co dzień ponoć byłam pyskata. A teraz, po 20 latach terapii, wiem już, że się broniłam. Przed czym? Przed wyśmiewaniem, krzykiem, zastraszaniem, izolowaniem, przemocą ekonomiczną, upokorzeniami, szantażami, groźbami, manipulacjami, zaniżaniem wartości. I przed tym, co stało się potem moim życiowym towarzyszem podróży – przed strachem.

Tapeta w kratkę

– Tu będzie nasza przystań – Edyta rozgląda się po nowo nabytym domu w środkowej Jutlandii. Latem 2020 r. jest już po rozwodzie, z dwójką dzieci i nowym partnerem, z ustabilizowaną pozycją zawodową i energią, by samodzielnie zabrać się za remont. Palcami bada ściany, odrywa kawałek tapety, dostrzega pod nią kolejne. Przygląda im się, ciekawa gustu byłych mieszkańców, zrywa kolejne warstwy, wreszcie dociera do ostatniej i zamiera.

Biało-szara kratka na szarobrązowym tle. Wzór tapety jest identyczny ze wzorem na taborecie, na którym kładła się, gdy mama sięgała po pas. Odrywa kawałek, wyszarpuje kolejne, tapeta schodzi z trudem. Gdy bicie się kończyło, przysuwała policzek do chłodnego laminatu i płakała. Jedna ściana, dwie ściany, pokój, →

→ korytarz, sypialnia, w całym domu jest ten sam wzór. Edyta czyści ściany szpachelką, męczy się, jakby dokopywała się do własnego smutku. Przewija w głowie sceny z rodzinnego domu. Nie zatrudnia ekipy, postanawia przez to przejść sama. Píše do rodziców list pełen gorzkich słów. Nie dostaje odpowiedzi.

Mieszkała z nimi do trzydziestki. Od dziecka ponizana, ignorowana, wyzywana. Bitą – ale bez siniaków. Rodzice powtarzają: jeśli będziesz niegrzeczna, będziemy cię bili tak, że inne dzieci przed wuefem je zobaczą. Dzisiaj się dziwi, że uważali to za powód do wstydu dla niej, a nie dla samych siebie. Gdy biją, płacze i krzyczy. Sąsiedzi wiedzą, co się dzieje, lecz na korytarzu odwracają wzrok. Edyta ma nadzieję, że ktoś wreszcie zadzwoni po policję. Nikt nie reaguje.

Pewnego dnia ojciec bije ją różgą po głowie. Zostaje pręga – na skos przez całą twarz. Edyta cieszy się, że ją widać, może ktoś wreszcie zapyta. Interesuje się tylko babcia od strony mamy. Ale też nie reaguje.

Edyta: – Mama uchodziła za nowoczesną kobietę. Czytała mnóstwo podręczników o wychowaniu, a wtedy nie pisało się w nich przecież o relacjach czy bliskości. Ważny był prawidłowy przyrost masy ciała, ile gramów jedzenia na posiłek, jak zdezynfekować ubranka. Miałam więc, można powiedzieć, podręcznikowe życie – materialnie niczego mi nie brakowało. Ale moje myśli i uczucia były ignorowane. Pamiętam, jak powiedziałam kiedyś, że jestem zdenerwowana. Mama odparła: „dziecko nie ma prawa być zdenerwowane”.

Opowiada, że była wychowywana do roli ofiary, służącej dla męża, która nie ma własnej woli. – Uciekałam w książki, chciałam studiować. Fakt, że dostałam się na polonistykę, był rodzicom obojętny. Studiów nie skończyłam. Zaliczyłam egzaminy, napisałam pracę magisterską, ale tuż przed obroną przestraszyłam się

i nie poszłam. Wmówiono mi przecież, że jestem zbyt głupia.

– W wieku 16 lat miałam pierwszego chłopaka – mówi Edyta. – Mama początkowo go nie lubiła, ale właśnie wtedy, gdy sama przestałam być pewna tej relacji, zaczęła go zapraszać do domu, prosić o drobne przysługi. Gdy postanowiłam zerwać tę znajomość i powiedziałam mu o tym, zostałam zgwałcona. To był szok. Potrzebowałam wsparcia, powiedziałam o wszystkim mamie. Pomilczała chwilę

EDYTA:

Kiedyś powiedziałam,
że jestem zdenerwowana.
Mama odparła: „dziecko
nie ma prawa być
zdenerwowane”.

i wyszła z pokoju, rzucając, że zgłosimy to na policję. Niczego nie zrobiła. Nawet mnie nie pocieszyła.

Kilka miesięcy później spacerowałam z psem. Nagle pobiegł przed siebie, ruszyłam za nim. Zobaczyłam, jak łąsi się do nóg tamtego chłopaka. Podbiegłam, by odciągnąć psa, i w tym momencie na ulicy pojawiła się moja mama. Podeszła i uderzyła mnie w twarz. Poczułam się ostatecznie ponizona. Minęło wiele lat terapii, a wciąż, gdy o tym mówię, jest mi ciężko.

Obok-życie

Lidce pogarsza się na studiach. Ma coraz więcej problemów z nauką i w relacjach, pojawiają się pierwsze ataki paniki. Zawała egzaminy, bo stres jest tak ogromny, że w kluczowym momencie zapomina, czego się nauczyła. Żyje „obok”, i ta myśl ją krzepi. Obiecuje sobie, że jeśli to przetrwa, zakosztuje jeszcze „właściwego” życia. W końcu zgłasza się na terapię, którą kontynuuje do dziś. Wyemigrowała do Stanów.

O tym, że coś z nią nie tak, Agnieszka po raz pierwszy myśli na studiach. – Nie radziłam sobie z podstawowymi sprawami, mówiłam sobie: jesteś zahukanym osłem ze wsi. Potem były problemy w relacjach. Związek z dużo starszym mężczyzną, który zapewnił mi po-

czucie bezpieczeństwa i akceptację. Po raz pierwszy poczułam się „zaopiekowana”. Miał być ślub, ale się nie odbył. Wpadłam w depresję i wylądowałam w szpitalu. Wtedy podjęłam poważną terapię i powoli zaczęłam rozumieć, co się ze mną dzieje. Mimo leczenia i świadomości, że zostałam skrzywdzona, traumami z przeszłości poczęstowałam córkę, bo zostałam samotną matką.

W marcu 2020 r. pisze na facebookowej grupie: „Jestem dorosłą Agnieszką mobbingowaną jako dziecko przez rodziców i starszą siostrę. (...) Wyrósłam w domu, w którym moje prawa były regularnie łamane, ale kiedy mówię o tym ludziom, którzy mnie wtedy znali, patrzają jak na idiotkę i krzyczą: przestań! Byłaś czysta, nakarmiona, nie miałaś siniaków, chodziłaś do szkoły, miałaś same piątki, byłaś zdrowa. A w gabinecie psychoterapeuty słyszę, jak dzielna jestem, że przetrwałam, że szukam pomocy, że walczę i wygrywam. Od 20 lat nieprzerwanie biorę leki na depresję, przeszłam kurs asertywności, zbrałam się z DDA [Dorośle Dzieci Alkoholików – red.]. Ich objawy w dorosłości są zbliżone, tyle że DDA mają lepiej, bo ludzie im współczują”.

Agnieszce, jak twierdzi, nie współczuje nikt. Trochę na przekór tej myśli pod jej postem w krótkim czasie pojawia się tysiąc komentarzy. „To przecież moja historia”, piszą kobiety. Zapewniają o wsparciu, podziwiają, że się odważyła. Ktoś zauważa, że to problem całego pokolenia.

Edyta wcześniej wychodzi za męża. W tym czasie wciąż mieszka z rodzicami. Na terapię trafia, gdy okazuje się, że jej mąż jest alkoholikiem. Szuka wsparcia dla niego, trafia do grupy dla osób ze współzależnością. Zaczyna dostrzegać, że sama potrzebuje pomocy.

Rozkwita, gdy emigruje do Danii. Kończy studia. Staje się silniejsza, odchodzi od pijącego męża.

Edyta: – Nie mógł tego zaakceptować, zwłaszcza gdy znalazłam nowego partnera. Pewnego dnia wtargnął do mojego domu z nożem i podjął próbę gwałtu. Tym razem wiedziałam, jak się obronić: wyrzuciłam go za drzwi, wezwałam policję. Zadzwoniłam do rodziców, miałam nadzieję, że mnie wesprą. Zmilił to. Gdy był mąż został skazany na rok więzienia, zadzwoniłam ponownie. Mama krzyknęła z przerażeniem: „Jak to,



MARCIN ŻYŁA opowie

Grzegorzowi Chlaście o tym, co zastania widok z polskich gór (tekst na s. 31), w środę

17 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC.

Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM |

Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

rok więzienia?!". To był dla mnie kolejny cios. Moja krzywda mogła zostać zignorowana, ale fakt, że ktoś został ukarany za wyrządzenie mi krzywdy, obudził w niej lęk. Od tej sytuacji minęło 5 lat. Ułożyłam relacje z byłym mężem, jesteśmy w stanie współpracować w opiece nad dziećmi. Ale rodzicom nie wybaczyłam.

Podczas pandemii Agnieszka zmienia zawód i zaczyna robić to, o czym marzyła – projektuje wnętrza. Gdy na polskich ulicach protestują kobiety, za deklarację ich wsparcia ojciec wyrzuca ją z domu. Agnieszka orientuje się, że choć o swoje nieszczerście obwiniała głównie mamę, to on sterował rodziną. Zarzuca mu fałsz, gdy dowiaduje się, że dwukrotnie zmusił mamę do aborcji.

Agnieszka: – A przecież w niedzielę szliśmy do kościoła, po mszy było standardowe odpytywanie z kazań. Obowiązkowa regularna spowiedź, przed którą trzeba było rodziców przeproszać. Nauczyłam się to robić, choć nie wiedziałam dokładnie, za co.

Po wyjeździe do Danii Edyta czuje, że ciężar, jaki spada jej z pleców, związany jest nie tylko z opuszczeniem rodzinnego domu. Gdy zapada wyrok w sprawie byłego męża, uznaje, że ten kraj chroni jej prawa jako kobiety i człowieka.

Edyta: – W pedagogice pod nazwą „habitus” kryje się nasze „społeczne DNA”, korzenie, wzorce. W dorosłym życiu trudno wyjść poza te role. W Polsce gdy siadam przy rodzinnym stole, mój głos przestaje być słyszalny. Dopiero kiedy jakiś mężczyzna podłapuje temat, wszyscy zwracają się ku niemu. W mojej rodzinie, gdy kobieta chce, by jej słowa miały wartość, dodaje: „bo mój mąż tak powiedział”. Uważam, że problem „cichej” przemocy w Polsce ma charakter systemowy i bardzo ciężko go przełamać.

Kastracja

Postawny, wysportowany, uprzejmy. Gdy mówi – cicho, ważąc każde słowo – ucieka wzrokiem. Na pytanie, jak się ma, odpowiada: różnie. „Z pewnych lęków się nie wychodzi”.

Maciek: – W domu nie było przemocy fizycznej ani alkoholu. Przeciwnie, był tępiony i opisywany jako najgorsze zło, pewnie dlatego, że obaj dziadkowie mieli z nim problem. Niemal go nie dotknął do 30. roku życia. A jednak ten dom, choć z zewnątrz „porządny”, kojarzył mi

się wyłącznie ze strachem i przygnębieniem. Ze złością, biedą i zinnem.

W domu rządził tata dyktator. – Pamiętam, jak przed wyjściem do pracy kładł mamie na stole 10 złotych – opowiada Maciek. – Nie pytał, czy wystarczy. Musiało, bo mama nie pracowała. Gdy podrosłem, bilety na pociąg do szkoły kupowałem z uzbieranych przez siebie groszy. Nie chciałem, by mamie do tych zakupów brakowało. Nie wiem, ile tata zarabiał, ale po jakimś czasie się okazało,

MACIEK:

Rodzice sprawili, że weszliśmy w życie bez własnego zdania, bojąc się wszystkiego, nie wierząc, że cokolwiek potrafimy.

że odkładał gdzieś pieniądze, i że można było nimi gospodarować tak, byśmy żyli w mniejszym stresie. Nie jeździliśmy na wakacje. Problemem był nawet wyjazd nad pobliskie jezioro. Gdy byliśmy dziećmi, mało się bawiliśmy. Mieliliśmy zabawki, ale tata twierdził, że bawiąc się, psujemy je. Kiedy podrośliśmy, strofował nas, gdy próbowaliśmy pomagać w domu czy majsterkować. Mówił: „Rób, co ci każe, albo nie rób wcale”. Starszy brat z obawy przez „psuciem” wycofał się z „męskich” zajęć i uciekł w książki. A ja zacząłem o sobie myśleć: nie zarabiam, więc jestem nic niewart. Nie wychodziłem z kolegami do miasta czy kina, nie chciałem pokazać, że nie mam pieniędzy.

– Mama była ofiarą ojca – kontynuuje. – Poddawała się jego rozkazom i choć widziała, że jest wobec nas surowy, zawsze powtarzała, byśmy „nie stosowali przemocy”. Nie broniła nas ani nie pozwalała nam się bronić. Obydwoje sprawili, że weszliśmy w życie bez własnego zdania, bojąc się wszystkiego, nie wierząc, że cokolwiek potrafimy.

Na Facebooku Maciek dzieli się swoją największą pasją – zawodami kolarskimi. Ma w nich osiągnięcia, staje na podium, na niemal każdym zdjęciu się uśmiecha. A jednak mówi: to uśmiech przez łzy.

– Gdy wygram, tata rzuca: jesteśmy z ciebie dumni. A ja sobie myślę: z czego, skoro mam 37 lat i startuję w amatorskich zawodach. O tym, że kocham rower, wiedzieliście, gdy byłem dzieckiem. Denerwowało was, że jeżdżę, do tego stopnia, że mi kiedyś ten rower schowaliście i powiedzieliście, że go skradziono. Gdy byłem nastolatkiem i jeździłem, by poczuć się lepiej, mówiliście, że brudzę ubrania. Potrafiliście zabić każdą pasję, każdą radość i każdą relację.

Z relacjami dorosły Maciek wciąż sobie nie radzi. Ani z koleżeńskimi, ani z damsko-męskimi. Żeni się, ale małżeństwo szybko się rozpada. Szuka nowych związków, bo uważa, że tylko inna osoba nadaje jego życiu sens, ale też nie potrafi się w nich odnaleźć. Stany depresyjne pojawiają się często.

Po rozpadzie małżeństwa idzie na terapię. Orientuje się, że dom, w którym dorastał, nie był bezpieczny, i że popełnia te same błędy, co rodzice. Brat Maćka również idzie na terapię. Zaczynają nazywać rzeczy po imieniu: przemoc emocjonalna, ekonomiczna. Wspierają się nawzajem.

Maciek przerywa terapię po kilku latach. Martwi się, że wydaje na nią za dużo pieniędzy. Ciągłe siedzi w nim niepewność, czy zasłużył, by się sobą zaopiekować.

Powrót do życia

– Nazywam się Pola, mam 43 lata. Jestem DDA i DDD [syndrom dorosłego dziecka z rodziny dysfunkcyjnej – red.], współzależnioną, matką, kobietą, żoną, a przede wszystkim Bożym stworzeniem, najukochańszą córką Jezusa i Maryi. Mama była chora na schizofrenię. Jej tata również był alkoholikiem, śmiertelnie się go bała, potem się powiesił. Chodziłam do tego samego przedszkola, w którym pracowała jako opiekunka. Potem zaczęła zasypiać w godzinach pracy i przeszła na wczesną rentę.

Funkcjonowaliśmy zależnie od jej samopoczucia. Leżała przez kilka tygodni, po czym przychodził kilkutygodniowy okres aktywności. Gotowała, sprzątała, uprawiała ogródek, lubiła się stroić, dużo czytała. Potem znowu: spała, płakała, izolowała się. Nie wiedziałyśmy z siostrą, czym jest jej choroba, dowiadywałyśmy się tego z obserwacji. Nie uważałam mamy za osobę, do której mogę pójść po wsparcie, potrafiłam zwyzyszczać ją od wariatek. Gdy w kłótni ze mną lub z siostrą →

→ nieporadnie chwyciła szczotkę do obrony, budziło to nasz śmiech. Ale mam też dobre wspomnienia – gdy czuła się lepiej, tańczyłyśmy razem, śpiewała, uczyła gotować, mówiła prawdę o swojej rodzinie, alkoholizmie, tajemnicach.

Tata był historykiem, dyrektorem szkoły, potem popadł w chorobę alkoholową. Bałam się go całe dzieciństwo.

Gdy jako nastolatka poznałam chłopaka, obecnie mojego męża, całą sobą weszłam w tę relację. Po kilku latach wyjechałam za nim do Anglii – właściwie uciekłam, bo dopiero na miejscu zadzwoniłam i powiedziałam tacie, że nie wracam. W Anglii mieszkamy do dziś, tu wzięliśmy ślub, tu urodziło się naszych dwóch synów.

Po 15 latach mój mąż wrócił do nałogu. Wiedziałam, że jest uzależniony, zanim wzięliśmy ślub. Szukając dla niego pomocy, trafiłam na terapię. To tam dowiedziałam się, że potrzebuję jej tak samo jak on.

Równoległe z terapią pogłębiała się moja wiara. Modliłam się, słuchałam konferencji na YouTube. Otworzyłam się na działanie Boga, to On mnie uleczył. Zmierzyłam się z wewnętrznym zranionym dzieckiem, ze straconym dzieciństwem, przebolełam relację z rodzicami. Odmroziłam uczucia. Żyję wreszcie – dla siebie i dla swojej rodziny. Zachwygam się i patrzę z miłością na moje dzieci. Nauczylismy się w domu rozmawiać o uczuciach, radzić sobie ze złością.

Wraz z terapeutką i dwiema koleżankami stworzyłyśmy w naszym regionie polską grupę dla osób DDD i DDA. Słyszę czasem, jak ludzie mówią: chciałbym wrócić do dzieciństwa. A ja jestem szczęśliwa i wdzięczna za wszystko, co mam teraz.

Pojednanie

Lidka, Edyta, Pola – każda z nich uważa, że emigracja była nieprzygodkowa; że była ucieczką nie tylko z domu, ale też kultury-systemu. Maciej wyprowadził się do sąsiedniej miejscowości, Agnieszka wróciła do rodzinnej.

Edyta: – Czasem dzwonię do rodziców, rzadziej odwiedzam. Postanowiłam, że będę miała do nich dystans.

Nie oczekuję bliskości czy pytań, co u mnie. To, czego zabrakło mi w relacji z nimi, dostaję od innych. A gdy mam potrzebę powiedzenia im czegoś, mówię wprost, choć nie mam już nadziei, że zrozumieją. Jestem pedagogiem dla tej małej Edytki, która ciągle jest w środku. Otaczam ją opieką i troską.

Agnieszka: – Wciąż za dużo o rodzicach myślę, zbyt duży mają wpływ na to, jak postrzegam siebie. Odkąd odkryłam, że to ojciec z tylnego siedzenia kierował naszym życiem, przetrzymałam na niego wściekłość. Nie, nie kocham ich. Ale nie nienawidzę. Czekam, aż terapia doprowadzi mnie do etapu, gdy będę mogła przejść obok nich ulicą, przywitać się i pójść dalej. Coraz częściej mam wrażenie, że są mi obojętni, i czuję ulgę.

Pola: – Napisałam mamie list z przeprosinami za zniewagi i ignorancję; włożyłam do jej trumny. We wrześniu ubiegłego roku zmarł tata – tak jak ona wyskoczył przez okno, choć był pod wpływem alkoholu i jestem pewna, że nie wiedział, co robi. Zanim to się stało, udało nam się pojednać. Nie, nie rozmawiałam z nim wprost – zwróciłam się do niego w medytacji, jak mała Pola, która chce powiedzieć rodzicowi, co jej się stało. Gdy potem dzwoniliśmy do siebie, zaczęłam się przed tatą otwierać, opowiadać mu o mojej historii, o sobie. Pytałam go o jego historię, przyjaźnie, dzieciństwo. Pewnego dnia postanowiłam go przeprosić za mój chłód i dystans, za to, że krzyczałam na niego, gdy był pijany. Był zaskoczony, podziękował i powiedział: „Też chciałbym cię przeprosić, ale jeszcze nie jestem na to gotowy”. To wystarczyło, by w moim sercu zagościł spokój. Kilka tygodni temu przyśnił mi się. Spotkałam go w długim korytarzu, trzymał ręce na klamce jakichś drzwi. Powiedział: „Przyszedłem się z tobą pożegnać. Kocham cię, córeczko moja”. „I ja też cię kocham, tato” – odpowiedziałam. Popatrzyłam na niego, przytuliliśmy się. Teraz, po latach, gdy jestem z rodzicami pojednana, mogę nareszcie żyć.

© P

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Niektóre imiona oraz szczegóły zostały zmienione.



Czego nie widać

MAŁGORZATA RUTKOWSKA,
PSYCHOTERAPEUTKA:

Ofiara przemocy chce powiedzieć rodzicom: zobaczcie, co mi zrobiliście! I usłyszeć: nie mieliśmy pojęcia, przepraszamy. Ale najczęściej spotyka się ze ścianą.

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET:
Ofiary mówią o niej różnie: przemoc cicha, niewidzialna, niezrozumiana. O czym właściwie rozmawiamy?



MAŁGORZATA RUTKOWSKA: W dysfunkcyjnych domach, rodzinach, związkach czy grupach szkolnych mogą pojawić się przede wszystkim dwa rodzaje przemocy. Fizyczna – ta „widzialna”, bo często zostawiająca ślady na ciele ofiary. I psychiczna czy emocjonalna, której można nie zauważyć, bo może być bardziej subtelna – to np. poniżający czy opresyjny klimat w rodzinie. To nie jest przemoc spektakularna, czasem obywają się bez krzyku czy ostrych słów, czasem ma miejsce w całkowitej ciszy. Takim rodzajem przemocy jest też utrzymywanie kogoś w przekonaniu, że nie ma głosu, że musi się podporządkować, nie może wyjść poza przypisane mu w strukturze rodzinnej miejsce, a jeśli to robi, należy mu się za to kara. A więc przemoc tkwi w strukturze.

Francuski socjolog Pierre Bourdieu ukuł pojęcie przemocy symbolicznej. Zajmując się systemem edukacji zauważył, że pomysły, które mają wyrównać

szanse uczniów z mniej uprzywilejowanych środowisk, niekoniecznie się sprawdzają, a wręcz podtrzymują te podziały, programy zaś, które mają pomóc wyjść z nierówności, wręcz ją uwypuklają i udowadniają, jak bardzo jest ona niezmienialna – np. wtedy, gdy tworzone są klasy dla uczniów zdolnych i tych, którzy gorzej sobie radzą z nauką. Przemoc symboliczna dotyczy więc nie tyle poszczególnych zachowań (jak w przypadku przemocy ekonomicznej, fizycznej czy emocjonalnej), ile całego systemu, który tworzy warunki i klimat do pojawiania się konkretnych aktów przemocowych. Przemocowość takiego systemu jest przewrotna, bo ci, którzy są ofiarami, nie widzą tego, a czasem wręcz wychwalają system – bo wierzą w niego jako w coś sensownego i odwiecznego.

W naszych domach słyszymy, że o tym, co dzieje się w rodzinie, nie mówi się na zewnątrz.

To dobry przykład. Przemoc działa tu przez niewypowiedziane założenie, że z trudnościami rodzinnymi musimy poradzić sobie sami, nie wolno albo nie wypada prosić o pomoc na zewnątrz.

W historiach ofiar przewijają się wspólne wątki. Wyśmiewanie dziecka, podkreślanie jego porażek, bicie, ale tak, by nie było śladów. Z jakimi traumami takie osoby wchodzą w życie?

Najogólniej rzecz biorąc – dopóki tego nie przepracują, często powtarzają to, czego najbardziej się boją, czyli wzorce wyniesione z domu. Jeśli rodzice mieli toksyczny związek, to może się okazać, że wybrany partner – choć na pierwszy rzut oka zupełnie inny od rodziców – w kluczowych cechach i konkretnych sytuacjach będzie ich przypominał.

Dzieci z domów dotkniętych „niewidzialną” przemocą mają wiele problemów emocjonalnych. Niskie poczucie własnej wartości. Przekonanie, że nie dadzą rady sięgnąć po swoje – a jeśli już, to tylko przemocą, z czego wynika niewrażliwość na innych. Twierdzą, że życie jest wrogiem, że nie ma w nim miejsca na słabość. Brak im zaufania do świata. Często mówią, że tylko rodzina jest źródłem dobra, że nawet najgorsze relacje z bliskimi są lepsze i ważniejsze od tych z ludźmi spoza najbliższej rodziny. Dorośli, którzy doświadczyli przemocy w rodzinach, łatwiej mogą później utknąć w przemocowych związkach.

Ofiary nie zawsze mogą liczyć na zrozumienie. Od osób, którym o tym opowiadają, słyszą: przesadzasz, jesteś przewrażliwiony.

Może być tak, że ktoś słyszy wyznanie, które uderza w jego własną bolesną strunę. Łatwiej sobie wtedy powiedzieć: „ojciec mnie bił, ale dzięki temu jestem silny, nie daję się nikomu poniżyć, wiem, co złe, a co dobre”. To klasyczne próby ochrony resztek dobra we własnej rodzinnej historii.

Wielu ludzi wychodzi z założenia, że powiedzenie czegoś krytycznego o swojej rodzinie przekreśla wszystko, co w niej było pozytywnego. Wysiłku emocjonalnego, a czasem terapii wymaga zrozumienie, że można utrzymać w sobie złożony i niejednoznaczny obraz własnego dzieciństwa i bliskich osób: że w rodzinie były dobre rzeczy, które zasługują na uznanie →

→ i wdzięczność, i były też złe rzeczy, które są do przepłakania i przebolewania.

Wynosimy z domów, że łzy dziecka są śmieszne, nieadekwatne do problemu. Stare podręczniki zalecają, by płaczące przed zaśnięciem dziecko zostawić. „Ma się wyplakać” i iść spać. Przecież to brzmi przemocowo.

Jeśli to jest dziecko, które jeszcze nie mówi, to przecież tylko płaczem może zakomunikować, że jest mu źle, że odczuwa frustrację, strach, dyskomfort fizyczny. Pozostawienie go z tym uczuciem jest faktycznie formą przemocy, bo uświadomienia jego doświadczenia.

Musimy też pamiętać, że w doświadczeniu psychicznym dziecka opuszczenie i nieobecność są gorsze niż aktywna przemoc. W psychoterapii analitycznej mówimy o obiekcie – ważnej dla człowieka osobie, najczęściej opiekunie z najwcześniejszego okresu życia. Jego obraz staje się częścią świata wewnętrznego dziecka i zostaje w nim do końca życia. Bardzo małe dziecko nie ma świadomości, że jeśli obiekt – np. mama – wychodzi z pokoju, to znajduje się w innym pomieszczeniu i zaraz może wrócić. Dla niemowlęcia on zniknął, przestał istnieć i już nigdy go nie będzie. Zrozpaczona reakcja dziecka jest więc lękiem przed nicością, rozpadem, śmiercią. Wynika z przekonania, że jeśli nie ma mamy, ono też umrze.

Te stare, „zimne” metody wychowawcze może i były stosowane w dobrej wierze. Ale zostały w wewnętrznym świecie dziecka trwały ślad.

Chyba większość z nas tego doświadczyła.

Często słyszę, że znów się do tego wraca. Modne staje się tradycyjne wychowanie twardej ręki. Jeśli ktoś się temu przeciwstawia, czasami zarzuca mu się próbę zniszczenia właściwego wzorca polskiej rodziny. A my tu przecież mówimy o prawdziwych ranach.

W relacjach ofiar przewija się też religia jako narzędzie opresji. Przykład: rodzice, którzy zamykają dzieciom usta przykazaniem o czi wobec ojca i matki albo grożą karą od Boga.

To inny ważny wymiar przemocy symbolicznej: dodawanie sobie władzy niekwestionowanym autorytetem Boga. Je-



ARCHIWUM PRYWATNE

MAŁGORZATA RUTKOWSKA jest psycholożką i psychoterapeutką, antropolożką kultury, absolwentką Kolegium MISH UW i Instytutu Analizy Grupowej „Rasztów”, tłumaczką literatury psychoanalitycznej. Zajmuje się terapią indywidualną i grupową pacjentów z zaburzeniami depresyjnymi, lękowymi, zaburzeniami osobowości, problemami separacyjnymi, nieprzeżyta żałobą.

śli ofiarą jest dziecko, to nie ma jak się temu przeciwstawić – przecież stawiamy je wobec systemu władzy ostatecznego, bez wątpienia słusznego, dobrego, nie do zakwestionowania.

Na jakim etapie życia zgłaszają się do Pani pacjenci z doświadczeniem przemocy symbolicznej?

Czasem zaczyna się od jakiegoś dramatycznego wydarzenia w życiu, np. utraty, po której nie można się pozbierać. Mogą pojawić się objawy somatyczne, które same w sobie nie wskazują na to, że problem jest emocjonalny: kołatanie serca, migreny, zawroty głowy, utraty przytomności, drętwienie kończyn albo twarzy, wysokie ciśnienie, gwałtowne problemy żołądkowe, zaburzenia widzenia, duszności. Jeśli badania nie wykazują istniejących schorzeń, pacjent kierowany jest do psychiatry. Bywa, że nie widzi w tym sensu – bo przyjęło się, że utożsamiamy słowo „problem emocjonalny” z czymś, co jest wyobrażone, nieistniejące. Choć przecież jego dolegliwości są realne, tylko nie dają się medycznie uzasadnić albo wyleczyć.

Czasem przysyłany przez psychiatrę pacjent przychodzi do terapeuty i mówi: nie rozumiem, dlaczego tu jestem, przecież miałem normalną rodzinę, nikt mnie nie

bił, nie zgwałcił. Dopiero w procesie leczenia wychodzi na jaw, że w domu tej osoby nie było wprawdzie przemocy fizycznej, ale była ta „niewidzialna”, naruszająca więź z rodzicami. Na tym etapie ważne jest, by wejść w proces psychoterapii, by się nie zrażać trudnym początkiem i mieć świadomość, że on przyniesie efekty z czasem. Oraz pamiętać, że w psychoterapii nie chodzi o to, by szukać winnego – w późniejszych jej etapach pacjent często podejmuje próbę zrozumienia rodzica, bo czasem on wcale nie krzywdził świadomie.

Nie każdy decyduje się na konfrontację z rodzicami. Jak to wygląda? I czy ma sens?

Dla konfrontowanych zazwyczaj jest to wstrząs. Rodzina jest przerażona, broni się, nie wie, o co chodzi. Bo pacjent, który przeszedł przez terapię oraz wiele zrozumiał, to, co mu się przydarzyło, widzi w szerszej perspektywie. Doświadczył potężnej emocjonalnej ulgi i chce się tym podzielić z bliskimi. Zazwyczaj nie chodzi o odwet, raczej o próbę uratowania relacji. Ofiara mówi: „Spróbujcie to zrozumieć, może wam się też coś wyjaśni, poprawi. Zobaczcie, co zrobiliście; czy wiedzieliście w ogóle, czy chcieliście tego?”. Chciałaby usłyszeć: „Nie mieliśmy pojęcia, nie chcieliśmy, przepraszamy”.

I jaka jest odpowiedź?

Najczęściej spotyka się ze ścianą. Rodzic nie wie, co się do niego mówi. Przecież wychowywał dzieci tak, jak jego wychowywano. Np. dbał o dziecko, ale za bardzo się nad nim nie rozklejał, żeby go nie rozpuścić. Może sam przeżył jakąś traumę, ale jej nie przepracował. W obu przypadkach nie rozumie krzywdy, którą spowodował, ani języka, w którym jest mu to komunikowane. Dlatego w gabinecie zachęcam do konfrontacji nie tyle z realnym rodzicem, ile z jego figurą, z takim jego obrazem, jaki pacjent ma w głowie. Czasem to wystarczy w procesie leczenia tych ran.

A jeśli komuś nie wystarczy?

Na przeprosiny, zrozumienie naszych słów ze strony rodzica jest potrzebna jego gotowość, dlatego w większości przypadków taka oczyszczająca konfrontacja jest niemożliwa. Owszem, czasem zdarza się, że rodzic w końcu sam zgłasza się na terapię – o ile ma do tego chęci, bo to podstawowy warunek skutecznej terapii.

Musimy też pamiętać, że terapia działa raczej w pierwszej połowie życia. Później też oczywiście można ją podjąć, ale kiedy osobowość jest skonsolidowana, a mechanizmy obronne mocno utrwalone, nie przebiega tak łatwo. Na pewno zakładanie, że mama też pójdzie na terapię i wszystko się między nami ułoży, jest myśleniem życzeniowym.

Co właściwie sprawia, że dziś możemy dostrzec ten problem?

Wydaje mi się, że jeszcze kilkanaście lat temu ta rozmowa nie mogłaby się wydarzyć.

Dawniej rodziny wychowywały dzieci inaczej. Liczyło się to, jak mnie wychowywano i jak to robiono w otoczeniu. Od lat 60. zaczęły się badania tego, jak ważna jest więź i jak bardzo zależy od niej osobowość dziecka. Jeśli matkę i dziecko łączy przywiązanie typu bezpiecznego – dziecko czuje się dobrze z matką, jest zaniepokojone, gdy jej nie ma, ale nie przerażone, bo ma tę więź wbudowaną w siebie – to dobrze rokuje. A jeśli to jest więź zbudowana na lęku – dziecko nie jest pewne, czy matka się pojawi, kiedy będzie jej potrzebowało, nie czuje w niej oparcia albo nie wie, czego się po niej spodziewać – nie mówiąc już o przypadku, gdy najbliższa osoba jest jednocześnie krzywdzicielem – ma to ogromny negatywny wpływ na późniejsze relacje.

Obecnie dysponujemy już wynikami badań neurofizjologicznych funkcji mózgu i wiemy, że trauma jest nie tylko przeżyciem emocjonalnym, ale też powo-

MAŁGORZATA RUTKOWSKA:

W gabinecie zachęcam do konfrontacji nie tyle z realnym rodzicem, ile z takim jego obrazem, jaki pacjent ma w głowie.

duje funkcjonalne i strukturalne zmiany na poziomie neurologicznym. Są obszary w mózgu, które inaczej się kształtują, inaczej pracują na skutek traumy, niektóre w ogóle zanikają.

Problem, o którym mówimy, nie ogranicza się do przemocy domowej. Ostatnio mówi się o zjawisku zwanym mikro-agresją – to pojęcie utworzono głównie do opisu przemocy symbolicznej w pracy. Chodzi o pozorną serdeczność i uznanie, ale wyrażone bez wrażliwości na czyjąś odmiennosć rasową, seksualną, niepełnosprawność. Przykładem takiego zachowania będzie zdanie: „Jak świetnie sobie z tym radzisz, mimo że jesteś niepełnosprawny”.

Gdy na polskie ulice wyszły dziesiątki tysięcy kobiet, by zaprotestować przeciw wyrokowi Trybunału Konstytucyjnego, miałam wrażenie, że ich gniew był sprzeciwem także wobec tej

niewidzialnej przemocowości. Przeciw wychowaniu do „grzeczności”.

Istniejący system kulturowy przywołuje różne porządki, które są narzędziami przemocy symbolicznej: religię i kategorię grzechu – nie można sprzeciwiać się władzy Kościoła, a więc i Boga; estetykę przestrzeni społecznej i wandalizm – nieładnie mazać po ścianach zabytków; kategorię „człowieka kulturalnego, na poziomie” – wulgaryzmy świadczą o chamstwie. Myślę, że rzeczywiście większość protestujących zna je dobrze ze swojego życia.

Protesty zmusiły nas też do zauważenia, że do sfery przemocy symbolicznej należy pewna ugruntowana kulturowo narracja o kobietach. Mówi ona m.in., że jakieś role społeczne i postawy są dla kobiet właściwe i wskazane – np. łagodność, cierpliwość, opanowanie, poświęcenie – a inne nie.

Skoro przemoc symboliczna towarzyszy nam od zawsze, to może stratą czasu jest próba zmiany tego, czego zmienić się nie da?

To intymny temat. Zajęcie się nim na terapii wymaga odwagi, a powiedzenie o nim głośno – odwagi jeszcze większej. Skoro więc mówienie o jednostkowym doświadczeniu może się kojarzyć z obwinianiem rodziców, może warto położyć akcent na system – na to, że wspólnie podtrzymujemy jego przemocowość i jednocześnie jesteśmy jego ofiarami.

©®

Rozmawiała

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabinj,
Mariusz Sepioto, Andrzej Stankiewicz,
Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka,
Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Eliza Kačka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski,
Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucy, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Adereit, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

S-NET
GRUPA ZOZA

S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

REKLAMA

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Ptaszyna



GDZIE MAJĄ SIĘ POZNAĆ PRZYSZLI MAŁŻONKOWIE, jeśli nie przy źródle? Woda na Bli skim Wschodzie – tak zależnym od opadów w porze deszczowej – jest szczególnym symbolem płodności. To zarazem kontynuacja chlubnej tradycji: Rebeka, czerpiąc wodę dla wielbłądów Abrahamowego sługi, dowodzi, że jest godną kandydatką na żonę dla Abrahamowego syna. Jakub, ujrawszy Rachelę, sam jeden odsuwa ciężki głaz zabezpieczający dostęp do wody i poi stado ojca pasterki. Teraz czas na młodego Mojżesza, by u wodopoju zachował się szarmancko wobec siedmiu córek przyszłego teścia i dał odpór grubiaństwu madianickich pasterzy. Potem następuje zaproszenie do domu i negocjacja warunków córzanego zamążpójścia – tradycji staje się zadość.

Jakie warunki stawia ojciec Sefory (hebr. Cipora od *cipor* – ptak)? Według midraszy – po pierwsze matrylokalność, czyli po ślubie młodzi zamieszkają tam, gdzie rodzina żony, po drugie: pierworodny syn pary będzie wzrastał w religii dziadka. W Egipcie zapewne rozesłano już za Mojżeszem listy gończe, więc do czasu przedawnienia przestępstwa, co zbiegnie się z czasem powołania, nie ma tam czego szukać. Nieobrzezanie Gerszoma, w przeciwieństwie do młodszego syna Eliezera, okazuje się brzemiennie w skutki, gdy – za zgodą teścia – Mojżesz wraca z rodziną do swojego ludu. Tak jak anioł Boży napada na wracającego do Kanaanu praojca Jakuba, teraz znów nocną porą Bóg chce zabić „jego” (Mojżesza lub Gerszoma). Jakub walczy sam, przy Mojżeszu jest Sefora, która w lot rozumie tę tajemniczą sytuację. Obrzuca krzemieniem syna i dotyka skrwawionym napletkiem „jego” nóg, niwelując zagrożenie. To niesamowite i niespotykane, że kobieta – córka kapłana, więc może i sama kapłanka – składa krwawą ofiarę!

Sefora z chłopcami najprawdopodobniej nie dociera do Egiptu wskutek słów Aarona. Midrasz tak widzi spotkanie po latach: Mojżesz przedstawia bratu rodzinę i ten przekonuje go, że dzieci i żona nie będą bezpieczni w Egipcie. Zostają więc odesłani do Midianu i Jetro przyprowadza ich dopiero wówczas, gdy Izraelici po eksodusie znajdują się już na pustyni. Mojżesz entuzjastycznie wita teścia, natomiast żona zdaje się pominięta. Zapewne dlatego, że – w ramach przygotowań do nadania Tory na Synaju – mężczyźni mają nie zbliżać się do kobiet. Po nadaniu Tory Bóg nakazuje odesłać mężczyzn „do swoich namiotów”, pustynny przywódca zaś ma pozostać z Najwyższym. Chcąc być zawsze gotowym na spotkanie z Bogiem, Mojżesz odsuwa się od żony. Wedle rabinów ma mu to za złe solidarna z Seforą Miriam, która dzieli się swoim oburzeniem z Aaronem (Lb 12, 1). Los żony przywódcy bywa niewesoły – z czegoż jeszcze nasza Ptaszyna musi zrezygnować? ©

O. WACŁAW

Oszajca: Coś jeszcze



NOE USŁYSZAŁ OD BOGA: „NIE BĘDZIE JUŻ WIĘCEJ POTOPU, który miałby spustoszyć ziemię (...). Oto znak przymierza (...). Łuk mój kładę na obłoku, aby był znakiem między Mną a ziemią. (...) Gdy więc pojawi się łuk na obłoku i zobaczę go, przypomnę sobie wieczne przymierze między Bogiem i wszelką żywą istotą cielesną, która jest na ziemi”. A zatem bez paniki, tęcza wciąż istnieje.

Wielki Post – to znaczy, że wiosna, nawet jeśli jakaś bestia ze wschodu czy skądinąd sypnie śniegiem i pomrozi, nic nie szkodzi, wiosna przyjdzie, bo przyjść musi, jak zachód i wschód słońca, i jak coś jeszcze, nieskończenie konieczniejszego.

*nadmorskie
pomarańczowe słońce
tańczy o zachodzie
tango z nostalgią
zmysłów patrzących
na granicę wody
nieba
światła
wehikuł czwartego
wymiaru otwiera
przestrzeń
czas*

Do tego „coś jeszcze” owa nostalgia zmysłów z wiersza Stanisława Kierońskiego wskazuje drogę. Najwidoczniej człowiekowi nie wystarcza tylko to, co mieści się w zmysłach, umyśle i sercu. Człowiek potrafi marzyć, a ta droga prowadzi poza mierzalne, do tego, „czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało, w serce człowieka nie wstąpiło, to przygotował Bóg tym, którzy Go miłują” (1 Kor 2, 9). Franciszek mówi, że to marzenie, wynikające z czułości, otwiera i prowadzi nie poza istniejącą rzeczywistość, ale w jej głębinę. Przepustką jest stosunek do drugiego – zwłaszcza potrzebującego.

Franciszek w styczniu na wieść o zmarłym z zimna na placu św. Piotra bezdomnym Nigeryjczykowi Edwinie przypomniał słowa św. Grzegorza Wielkiego, „który w obliczu śmierci żebraka z zimna stwierdził, że tego dnia nie będzie się odprawiać mszy świętej, ponieważ jest to jakby Wielki Piątek. Pomyślmy o Edwinie. Pomyślmy, co czuł ten 46-letni mężczyzna na mrozie, lekceważony przez wszystkich, opuszczony, nawet przez nas. Módlmy się za niego”. Pamięć o Edwinie woła, by zainteresować się jemu podobnymi. Wielki Post jest ku temu doskonałą, ale nie jedyną okazją. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Okruch geografii

Bóg nie może dawać mało.

Może dać
albo wszystko,
albo nic.

MISTRZ ECKHART



Istotą pokoju jest połączenie
przeciwnieństw.

NACHMAN Z BRACŁAWIA



„JEZUS OPUŚCIŁ OKOLICE Tyru i przez Sydon przyszedł nad Jezioro Galilejskie, przemierzając posiadłości Dekapolu” – liturgia przypomniała nam niedawno ten fragment

Ewangelii według św. Marka (Mk 7, 31). Przyznajcie, że tego typu informacje rzadko przyciągają naszą uwagę. Tymczasem warto otworzyć sobie biblijny atlas właśnie po to, by się najpierw zdumieć, następnie zaś zapytać: czy chcemy wybrać się z Jezusem w taką drogę, zgodnie ze starożytną i średniowieczną sentencją: *omnis Christi actio Christiani est lectio* (każde działanie Chrystusa jest nauką dla chrześcijan)?

Jezus z Tyru idzie nad Jezioro Galilejskie przez Sydon. To mniej więcej tak, jakby z Łodzi do Krakowa wędrować przez Olsztyn. Jezioro Galilejskie leży na południe od Tyru i Jezus mógłby łatwo ku niemu powędrować idąc zapewne najpierw wygodnie wybrzeżem Morza Śródziemnego, a następnie skręcając na wschód. Sydon leży jakieś 40 km na północ od Tyru, to znaczy, że pierwszy kawałek drogi (cały pierwszy dzień marszu) Jezus szedł dokładnie w odwrotnym kierunku do zamierzonego. Z Sydonu mógł się dopiero skierować na południowy wschód w kierunku Dan, korzystając z korzystnego ułożenia terenu u podnóża Gór Libańskich i góry Hermon, być może przez Hazor i Cezareę Filipową ku wschodniemu brzegowi Jeziora Galilejskiego, i to na jego południe (skoro celem były miasta Dekapolu).

W sumie pewnie jakieś 170, może 200 km. Dopiero śledząc na mapie tę marszrutę, można się domyślić Jezusowych intencji. Nie chodziło o to, aby jak najszybciej z Tyru dotrzeć z powrotem do swego „domu” nad Jeziorem Galilejskim (w Kafarnaum). Przeciwnie, Jezus wyznaczył określną drogę przez pogańskie terytorium – tak jakby chciał pobyc (5-6 dni) w pogańskim świecie, wśród ludzi nienależących do Narodu Wybranego.

Wyprawa misyjna, zapowiadająca późniejszą misję Kościoła do pogan? Pewnie tak. Uderza nas jednak styl tej misji. Nic nie wiadomo, żeby w tym czasie przepowiadał i głosił. Raczej po prostu szedł – wędrował, docierał do kolejnych miejsc, chciał poznać ten świat i tamtych ludzi. Być dostępnym, otwartym na spotkanie. To przejście, obecność i dostępność zaowocowały. Zaraz w kolejnym zdaniu czytamy: „Przyprowadzili Mu głuchoniemego i prosili Go, żeby położył na niego rękę” (Mk 7, 32).

Omnis Christi actio Christiani est lectio. Czy jesteście gotowi do takiej drogi? Przez pogański świat? Iść do niego, pobyc w nim, być do dyspozycji, być obecnym? Jak łatwo jest zrezygnować z najprostszej formy Jezusowej misji – z tego, by włożyć sutannę i przejść się po mieście, nie dla ostentacji, nie dla jakiegoś „sprzeciwu”, ale dla obecności życzliwej i otwartej, bez lęku.

Wszak o wiele łatwiej i bezpieczniej (czy rzeczywiście?) jest siedzieć w zamkniętych okopach własnego kościoła i narzekać, że „nie przychodzą”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (21 – 28 II)

1. niedziela Wielkiego Postu:

Rdz 9, 8-15; Ps 25; 1 P 3, 18-22; Mk 1, 12-15;

Poniedziałek: 1 P 5, 1-4; Ps 23; Mt 16, 13-19;

Wtorek: Iz 55, 10-11; Ps 34; Mt 6, 7-15;

Środa: Jon 3, 1-10; Ps 51; Łk 11, 29-32;

Czwartek: Est 4, 17k. l-m. r-u; Ps 138; Mt 7, 7-12;

Piątek: Ez 18, 21-28; Ps 130; Mt 5, 20-26;

Sobota: Pwt 26, 16-19; Ps 119;

Mt 5, 43-48;

2. niedziela Wielkiego Postu:

Rdz 22, 1-2. 9-13. 15-18; Ps 116B;

Rz 8, 31b-34; Mk 9, 2-10.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



POLSKA BEZ ŁASKI

Musimy wypłenić z życia społecznego paternalizm. Nowe relacje państwa z Kościołem to tylko jeden z wymiarów takiej zmiany, ale z różnych powodów kluczowy.

RAFAŁ MATYJA

O POLITYCE NAJBLIŻSZYCH LAT NIE WARTO myśleć jako o korekcie rządów PiS, ani tym bardziej o przywróceniu stanu z roku 2015. Jesienne manifestacje otworzyły perspektywę głębszej – choć może oddalonej w czasie – zmiany porządków ustrojowych i społecznych w duchu, który stanowiłby alternatywę dla umocnionego w ostatnich pięciu latach paternalizmu.

Alternatywa taka to nie tylko zakwestionowanie praktyk ustrojowych czy stylu rządzenia, ale też szerszego porządku społecznego, do którego odwołuje się obecna władza. To coś więcej niż odpowiedź na słabnące rządy PiS i coś więcej niż program opozycji parlamentarnej. Chodzi o zorganizowanie wyobraźni politycznej Polaków wokół celów, jakimi są partnerskie społeczeń-

stwo, zamknięcie epoki klerykalizmu politycznego, zdolne do kooperacji instytucje publiczne, cywilizowane warunki pracy.

Najważniejszy spór dekady

Nowa perspektywa jest ważna przede wszystkim dlatego, że polityka prawicowej koalicji traci kontakt z rzeczywistością i staje się coraz gorszym punktem od-



Wybory parlamentarne w komisji wyborczej w salach katechetycznych przy kościele Trójcy Przenajświętszej. Katowice, październik 2015 r.

następnej dekady. To będzie próba obalenia tradycjonalistycznego i paternalistycznego porządku, umocnionego – co wydaje się paradoksalne – zarówno w epoce PRL, jak i pod rządami neoliberalnych metafor Trzeciej Rzeczypospolitej.

Paternalizm ten ma różne źródła: porządki rodzinne, przyjętą na poziomie ustrojowym wizję Kościoła jako nauczyciela i wychowawcy społeczeństwa, kształt życia publicznego, wreszcie relacje w miejscu pracy. Paternalizm ekonomiczny wyraża się w traktowaniu przedsiębiorcy jako tego, który łaskawie daje pracę w swojej firmie, który „wie lepiej” niż inni, na czym polega współczesny świat, dlatego pomaga tym nieporadnym poprzez tworzenie miejsc pracy. Paternalizm rządzi też światem nauki, a jego orędownikami są zarówno dobrotliwi nudziarze opowiadający o relacji mistrz–uczeń, jak i bezwzględni egzekutorzy swojej dominującej profesorskiej pozycji w relacjach z młodszą kadrą akademicką.

Przeciwieństwem paternalizmu jest społeczeństwo bardziej partnerskie. Ze zmniejszonymi dystansami społecznymi, z poczuciem większej współzależności. Takie, w którym umowa o pracę jest wymianą, a nie wielkodusznym świadczeniem przedsiębiorcy. W którym doświadczenie życiowe nie uprawnia do określania ram życia prywatnego innych. Społeczeństwo, które nie podkreśla na każdym kroku różnic majątkowych czy pokoleniowych i dostrzega sens wyrównywania szans kobiet i mężczyzn, nie poprzestając na wymówce „równości wobec prawa”.

Społeczny wymiar walki z paternalizmem będzie nie mniej ważny niż ustrojowy. Jego rdzeniem jest bowiem inna koncepcja szacunku niż ta, z którą mamy do czynienia obecnie. Oczywiście nie chodzi tu o sferę łatwych deklaracji, ale trudnych do zmiany praktyk. Nie wystarczy zmieniać język, jakim opisujemy realia. Trzeba także nauczyć się korygować utrwalone sposoby postępowania.

Ale właśnie to, że obalanie paternalizmu będzie procesem trudnym, że będzie napotykało na silny opór – może stać się zapłonem procesów politycznych. Mając poczucie, że źródłem oporu są nie tylko obyczaje, ale także prawa, zasady dystry-

bucji władzy formalnej, systemy przywilejów – przeciwnicy paternalizmu będą szukać także sposobów politycznej ekspresji swoich przekonań.

Zrozumieć protest w działaniu

Jesienne manifestacje tworzą dobry punkt odniesienia do tego, by myśleć o polityce nie tylko w kategoriach upływających kadencji, ale także możliwych momentów konstytucyjnych, w których istnieje szansa na dokonanie ważnej zmiany. Według amerykańskiego konstytucjonalisty Bruce’a Ackermana taki moment wymaga nie tylko istotnego społecznego zaangażowania w politykę, ale także spełnienia dalszych dwóch warunków: determinacji zwolenników zmian i odpowiedniego politycznego mandatu. Jesienne manifestacje spełniają jedynie pierwszy z trzech warunków. Moment konstytucyjny musi wyrazić się na dwa następne sposoby.

Choć politycy opozycji na różne sposoby zadeklarowali wolę zmiany relacji państwa z Kościołem i odrzucenia zmian wprowadzonych 22 października przez Trybunał pod kierunkiem Julii Przyłębskiej, to horyzont konstytucyjny wielu z nich uznaje z pewnością za zbyt ryzykowny. I to nie ze względu na trudność w zbudowaniu większości konstytucyjnej. Wszak na co dzień opowiadają o postulatach, które wymagałyby równie mało prawdopodobnych samodzielnych rządów ich własnej partii. Problemem jest fakt, że nie mają oni w ogóle w głowie takiej perspektywy.

To nie realizm czy kalkulowanie możliwego wyniku wyborów jest barierą w myśleniu o zmianach, ale rodzaj oportunizmu intelektualnego. Niechęć do zrewidowania ustrojowych podstaw, na których oparła się Polska w roku 1989. Ciągle obecna w polityce polskiej ostatnich trzech dekad, wyrażająca się w niezdolności do korekty błędów, nawet tych, za których naprawieniem zagłosowałaby konstytucyjna większość (jak choćby zniesienie izby wyższej lub zmiana sposobu jej wyboru).

Cykl afer, rozpoczęty sprawą Lwa Rywina, nie przekształcił się w moment konstytucyjny nie dlatego, że nie było pomysłów i projektów, ale właśnie dlatego, że kluczowe zmiany wprowadzono „poziom niżej”. Zwycięzcom wystarczyła likwidacja WSI, utworzenie CBA, przejście telewizji publicznej. W 2015 roku Prawo

niesienia dla tych, którzy chcą stworzyć dla niej alternatywę. Po roku 2019 pod rządami Prawa i Sprawiedliwości dryf stał się sposobem istnienia. A po pandemii będzie nim jeszcze bardziej. To czas, w którym władza działa od przypadku do przypadku, a społeczne wersje rzeczywistości rozpadają się na tysiące punktów widzenia. Dlatego ujawnione jesienią ubiegłego roku emocje stanowią pewną szansę, okazję do uporządkowania pola gry. Zwłaszcza że odbierają populizmowi i prawicy monopol gniew.

Byłoby naiwnością sądzić, że ten gniew, który zdominował ulice polskich miast, daje jakąś polityczną przewagę. Taką, która wyrazi się w rychłym zwycięstwie opozycji, ustępstwach władzy czy powstaniu nowych sił na scenie. Ten gniew jest co najwyżej zapowiedzią, a nie spełnieniem. Jest bardzo ogólnym określeniem pola najważniejszego sporu społecznego

→ i Sprawiedliwość nie miało także żadnej wizji nowych porządków, wykraczających poza zdyskontowanie swoich socjalnych postulatów oraz przejęcie kontroli nad wymiarem sprawiedliwości i mediami. Nie potrafiło nawet swoich słusznych intuicji dotyczących wzmocnienia prowincji przekuć na jakikolwiek program wykraczający poza transfery społeczne.

Kontekstem, w którym PiS formułował swój program zmian, był świat ukształtowany przez procesy i pojęcia lat 90. A opozycja bardzo długo mu w tym ograniczeniu perspektywy towarzyszyła. Zmiany pokoleniowe po tej stronie sceny politycznej, do jakich doszło na dobre po wyborach 2019 i 2020 roku, nie przyniosły jednak jeszcze żadnego intelektualnego zwrotu.

Tymczasem opozycja, a może ktoś więcej – zwolennicy zmian – powinni zrobić ile tylko możliwe, by nie zgasić poczucia siły i racji zrodzonego w czasie jesiennych protestów i wskazać ich szerszy sens. Opowiedzieć go nie swoimi słowami, ale w nowy – spójny z duchem protestów – sposób. Owszem, nie wiemy, jakie pozytywne rozwiązania mieli w głowach ich uczestnicy, nie wiemy, co kryło się pod ich okrzykami i hasłami, poza jednoznacznym odrzuceniem wyroku TK i sposobu rządzenia Polską przez PiS. Ale ten, kto naprawdę będzie chciał się dowiedzieć – dowie się. Nie w sensie naukowym i socjologicznym, ale poprzez uruchomienie procesu politycznego. Proces, w którym nikt nie będzie miał z góry racji, a nicyja wrażliwość i nicyje argumenty nie będą z założenia więcej warte.

Drugi z warunków umożliwiających zaistnienie „momentu konstytucyjnego” zostanie spełniony, gdy pojawi się w życiu publicznym znacząca grupa osób chcących zmiany ustrojowej i zdolnych do sprowokowania dużej debaty na ten temat. Debaty, w której wezmą udział nowi uczestnicy.

Kościół bez kredytu zaufania

Nowe porządki nie zostaną wprowadzone jedynie wolą światłego ustawodawcy. Regulacje prawne prowadzą nie rzadko do niezamierzonych konsekwencji, powodują wytwarzanie reguł nieformalnych, sprzecznych z intencjami twórców prawa. Dlatego o nowych porządkach trzeba myśleć tak, by nie absolutyzować mocy myślenia prawników i politycznych. Zwłaszcza w przestrzeni przekonań i praktyk religijnych, kontro-

wersji obyczajowych, kwestii wychowania i rodziny – ustawodawca powinien brać pod uwagę zupełnie inne wartości niż dotychczas. Stwarzać gwarancje praw człowieka i zachowywać świadomość, że nawet w dobrze opisanym prawnie polu toczy się walka o możliwość stosowania tych gwarancji.

Przypomnijmy choćby, że w świetle obowiązującej obecnie Konstytucji „Władze publiczne w Rzeczypospolitej Polskiej zachowują bezstronność w sprawach przekonań religijnych, światopoglądowych i filozoficznych”. Przepis ten interpretowany dosłownie opisuje jednak całkiem inne państwo niż to, które znamy z doświadczenia. Manifestowanie przekonań religijnych czy wręcz związków z Kościołem katolickim jest obyczajem w wielu samorządach, instytucjach sektora publicznego, nawet jeżeli nie osiąga tej ostentacji, którą obserwujemy na poziomie centralnym.

Przewaga i przywileje Kościoła w sferze publicznej nie mają źródła w konstytucji pisanej, ale są zakotwiczone w sferze reguł nieformalnych i regulacji niższego rzędu. Ustanowienie nowych porządków to nie tylko kwestia usunięcia „prawnych kotwic”, które są przesłanką przywilejów Kościoła. To kwestia świadomego kształtowania ustroju państwa laickiego, respektującego wolność religijną obywateli. Laickiego, a zatem świadomego realnej hegemonii Kościoła katolickiego w punkcie wyjścia. W ostatnich dekadach – a nie tylko pięciu latach – stała się ona zasłoną dla wielu nadużyć.

Pułapką jest myślenie o relacjach państwo–Kościół wyłącznie przez pryzmat dziesiątków drobnych regulacji. One są oczywiście niezmiernie ważne, ale muszą być częścią większego projektu ustrojowego, deklarowanego otwarcie jako szersza wizja zmian, związana z przełamaniem paternalizmu. Warunkiem sukcesu jest odrzucenie obowiązującej od lat 90. specyficznej logiki kompromisu z przedstawicielami instytucjonalnego Kościoła, bo to właśnie ona stworzyła uprzywilejowaną pozycję tej instytucji.

Wymogi dotyczące większości potrzebnej do zmiany czy ustanowienia nowej konstytucji są na tyle wysokie, by w procesie należało uwzględnić stanowisko opinii katolickiej, prowadzić dialog, w którym – w sposób transparentny – będą przedstawiane racje przemawiające za takim, a nie innym rozumieniem

wolności religijnej. Dialog i rzetelny proces tworzenia prawa to wystarczające warunki szacunku dla opinii tej części obywateli, którzy będą zwolennikami stanowiska głoszonego przez struktury kościelne. Zawieszeniu ulegć powinien mechanizm niejawnych uzgodnień z przedstawicielami tej hierarchii, którzy nieprzypadkowo nie są uczestnikami instytucji politycznych.

Kościół i tak przedstawi swoje stanowisko publicznie. Lepiej byłoby, gdyby mogło ono zostać skonfrontowane z postawami przeciwnymi czy krytycznymi w normalnej, równoprawnej rozmowie. Status „nauczyciela narodu”, o który upominano się w ostatnich trzech dekadach, został zdegradowany do statusu „chciwego, zrzedliwego wujka” nie przez przeciwników instytucji Kościoła, ale przez jej kierowników i gorliwych obrońców.

Bez względu jednak na ich postawę wobec procesu konstytucyjnego, warunkiem minimum dla zwolenników zmian powinno być zachowanie wolności religijnej, prawa do funkcjonowania instytucji, kultu, edukacji religijnej itp. Byłoby wielką niesprawiedliwością karanie ludzi, którzy działają w takich strukturach na rzecz dobra społecznego, za nadużycia Tadeusza Rydzyka, Sławoja Leszka Głódzia czy Marka Jędraszewskiego, za krycie księży-pedofilów czy skandali obyczajowych na szczytach kościelnej hierarchii. Taki założycielski błąd nadawałby nowym porządkom charakter zemsty, a nie sprawiedliwości.

W dalszym planie jest kwestia regulacji sfer dla opinii katolickiej kluczowych – od zakazu aborcji począwszy, przez prawa dotyczące rodziny i wychowania, a na nauczaniu religii skończywszy. Tu właśnie – bardziej niż w sferze instytucjonalnej pozycji Kościoła – znaczenie ma perspektywa przełamania paternalizmu, jako przekonania, że istnieją zinstytucjonalizowane autorytety moralne, które powinny regulować życie społeczne przy pomocy instrumentów prawnych. Innymi słowy, że nauczanie Kościoła powinno obowiązywać nie tylko katolików, ale wszystkich obywateli.

Praktyka jest zresztą taka, że Kościół bardzo często jest w tej debacie obrońcą tradycjonalizmu niekoniecznie chrześcijańskiego, dziwacznych uzurpacji i obsesji. Widać to zarówno w zgodzie na instrumentalizację religii przez środowiska nacjonalistyczne, jak i we wspieraniu

nagonki na środowiska LGBT. Trzeba być bardzo naiwnym, by sądzić, że w realiach wiejskiej lub małomiasteczkowej parafii dojdzie do subtelnych rozróżnień między potępianiem „ideologii LGBT” a szacunkiem dla osób żyjących w związkach jednopłciowych.

Jeszcze jaskrawszym przykładem jest stanowisko Kościoła w sprawie Konwencji Stambulskiej czy szerzej – realnej ochrony praw kobiet. Tu zresztą widoczne są gołym okiem różnice postaw między częścią środowisk katolickich a radykalizującym się mainstreamem, który właściwie utożsamia religię z jakimś antynowoczesnym ruchem protestu. Ta wizja skutkowała ostentacyjną sympatią wielu środowisk prawicy katolickiej do Trumpa i ruchów populistycznych, poszukujących legitymizacji w retoryce antyunijnej czy wzmacniających nastroje antyimigranckie.

Ta postawa stanowiła zapewne przesłankę zaangażowania się części duchowieństwa po stronie PiS. Tworzyła klimat, w którym Kościół porzucał dawną rolę arbitra i stawiał się w sposób ostentacyjny stroną. I tak właśnie powinien zostać potraktowany w nowej konstytucji. Jako podmiot, w którego ramach możliwe są dobre i złe zjawiska. Który może mobilizować dobre i złe postawy swoich wyznawców. Bez kredytu zaufania, którym dysponował na początku transformacji.

Logika współpracy

W oczywisty sposób rozwiązanie sprawy nowych relacji państwo-Kościół to tylko jeden wymiar nowych porządków. Ale z różnych powodów wymiar kluczowy. Bardzo możliwe, że zanim dojdzie do sprawczego procesu konstytucyjnego, będą możliwe zmiany ustawowe, korekty dotyczące finansowania różnych instytucji katolickich. Być może dojdzie do zmiany postawy samej hierarchii kościelnej. Jednak perspektywa zmian konstytucyjnych jest w takim procesie wręcz niezbędna. Po pierwsze po to, by odróżnić cząstkowe zwycięstwa od zaprowadzenia stanu pożądanego. Po drugie – by widzieć zmianę pozycji Kościoła w szerszej perspektywie zamierzonej zmiany społecznej. By umieć mobilizować poparcie dla szerszego procesu zmian społecznych.

Czy potrafimy odbudować logikę współpracy, wyciszając hegemoniczny imperatyw rywalizacji i „niszczenia przeciwnika”? Czy odebranie Kościołowi jego przywilejów może odbyć się bez prób dyskredytowania

Kalendarium nacisków

2008 Reagując na zapowiedź ministra Kopacz o refundacji zabiegów sztucznej reprodukcji, Rada Episkopatu ds. Rodziny nazwała in vitro „rodzajem wyrafinowanej aborcji”. Z kolei ówczesny przewodniczący Konferencji Episkopatu abp Józef Michalik zauważył: „Za cenę jednego życia, żeby dać przyjemność rodzicom i dać im dziecko, zabija się inne”.

2010 Abp Henryk Hoser na pytanie, czy postowie-katolicy, głoszący za in vitro, „muszą liczyć się z ekskomuniką”, odpowiedział: jeśli nie działają w kierunku ograniczenia szkodliwości takiej ustawy, to moim zdaniem automatycznie są poza wspólnotą Kościoła”.

2015 Po podpisaniu przez prezydenta Komorowskiego ustawy refundującej in vitro ks. prof. Wojciech Góralski powiedział: „Głosowanie za ustawą in vitro i podpisanie jej przez prezydenta to ewidentny publiczny grzech ciężki”. Zdaniem kanonistów należy takim osobom odmówić komunii.

W liście otwartym do prezydenta bp Ignacy Dec wezwał go, by nie ratyfikował „Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i przeciwdziałaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej”.

2016 Gdy do Sejmu trafił projekt Inicjatywy Ustawodawczej „Stop aborcji”, całkowicie zakazujący aborcji, prezydium episkopatu zaapelowało: zwracamy się do wszystkich ludzi dobrej woli, do osób wierzących i niewierzących, aby podjęli działania mające na celu pełną prawną ochronę życia nienarodzonych”.

2017 Episkopat zaprosił na swoje zebranie Kaję Godek – pomysłodawczynię Inicjatywy Ustawodawczej „Zatrzymać aborcję”, proponującej likwidację tzw. przestępki eugenicznej.

2018 Biskupi kilkakrotnie apelowali „o niezwłoczne podjęcie prac legislacyjnych” nad zamrożonym przez PiS projektem Kai Godek.

2020 Przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki wyraził zadowolenie z wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który przestankę eugeniczną uznał za niekonstytucyjną.

©© ASK

zwykłych katolików i ich uprawnionej wolności? Dopiero z perspektywy, jaką daje pewien całościowy projekt społeczny i ustrojowy, widać, że w takim postępowaniu nie chodzi wyłącznie o lepszy styl działania, ale o tworzenie nowego ładu także przez metody, jakimi się posługujemy, jakie uważamy za sprawiedliwe i prawomocne.

Społeczne zainteresowanie polityką i istnienie grupy ludzi zdeterminowanych, by promować zmiany w przestrzeni politycznej, to dwa pierwsze warunki Ackermana. By moment konstytucyjny został zwieńczony uchwaleniem ustawy zasadniczej, trzeba spełnić warunek trzeci – musza zostać stworzone formalne warunki dla przyjęcia takiego aktu. Przede wszystkim musi zostać uruchomiony proces zmiany w parlamencie, by powstała szansa poparcia przez odpowiednią większość. Dziś wydaje się to niezwykle odległe. Ale też nikt takiego wysiłku jeszcze nie podjął, nawet na poziomie opowiedzenia pożądanego zmiany. Co więcej, opozycji może wystarczyć perspektywa „odsuwania PiS od władzy” jako podstawowej legitymacji politycznej dla nowego rządu i koalicji.

Trzeci warunek wystąpienia momentu konstytucyjnego związany jest dziś zatem z pewnego rodzaju niewiadomą. Możemy sobie wyobrazić sytuację, w której zwolennicy zmian nie zdołają znaleźć efektywnego przełożenia na większość konstytucyjną. W której perspektywa poważnej zmiany będzie miała tylko znikomy wyraz w działaniu systemu politycznego. Powinnością publicystyki jest jednak nie tyle programować zwycięstwa, ile kreślić możliwe sposoby zbudowania ich treści.

Trzeci warunek warto zatem przeformułować i spojrzeć nań od drugiej strony. Jego spełnienie oznaczałoby, że zyskalibyśmy jako społeczeństwo zdolność panowania nad własnym losem, że potrafiliśmy wyprowadzić państwo ze stanu dryfu. I zamiast pytać, czy możliwe jest powstanie większości konstytucyjnej – postawić pytanie, czy można to samo osiągnąć w inny sposób. Czy po ostatnich pięciu latach destrukcji instytucjonalnej jest jakieś inne dobre wyjście.

Psucie standardów jest zawsze łatwiejsze niż ich poprawianie. Dlatego pomysł na to, by wykorzystać obecną szansę i przekształcić ją w moment konstytucyjny, to zarazem okazja, żeby symbolicznie zacząć od nowa. Ze świadomością, że „stare” będzie się pchało drzwiami i oknami.

© RAFAŁ MATYJA



Inauguracja roku akademickiego na Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym w Częstochowie, 3 października 2019 r.

Co jest nie tak w relacjach między państwem a Kościołem?

Wielu biskupów w sposób niebezpieczny dąży do tego, by wspierać Kościół na państwie. Kościół jest w kryzysie. Jest silna pokusa doraźnego wyegzekwowania moralnych wymogów i obowiązków wynikających z chrześcijaństwa za pomocą narzędzi świeckich. Jesteśmy np. coraz bardziej bezradni w sprawach katechezy – doświadczamy wielkiej porażki jej poziomu. Dochodzi do tego teraz masowe wypisywanie się młodzieży z lekcji religii. To nie przeszkadza, by forsować przy pomocy państwa postulat, aby katecheza stała się przedmiotem maturalnym.

Mamy zatem porażkę duszpasterską w wychowywaniu wiernych. Ojciec Giertych przypomina, że najważniejszym zadaniem duszpasterskim jest wprowadzanie w dynamikę życia łaską. Duszpasterze nie mogą się uchylać od tego zadania, licząc na wychowawczy wpływ państwa. Tymczasem odruch jest taki, że ponieważ doświadczamy porażki we wprowadzaniu ludzi w dynamikę łaski, to zmusimy ich do życia Bożym prawem przy pomocy środków przymusu państwa.

Oczywiście katolicy mają prawo do kształtowania systemu prawnego w taki sposób, by był on najbliższy prawu Bożemu – to byłaby sytuacja idealna. Ale to musi się dokonywać przez wychowywanie sumień, a nie przez wymuszanie prawa. Kościół powinien być zaczynem pokoju społecznego, zamiast dolewać oliwy do ognia. Sądzę, że antykościelne protesty biorą się z tego, że Kościół przestał być odbierany jako autorytet troszczący się o pojednanie w społeczeństwie.

Takie bliskie relacje z państwem przynoszą też całkiem materialne profity.

Na niekorzyść Kościoła działa także korzystanie przez niego z ogromnego wsparcia finansowego. Przykładem dotacje dla o. Tadeusza Rydyzka. Oczywiście można powiedzieć, że rządzący mogą być hojni wedle własnego uznania, jeśli dzieje się to w granicach prawa. Jednak miliony przekazywane na jeden cel świadczą, że Kościół korzysta z ogromnego wsparcia

Szafarze władzy

O. MACIEJ BISKUP:

Tematy moralne są przez polityków wykorzystywane tylko do tego, by podburzać nastroje społeczne. A Kościół w tym aktywnie uczestniczy. To przerażające.

ARTUR SPORNIAK: Niektórzy boją się, że Polska zmierza w kierunku państwa wyznaniowego. Stuszenie?

O. MACIEJ BISKUP OP: To zależy, co mamy na myśli, mówiąc „państwo wyznaniowe”. W Polsce mamy do czynienia z pewnymi elementami państwa wyznaniowego, ale nie grozi nam to, że władzę świecką będą sprawować przywódcy religijni, jak np. w Iranie. Celem rządzących nami polityków nie jest dążenie do państwa wyznaniowego, tylko wykorzystywanie religii i Kościoła do umacniania własnej władzy. Władza ta obecnie rozszerza

się w kierunku łamania sumień ludzi, co jest nie tylko sprzeczne z humanizmem, ale także głęboko niechrześcijańskie.

W jakim sensie łamane są sumienia?

Teolog Domu Papieskiego, polski dominikanin o. Wojciech Giertych przestrzegał niedawno w „Więzi”, że prawo stanowione przez państwo nie jest prostą kalką prawa Bożego. Nie wszyscy są wierzący i nie wszyscy kierują się moralnością judeochrześcijańską. Narzucanie jej przy pomocy prawa karnego jest właśnie łamaniem sumień.

finansowego w nieprzyzwoity, nie mówiąc już o tym, że w całkiem nieewangeliczny sposób.

To wsparcie jest interesowne – nie jest to przychylność dla głęboko rozumianej misji chrześcijaństwa. Angażując się w takie zażyłe relacje z władzą państwową, Kościół na dłuższą metę tej misji szkodzi.

Nawet jeśli Jarosław Kaczyński widzi we wspieraniu Kościoła i religii coś więcej niż dodatkowe punkty podczas wyborów, jest to rozumienie religii bardzo płaskie, ograniczone do jej społecznej czy kulturotwórczej roli. Jeśli mówi o nihilizmie poza Kościołem, nie rozumie, że Kościół właśnie jest powołany do tych, którzy są poza nim.

Skąd się bierze odruch sięgania po władzę tam, gdzie powinniśmy raczej kształtować sumienie?

Z paternalizmu?

Kościół przez wieki nauczył się duszpasterstwa tylko przez nauczanie. W wywiadzie dla Tomasza Królaka biskup pomocniczy ełcki Adrian Galbas powiedział: „Może nasz polski Kościół stał się za bardzo przemawiającym, za mało zaś rozmawiającym. Rozmawianie jest dużo trudniejszą formą komunikacji niż przemawianie. I przez to rzadszą”.

Myślę, że to nadużywanie władzy wynika często z braku umiejętności słuchania i z braku zaufania do świeckich. Franciszek w adhortacji „*Evangelii gaudium*” pisze, że każdy ochrzczony ma zmysł wiary. O tym w polskim Kościele zapominamy. Kiedyś z kolei abp Grzegorz Ryś zauważył, że posłuszeństwo w Biblii nie ma charakteru feudalnego, tylko polega na dawaniu posłuchu Słowu: „Słuchaj, Izraelu!”. To wezwanie dotyczy każdego – także hierarchów. Niestety dworskie myślenie jest w Kościele głęboko zakorzenione.

Wspomniane zastrzeżenia do katechezy to przykład kłopotów na styku państwa i Kościoła. Nie wiadomo, czym katecheza w szkole ma być: przekazywaniem wiedzy czy wtajemniczaniem religijnym? Dla uczniów niechodzących na katechezę nie udaje się wprowadzić etyki – mają oni o 2 godziny mniej tygodniowo.

Kłopot jest już z samą nazwą – katecheza to mistagogia, czyli wprowadzanie w wiarę Kościoła. Ważne jest tu do-

świadczenie – nie da się wtajemniczać tylko teoretycznie. Dlatego właściwym miejscem dla katechezy jest parafia. Początkowo spodziewano się, że katecheza w szkole pogłębi religijność młodzieży. Skutki – jak widać – są odwrotne. W szkole jest natomiast, moim zdaniem, miejsce na przekazywanie wiedzy o religii czy religiach.

Również status katechety jako nauczyciela jest nietypowy: kiepskich katechetów dyrektorzy szkół nie mogą zwolnić, bo podlegają oni biskupom.

Jeśli widzą, że metody katechety są nie do przyjęcia, mogą interweniować. Przez kilka lat byłem proboszczem i miałem do czynienia także z totalną pedagogiczną niekompetencją katechetów, o czym mi sygnalizowali dyrektorzy. Była np. katechetka, która mówiła dzieciom ze szkoły podstawowej, że dostaje SMS-y od Matki Bożej, przepowiadającej III wojnę światową. W wyniku porozumienia dyrekcji z kurią przestała uczyć.

Gdyby do porozumienia nie doszło, szkoła byłaby bezradna.

To prawda. Widać tu element państwa wyznaniowego: władza duchowa wkracza na teren instytucji i władzy świeckiej i ją w jakimś stopniu ogranicza.

Czy innym takim elementem jest publiczne szantażowanie polityków, by stanowili prawo po myśli Kościoła? Np. przed podpisaniem ustawy o in vitro prezydenta Komorowskiego straszono ekskomuniką.

Polityka to sztuka kompromisu. Mamy tu i niekonsekwencję, czyli nieuznawanie autonomii świeckiej rzeczywistości, i brak zaufania do ludzi świeckich odpowiedzialnych za dane decyzje, i gorszący szantaż. Wreszcie: także oszustwo, bo ekskomunika w takiej sytuacji nie jest formalnie możliwa.

Z kolei, gdy prezydent Komorowski podpisał tę ustawę, znany kanonista ks. Wojciech Góralski stwierdził, że popełnił grzech ciężki i jako publicznemu grzesznikowi duchowni powinni odmawiać komunii.

Przypominają mi się słowa kardynała Domu Papieskiego o. Raniero Cantalamessa, który mówił, że w pierwszych

wiekach chrześcijanie nie mogli zmieniać prawa, bo nie mieli głosu – za to wpływali na sumienia swoim sposobem życia. My chcemy iść na skróty, próbując zmieniać obyczaje przez zmianę prawa państwowego. Omijamy problem kształtowania sumienia, ale co gorsze: ignorujemy osąd sumienia.

Taka ostra ocena Kościoła powoduje, że tu nie ma miejsca na podjęcie przez polityka wolnej, odpowiedzialnej decyzji. Polityk nie rozstrzyga dla siebie. Musi on brać pod uwagę różne światopoglądy. Jest odpowiedzialny za wierzących i niewierzących. Ci drudzy niekoniecznie muszą moralność rozumieć tak, jak rozumie Kościół.

Jak zatem Kościół powinien wyrażać swoje stanowisko?

Nie powinien go narzucać, wykorzystując uprzywilejowaną pozycję, powinien natomiast dążyć do dialogu, wspierać kompromis. Ojciec Wojciech Gierzych, idąc za św. Tomaszem z Akwinu, zwraca uwagę na to, że nieuporządkowana gorliwość i wynikająca z niej bezkompromisowa postawa w stanowieniu prawa państwowego jest szkodliwa, bo rodzi społeczne wzburzenie – *turbatio*.

Trudno jest mi nie dostrzegać naiwności w zaangażowaniu się episkopatu w popieranie zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej, które PiS rozgrywa politycznie. Przecież rządzący mogli zastrzyć przepisy przez głosowanie w Sejmie. Nie zrobili tego, bo im się to politycznie nie opłacało. Zamiast tego skierowali pytanie do Trybunału Konstytucyjnego, który długo nie reagował. Gdy zareagował, długo nie publikował swojego rozstrzygnięcia. Widać wyraźnie, że tematy moralne są wykorzystywane tylko do tego, by podburzać nastroje społeczne. A Kościół w tym aktywnie uczestniczy – to jest przerażające!

Zdarzało się, że uczestniczy niekompetentnie. List na temat gender z 2016 r. zdradzał nieznajomość tego, czym jest płęć kulturowa.

Podobnie niedawny dokument episkopatu na temat LGBT+. Wydawało się, że to będzie okazja do dialogu z osobami LGBT+, które nadal podkreślają swoją więź z Kościołem, i mądra chęć pokazania, że Kościół chce tym osobom duszpastersko towarzyszyć. Tymczasem mamy →

→ dokument konfrontacyjny i naukowo niekompetentny.

W czym jest problem? Przecież Kościół ma trzy uniwersytety i wiele wydziałów teologicznych na świeckich uniwersytetach.

Teologia w Polsce jest sklerikalizowana, nie ma wymiany myśli. Ostatnio Kościół nawet nie potrafi skorzystać z zasobów mądrości, którą ma. Profesorowie, którzy mają duże doświadczenie w dialogu, jak ks. Andrzej Szostek czy ks. Alfred Wierzbicki, są marginalizowani. Podejrzewam, że niestety dominuje zideologizowane niedouczenie i ignorancja nauk świeckich.

Musimy też brać pod uwagę to, że wśród biskupów trwa cichy konflikt i dokumenty episkopatu są efektem jakiegoś kompromisu.

Ubezpieczenia społeczne duchowieństwa są dotowane przez państwo przy pomocy archaicznego Funduszu Kościelnego, wprowadzonego jeszcze przez komunistów jako rekompensata zabranych dóbr. To coroczna, wielomilionowa dotacja. Za rządów PO były próby, by zamienić ten mechanizm uzależniający Kościół od państwa na odpis od podatku wiernych. Kościół jednak nie się tym nie śpieszył. A PiS w ogóle nie podejmuje tego tematu.

Na sprawach finansowych Kościół też traci. To nie może być rozmowa tylko o tym, co się nam należy i co jest sprawiedliwe. Dużo ważniejsza jest wiarygodność przesłania ewangelicznego. Kościół, który nadużywa przychylności państwa, zarówno jeśli chodzi o finanse, jak i o stanowienie prawa, pokazuje, jakby z przymrużeniem oka traktował wezwanie Chrystusa do oparcia się na tzw. regule wyposażenia. Ubogie środki są szansą na uwiarygodnienie misji Kościoła w świecie i danie świadectwa o tym, że sam wie, o czym mówi, gdy naucza o dyspozycyjności i zawierzeniu Bogu.

To dowód na inercję: nie reformujemy się, jakoś to będzie?

Kościół nie dba o klimat dialogu społecznego, przestał być zaczynem pokoju. Ma prawo uczestniczyć w de-

bacie społecznej, byle czynił to w sposób dialogiczny. Ludzie, którzy nie są chrześcijanami, też mają wrażliwość etyczną, i to powinniśmy jako katolicy brać pod uwagę. Sobór Watykański II rozszerzył granice wspólnoty kościelnej – do kręgów przynależności do Kościoła według niego należą także ci, którzy szczerym sercem szukają Boga. Gdybyśmy w to naprawdę wierzyli, byłibyśmy gotowi i zdolni do dialogu społecznego. Czy coś z tego soborowego nauczania w Polsce wynika? Niestety nie dostrzegam tego. W ten sposób na własne życzenie Kościół zabija swój autorytet.

Taki powinien być główny wkład Kościoła w rzeczywistość świecką – promowanie dialogu społecznego?

Tak, ale ponieważ sam ma kłopot z wewnętrznym dialogiem i wewnętrzną transparentnością, jest również niedialogiczny i nietransparentny w przestrzeni publicznej. Ulega też pokusie rozpychania się łokciami, na ile władza mu na to pozwala. Jego patronami mogliby być jeszcze nieukształtowani przez Mistrza apostołowie Jakub i Jan, proszący Jezusa w Ewangelii o miejsce po Jego prawej i lewej stronie. Jezus i dziś pyta swoich uczniów w polskim Kościele, czy mogą pić kielich, który On wypił, i przyjąć chrzest, którym był ochrzczony (por. Mk 10, 35-40). To pytanie o to, czy Kościół instytucjonalny w Polsce jest w stanie z pokorą i godnością przyjąć do wiadomości tak dramatyczne Jego odrzucenie. I być gotowym na oczyszczenie, które jeśli nawet jest wymuszone ze strony świata, to jest niewątpliwie działaniem Ducha domagającego się naszej większej wiarygodności.

©© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



MICHAŁ NIEDZIELSKI DLA „TP”

O. MACIEJ BISKUP jest dominikaninem, doktorem teologii, byłym redaktorem naczelnym wydawnictwa

„W drodze”. Był przeorem klasztoru w Szczecinie. Obecnie jest członkiem Dominikańskiego Ośrodka Kaznodziejskiego w Łodzi.

Za górami, za wieżami

MARCIN ŻYŁA

Na szczytach Beskidów stoi już 71 wież i platform widokowych, w planach są kolejne. Czy nie popsują krajobrazu?

TEN SPÓR TRWA OD DEKAD. Z JEDNEJ strony: chęć ochrony przyrody i krajobrazu gór; z drugiej: prawo do rozwoju oraz bogacenia się gmin. Podział nie zawsze przebiega wzdłuż linii mieszkańcy-turyści, czy narciarze-ekolodzy – choć właśnie tak zapamiętano najgłośniejszy konflikt, o przyszłość Tatr i Podhala, jeszcze z lat 90. Jego efekt – częściowe zniszczenie pięknego regionu przez chaotyczne inwestycje, samowolę budowlaną czy dzunglę billboardów – widać do dziś.

Dzięki przestrodze z Podhala większość pomysłów na zwiększenie dostępności gór jest już teraz mniej inwazyjna. Ale pojawiają się i takie. Wśród nich – trend stawiania wież widokowych na szczytach, w ostatnich latach m.in. z unijną dotacją. Według nieoficjalnych szacunków, tylko w polskich Karpatach stoi już co najmniej 71 wież i platform. A ma być ich jeszcze więcej.

Wokół las

Temat wrócił właśnie w Małopolsce, gdzie kilkanaście gmin chce wspólnie rozbudować infrastrukturę turystyczną w ramach projektu „Beskidzkie Wyspy” (informowaliśmy o nim przed tygodniem). Niedługo ma powstać kilkadziesiąt wiat, tablic z mapami, ławek i stołów, parkingi, dwie baczki – oraz właśnie 9 wież widokowych na szczytach Beskidu Wyspowego.

Z punktu widzenia samorządowców uzasadnienie pomysłu jest zrozumiałe. Chodzi o zwiększenie atrakcyjności regionu, konkurującego o turystów z sąsiednimi parkami narodowymi Gorców i Pienin. Jest też o co walczyć: Beskid Wyspowy to najbliższe Krakowowi wyższe góry, odległe od miasta tylko o godzinę



Wieża widokowa na Lubaniu, Gorce, styczeń 2017 r.

jazdy, docenione ostatnio podczas covidowego zamknięcia schronisk i pensjonatów. Co więcej, rejon ten – przez który w przyszłości ma przebiegać nowa linia kolejowa do Zakopanego – za kilka lat stanie się w praktyce „dalekimi przedmieściami” Krakowa.

„Kłopot” z Beskidem Wyspowym polega na tym, że widoki z jego szczytów ograniczają się często do kilkudziesięciu najbliższych metrów. Podobnie jak gdzieś indziej w górach, na zboczach wyrósł las, niewypasane hale pozarastały młodnik i trawa. Kultowe wśród starszych turystów panoramy autorstwa działacza PTTK Edwarda Moskały, który szkicował górskie widoki wydając je później w charakterystycznych książeczkach o podłużnym formacie, mają już wartość historyczną.

Kiedy zaczyna się widok

W 2008 r. powstała wieża widokowa na Mogielicy, najwyższej górze Beskidu Wyspowego. – Po jej wybudowaniu zauważyliśmy wyraźny wzrost liczby osób odwiedzających szczyt – wyjaśnia Benedykt Węgrzyn, wójt gminy Dobra, która koordynuje projekt „Beskidzkie Wyspy”. – Potwierdzeniem są tysiące dostępnych w sieci fantastycznych fotografii wykonanych z wieży nie tylko na południe, ale i na północ.

Obecnie wieża jest nieczynna. Jeśli międzygminny projekt się powiedzie, na jej miejscu powstanie nowa, stalowa. Widok z Mogielicy wciąż jest – trzeba tylko podejść 10 minut na Polanę Stumorgową, jedną z najpiękniejszych w tej części Karpat. Także ze szczytu nieodległego Cwilina – jest on częściowo bezleśny – roztacza się widok na Tatry i Babią Górę. Za sprawą wiatrołomów Lubogosz, inna

góra w okolicy, zyskał oryginalne widoki na wschód. Jaki jest sens stawiania w takich miejscach wież widokowych i budowania wysokich, wystających ponad korony drzew konstrukcji?

Benedykt Węgrzyn: – To na razie jedyna możliwość udostępnienia szerszego widoku. Polany mają wyjątkowe walory widokowe, jednak nie ma z nich pełnych panoram. Wiem, że wiele osób uważa wieże za „ciała obce”, jednak znaczna część turystów docenia obiekty oferujące pełną, 360-stopniową panoramę.

Wójt Dobrej zapewnia, że samorządowcy starają się, aby nowe obiekty były jak najmniej inwazyjne i dobrze wtapiały się w teren: – Na Mogielicy nie spotkałem się z turystami, którzy twierdziliby, że budowa wieży była tu bez sensu, bo wszystko widać z Polany Stumorgowej. Byli raczej zaskoczeni wyjątkowym widokiem, a wejście na wieżę traktowali jak nagrodę za wysiłek zdobycia szczytu.

Wieży i wieżyczki

Pozostaje pytanie: czy przywilej podziwiania 360-stopniowej panoramy ze szczytu wart jest ceny ingerencji w krajobraz? Tym bardziej że Beskid Wyspowy to głównie samodzielne, oddzielone głębokimi przełęczami masywy, z których widoków nie zasłaniają inne góry. W Polsce zaś, poza zabudowanym Podhalem, przestroga służy jeszcze Beskid Śląski, lata temu oszpecony agresywną infrastrukturą – ingerencja człowieka w krajobraz była szczególnie widoczna w czasach gierkowskich, gdy budowano wielkie schroniska, wyciągi i... wieże przekaźnikowe.

Dobrym przykładem jest natomiast sposób, w jaki do wież widokowych poszli Słowacy. Przy szlaku turystycz-

nym na Babią Górę, w granicach Parku Krajobrazowego Górna Orawa, niedawno ustawiono dwie. To, ściślej mówiąc, wieżyczki – żadna z nich nie przekracza 6 metrów, zbudowano je na zbożu, na naturalnych wyniesieniach terenu, w niższym lesie. Są to niemal niewidoczne z oddali konstrukcje, na które wyjść bez problemu mogą dzieci czy mniej wprawni turyści (obecna wieża na Mogielicy, ze stromymi schodami przypominającymi bardziej drabinę, wymaga pewnością ruchów i obycia z przestrzenią).

Zresztą w samym Beskidzie Wyspowym, stosunkowo niewielkim nakładem kosztów i przy niemal zerowej ingerencji w krajobraz, powstało ponad 25 kilometrów tras dla narciarzy biegowych i śladowych, okalających najwyższy szczyt Beskidu Wyspowego, Mogielicę. Latem wykorzystywane są jako trasy rowerowe – ten być może najciekawszy projekt tego typu w całych polskich Karpatkach już przynosi zyski gminie. I jest przykładem, że aby uatrakcyjnić, nie zawsze trzeba budować. „Mamy wybudowaną przez Lasy Państwowe całą sieć nowych dróg leśnych, czy można do celów turystycznych udostępnić ich mapy? Niektóre nadają się nawet do spaceru z wózkiem”; „priorytetem powinno być znalezienie funduszy na wylesienie zarastających hal i łąk widokowych” – to dwa z krytycznych wobec pomysłu nowych wież komentarzy na lokalnym portalu internetowym.

Wójt Benedykt Węgrzyn: – Pytanie o wysokość wież brzmi tak, jakby naszym celem było budowanie nieważne czego – byleby na szczycie. Naszym celem jest takie przygotowanie infrastruktury, by turyści mogli zostawić samochód, mieli informację z opisem, gdzie są i dokąd idą, żeby mogli się zatrzymać, schronić przed deszczem, a nawet przenocować. Szanujemy nasze otoczenie i nasze góry, i właśnie z szacunku do nich oraz dla osób je odwiedzających staramy się wypełnić niektóre nisze w sposób jak najmniej inwazyjny. Nie chcemy nic więcej niż to, co służy turystyce w wielu miejscach, nie tylko w Polsce.

Projekt „Beskidzkie Wyspy” jest jeszcze w pierwszej fazie realizacji – przed konsultacjami w terenie i staraniem się o pozwolenia na inwestycje. Od jego przyszłości może zależeć, czy szczyty w innych miejscach zamienią się wkrótce w małe place budowy. ©P

Długi marsz przez elektrownie

JAKUB WIECH, EKSPERT DS. ENERGETYKI:

Niemcy rozszerzają swój pomysł na transformację energetyczną na całą Unię. A my jesteśmy integralną częścią tych mocarstwowych planów.

RAFAŁ WOŚ: Czy Polska jest suwerenna energetycznie?

JAKUB WIECH: Nie.

Dlaczego?

Mamy zbyt mało własnych paliw, by stać się energetyczną autarkią. Jedynym surowcem energetycznym, jakiego nie importujemy, jest węgiel brunatny. Na dodatek z racji złych decyzji lub zaniechań sami dodatkowo obniżyliśmy nasz poziom energetycznego samostanowienia.

Co to znaczy?

Chodzi o nieumiejętność wypracowania trwałej i długoterminowej strategii energetycznej. Przez ponad 30 lat wolnej Polski żaden rząd nie przeprowadził kompleksowej transformacji, podejmowano jedynie wyspowe próby naprawy tego czy innego sektora. Gdyby w przeszłości kolejne rządy postanowiły, że rozpisują na lata odchodzenie od węgla, a jednocześnie postawiły na czystą i bezpieczną energię jądrową jako na podstawę miksu, to dziś mielibyśmy zupełnie inną sytuację. Nie musielibyśmy się przejmować Europejskim Zielonym Ładem, przynajmniej nie tak bardzo, jak teraz. Tak się jednak nie stało.

Mam prośbę, byśmy nie poprzestawali na narzekaniach na lobby węglowe. Zrzucanie winy na górników za nasze energetyczne zaniedbania wydaje mi się zbyt często wykorzystywane, by przystąpić prawdziwe wyzwania energetyczne.

Górnicy wcale nie są tu największą siłą sprawczą. Winę ponoszą raczej nasze mizerne elity polityczne, niepotrafiące myśleć w perspektywie dłuższej niż

cztery lata i niedostrzegające trendów zewnętrznych. Bardzo często politycy i publicyści pomijają fakt, że energetyka to przede wszystkim zagadnienie geopolityczne. Trzeba jeszcze pamiętać o otoczeniu, w którym funkcjonujemy. Przynajmniej od 1973 r. i od tzw. kryzysu naftowego wiadomo, że kontrolowanie źródeł energii oznacza realną władzę.

Czyli przechodzimy do uwarunkowań zewnętrznych.

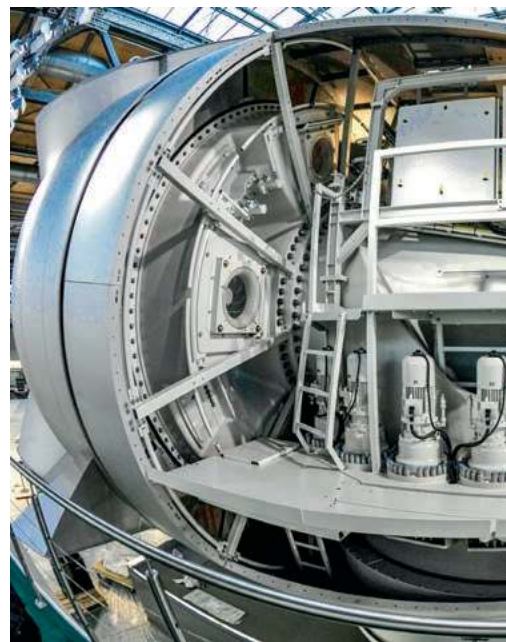
Tak, ponieważ spora część odpowiedzi na pytanie o problemy z naszą energetyczną suwerennością bierze się z powodu ogromnych – wręcz mocarstwowych – ambicji potężnego sąsiada. Rozmowa o Rosji w kontekście naszej energetycznej suwerenności jest raczej oczywista. Ale nie tam tkwi sedno problemu.

A gdzie?

W Niemczech. Każdy, kto chce zrozumieć polskie energetyczne dylematy, musi patrzeć nie tylko na Rosję, ale i na Niemcy. Bo to tam dzieją się dziś najciekawsze rzeczy. To jest wynik fascynującego procesu budowania przez dzisiejszą RFN nowego energetycznego imperium. Żeby w ogóle sensownie rozmawiać o energetyce, musimy przyjąć do wiadomości, że Niemcy prowadzą mocarstwową politykę energetyczną, próbując rozszerzyć swój pomysł na transformację energetyczną na całą Unię Europejską. A my, cała Europa Środkowa, jesteśmy tych planów integralną częścią. Wielu ludzi nie chce o tym rozmawiać. Obawiają się, że zostaną uznani za zenujących germanofobów.

Jaki jest cel Niemiec?

Oficjalnym uratowanie świata przed klimatyczną katastrofą. Ale ten aspekt



blednie przy bliższej analizie. Celem nieoficjalnym jest wejście w rolę wielkiej rozdzielni energii dla całej Europy. To jest długofalowy, strategiczny plan realizowany od ładnych kilkunastu lat i cieszący się szerokim, ponadpartyjnym poparciem politycznego establishmentu. Nazywa się *Energiewende*.

Na czym polega?

Pojęcie nabrało dzisiejszego wymiaru w przedostatniej dekadzie XX w., która była czasem gwałtownego rozwoju ruchów ekologicznych. Był to efekt zachodzących od lat 70. przemian społecznych – wzrostu świadomości środowiskowej oraz pojawienia się w latach 80. pierwszych szeroko komentowanych naukowych świadectw dotyczących postępującego globalnego ocieplenia, takich jak wystąpienie Jamesa Hansena przed amerykańskim Kongresem. Swoje dołożyły także awaria w Czarnobylu czy katastrofa tankowca Exxon Valdez.

Gdy tylko Niemcy uporały się z procesem zjednoczenia, nastąpiło przyspieszenie prac nad *Energiewende*. Wyznaczono kluczowe cele tej polityki: odejście od paliw kopalnych i atomu oraz przejście na źródła odnawialne. Jej początki to rok 2000 i tzw. ustawa EEG gwarantująca systemowe wsparcie dla odnawialnych źródeł energii. Od tamtej pory pieniądze na OZE są w Niemczech dodawane do rachunków za energię elektryczną dla gospodarstw domowych. W roku 2018 opłata ta stanowiła ok. 23 proc. niemieckich rachunków za prąd. Tylko we



Malowanie wnętrza turbiny wiatrowej przed targami technologicznymi w Hanowerze, kwiecień 2011 r.

dała Niemcom możliwość budowy czegoś w rodzaju centralnego europejskiego hubu gazowego, pozwalającego wykorzystać potencjał surowca z Rosji do budowy pozycji polityczno-gospodarczej. To dlatego Berlin tak żarliwie broni tej rury. Rola tego paliwa będzie się zwiększała w państwach powielających niemiecki model transformacji energetycznej.

Energiewende domknęła jednak dopiero Angela Merkel. Dorobiła się nawet przydomka Klima Kanzlerin – Pani Kanclerz od Klimatu.

Gdy Merkel brała władzę, *Energiewende* miała już solidne podstawy. Ale dopiero Merkel zaczęła proces czynienia z niemieckiej transformacji energetycznej wzorca dla całej Unii Europejskiej. To również rząd Merkel zainicjował prace tzw. komisji węglowej, która ustanowiła cele niemieckiego procesu odchodzenia od węgla. Jednocześnie *Energiewende* – dzięki zabiegom politycznym – stała się czymś więcej niż tylko przykładem dla reszty Europy. Stopniowo zaczęła być obowiązującym wzorcem.

Nie przesadza Pan?

Proces, o którym mówię, odbywa się w sposób dość subtelny, długofalowy, ale jednak zdecydowany. Dobrze można to pokazać na pewnym jaskrawym przykładzie dotyczącym energetyki jądrowej. Pod koniec 2020 r. Olaf Lies – minister środowiska Dolnej Saksonii – powiedział otwartym tekstem, że zrobi wszystko, by nie dopuścić do budowy w sąsiadującej z jego landem Holandii 10 nowych reaktorów jądrowych. Holendrzy chcą je zbudować, bo inaczej nie będą mogli sprostać wymogom klimatycznym Unii Europejskiej.

Teoretycznie polityka energetyczna zgodnie z unijnym prawem należy do decyzji suwerennych państw członkowskich. Ale w praktyce minister niemieckiego kraju związkowego powiada Holendrom: „możecie sobie prowadzić jaką tylko chcecie politykę energetyczną – ale nie może to być atom, bo my u nas elektrownie atomowe zamykamy”. Bliższa analiza pokazuje, że to nie był wyskok pojedynczego polityka, tylko element konsekwentnie realizowanej polityki. Niemcy chcą nie tylko pozbyć się wła-

snych elektrowni jądrowych, ale też zablokować powstawanie podobnych jednostek w innych krajach. I to jest wręcz zapisane w niemieckich dokumentach rządowych. Np. umowa koalicyjna CDU/CSU-SPD z roku 2018 zakłada wprost walkę o zakaz wykorzystywania unijnego i państwowego wsparcia finansowego w projektach jądrowych na terenie Unii Europejskiej.

Ale to chyba zrozumiałe. Niemcy uważają, że energetyka atomowa jest niebezpieczna, i dążą do przekonania do tego punktu widzenia resztę Europy.

Tylko że to znów jest jedynie oficjalna część niemieckiego przekazu. Jednocześnie w tej samej umowie koalicyjnej czytamy, że „osadzenie *Energiewende* w kontekście europejskim otwiera szansę na zmniejszenie kosztów i wykorzystanie efektu synergii. Chcemy dodatkowych możliwości rozwoju i wzrostu zatrudnienia w Niemczech oraz możliwości eksportowych dla niemieckich firm na rynkach międzynarodowych”.

I co to znaczy?

Proszę powiązać ze sobą dwa elementy: walkę z energetyką jądrową i rozbudowę możliwości eksportu gazu. Jak powiedziałem wcześniej, obecnie, wobec braków magazynów energii, oparcie dużych systemów elektroenergetycznych wyłącznie na OZE – a do tego zmierza *Energiewende* – jest niemożliwe. Te źródła wymagają stabilizowania, a taką rolę pełni najczęściej gaz. Elektrownie gazowe szybko się włączają i wyłączają, dzięki czemu lepiej sprawdzają się jako elastyczne wsparcie dla OZE niż atom. Każda elektrownia jądrowa działająca w Europie to jednak nie tylko źródło czystej energii, ale też stabilna moc zmniejszająca zapotrzebowanie na gaz. Atomu nie da się wyrzucić z systemu ze względów klimatycznych, bo to praktycznie bezemisyjna technologia, która – według większości scenariuszy Międzyrządowego Panelu ds. Zmiany Klimatu – powinna być rozbudowywana. Innymi słowy: atakując atom w Europie, RFN przygotowuje sobie jednocześnie rynki pod sprzedaż gazu, który słany ma być magistralą Nord Stream.

No dobrze. Ale może po prostu trzeba się z tą niemiecką dominacją pogodzić?



wrześniu 2020 r. kwota wsparcia w ramach systemu EEG wyniosła 3 mld euro. W ten sposób Niemcy zapewniły sobie ogromne środki, za pomocą których od prawie dwóch dekad dotują rozwój energetyki odnawialnej.

Następnie rząd Gerharda Schrödera przygotował kolejny filar niemieckiej transformacji – którego nie było w oficjalnej narracji o *Energiewende*. Tuż przed wyborami roku 2005 podpisał pierwsze porozumienie dotyczące budowy rurociągu Nord Stream, który połączyć miał Rosję z Niemcami, umożliwiając przesył 55 miliardów metrów sześciennych gazu rocznie.

Pamiętam, jakie to wywołało w Polsce oburzenie.

Wtedy w kampanii wyborczej idąca po władzę Angela Merkel też krytykowała zbyt bliskie związki Schrödera z Rosją. Jednak tuż po przejęciu władzy w grudniu 2005 r. rząd Merkel udzielił gwarancji na pokrycie kosztów projektu, które wywalczyła dla Rosjan jeszcze poprzednia ekipa. Dziesięć lat później rozpoczęły się prace nad gazociągiem Nord Stream 2 [piszemy o nim w dziale Świat – red.]. Stało się tak dlatego, że znaczenie tamtych projektów było dla *Energiewende* kluczowe. Niemcy uzyskały paliwo dla swojej transformacji energetycznej. Nie mogła ona opierać się tylko na źródłach odnawialnych. Te są niesterowalne, muszą być więc wspomagane dodatkowymi mocami. Gaz doskonale się do tego nadaje. Co więcej, infrastruktura do przesyłu rosyjskiego surowca

→ To nie takie proste. Polska, a nawet cała Europa Środkowa nie jest w planach Berlina ujęta jako potencjalny partner, tylko jako rynek zbytu. W tym przypadku zasadne wydaje mi się porównanie niemieckiego pomysłu na energetykę do narkotyku.

Na czym to szkodliwe działanie Energiewende miałooby właściwie polegać?

Bezpośrednie zagrożenie wynika choćby z uzależnienia Europy od gazu z Rosji przy jednoczesnej walce ze wzmacniającą energetyczną niezależność technologią jądrową. To jest zaprzeczenie idei suwerenności energetycznej, które naraża Unię Europejską na polityczne kompromitacje, jak chociażby podczas sprawy Nawalnego. Ale mowa też o technicznych ryzykach, wynikających np. z tzw. przepływów kołowych. Polskie Sieci Elektroenergetyczne, spółka będąca operatorem krajowego systemu przesyłowego, ostrzegała już przed zagrożeniami związanymi z tym zjawiskiem.

Jak to możliwe?

Aby zrozumieć, o co chodzi, musimy wyobrazić sobie mapę. Zachód i południe obecnej RFN, czyli landy zindustrializowane, w większej mierze opierają się na źródłach konwencjonalnych, czyli na atomie i węglu. Tam też znajdują się największe odbiorcy energii. Na wschodzie i północy kwitną natomiast odnawialne źródła energii – zwłaszcza fotowoltaika i farmy wiatrowe. Niestety, Niemcy nie wybudowały dotychczas dostatecznie dużo sieci wysokich napięć, by przesyłać energię elektryczną wzdłuż wektora północ-południe. Wynika to m.in. ze sprzeciwu mieszkańców terenów, na których władze przewidywały budowę dużych sieci przesyłowych. W takiej sytuacji prąd wyprodukowany na północy Nie-

miec, żeby trafić do przemysłowych rejonów kraju, w niektórych sytuacjach musi być przesyłany przez państwa ościennie – przez Francję, Belgię, Czechy. Ale także Polskę. Dzieje się więc tak, że w sytuacji nadpodaży energii z wiatraków, do polskiego systemu elektroenergetycznego trafiają dodatkowe i nieplanowane wolumeny prądu. Awaria systemu może nastąpić wskutek niespodziewanego transferu dużych ilości energii. Skala tego zjawiska na szczęście istotnie zmalała.

Mówimy o tej niemieckiej polityce jak o czymś narzucanym siłą.

A przecież Niemcy to „tylko” jeden z krajów Unii.

Problem polega na tym, że Niemcy są unijnym mocarstwem, które opanowało wymuszanie swej woli przy użyciu różnych środków. Jeden sposób to ich sprawność na poziomie instytucji oraz możliwości pozyskiwania wsparcia politycznego. Dobrze było to widać podczas negocjowania tzw. dyrektywy gazowej, która miała ograniczyć możliwości wykorzystania gazociągu Nord Stream 2. Austriakom, czyli bliskim partnerom Niemiec, najpierw udawało się długo opóźniać prace nad tym dokumentem. A gdy wreszcie nowelizacja weszła w życie – w roku 2019 – to miała okrojona formę, ukształtowaną podczas negocjacji, w których prym wiodły już Niemcy. Inny przykład to przygotowywana obecnie taksonomia, czyli agenda inwestycyjna UE, która określa, jakie projekty energetyczne mogą korzystać z finansowania w ramach UE. Istnieje duża szansa, że energetyka jądrowa zostanie z tej listy – z inicjatywy RFN i ich sojuszników – wyrzucona.

Można zbudować przeciw ich planom koalicję, można się buntować.

Kraje takie jak Austria, Belgia czy Czechy mają po części zbieżne interesy

z Niemcami. Od dyplomatów mniejszych państw – np. bałtyckich – często słyszałem, że oni opierają swoje polityki na głębokim sojuszu z Niemcami i boją się popaść w niełaskę w Berlinie. Z kolei Francuzi pod rządami Macrona, który współpracuje z Merkel przy wielu aspektach polityki energetycznej, słabiej bronią energetyki jądrowej. Tymczasem próba stworzenia w Europie Środkowo-Wschodniej jakiegoś bloku współpracy – np. wedle koncepcji Trójmorza – ma problem z zebraniem szerszej wspólnoty interesów. Tym bardziej że Polska nie ma dziś w Europie najlepszej prasy. Łatwo wykorzystać nasz brak umiejętności atrakcyjnego „sprzedawania” naszej narracji. Trudno, by ogólnosiwiatowe media, dla których antropogeniczność zmian klimatu jest czymś oczywistym, pisały dobrze o polskim prezydencie mówiącym podczas szczytu klimatycznego COP24: „Ja nie wiem, na ile w rzeczywistości człowiek przyczynia się do zmian klimatycznych. Głosy naukowców są bardzo różne, wiemy, że mamy do czynienia też ze skrajnościami”. W Polsce nie doceniamy wizerunkowego aspektu polityki. Nie można też zapominać o miękkim oddziaływaniu na elity poszczególnych krajów. Również na nasze elity. Poprzez styndia, propagandę, think tanki.

Jakie jest z tego wyjście?

Moim zdaniem możliwa jest pewna gra na minimalizację naszego uzależnienia. Warunkiem wstępnym jest rozbudowa energetyki jądrowej oraz parku źródeł odnawialnych. Innymi słowy: musimy zacząć myśleć o długofalowej transformacji energetycznej, ale na naszą modłę. Bez tego nie zrobimy nawet kroku. To nie są jednak sprawy, które da się załatwić jedną ustawą. Mówiłem ze szczegółami o *Energiewende*, żeby pokazać, jak długi i konsekwentnie realizowany był to proces. Bardzo bym chciał, żeby w Polsce taka zgoda establishmentu w dziedzinie energetyki była możliwa.

©P Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy – Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 211/20 toczy się postępowanie z wniosku Hanny Boguckiej o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Praskim, synu Tadeusza i Ireny, ostatnio przebywającym w Warszawie przy ul. Sterniczej 125, urodzonego w dniu 30 sierpnia 1954 r. w Sielcu, zmarłego w dniu 22 grudnia 2012 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



AGATA HEINRICH

JAKUB WIECH (ur. 1992) jest publicystą gospodarczym związanym z portalem Energetyka24. Jego najnowsza książka to „Energiewende. Nowe niemieckie imperium”.

JACEK

Podsiadło Końcówka



ATENCJA! PLISKA! MAM TU EKSKLUZYWNĄ wrzutkę dedykowaną dla osób z zająwką na rozwój personalny, w których duże emocje na chwilę obecną wywołuje język. Bonus nawet do 5 tys. znaków gratis! Epicka lekturka, pozostało cztery minuty czytania, a gwoździem programu będzie już na wstępie Olga Tokarczuk, tak że mega najsik.

Olga dała mi do myślenia o utrwalonej w języku niesprawiedliwości wobec kobiet dawno temu, w „Domu dziennym, domu nocnym”: „Nie istnieje żeński odpowiednik słów »starzec« czy »mędrzec«. (...) Stary mężczyzna może być mądrym i dostojnym starcem, mędrce. Żeby powiedzieć coś podobnego o kobiecie, trzeba kluczyć, omawiać, opisywać – stara, mądra kobieta”. Ale myliła się. Kobieta-mędrzec to mędrzyni, obecna w słowniku Karłowicza z 1900 r. i występująca później np. w „Kwiatach polskich” Tuwima i w dzienniku Herlinga-Grudzińskiego. A tak samo jak ze „starczynią” język polski nie poradził sobie ze stworzeniem żeńskich form od słów obraźliwych; wymieńmy tylko głupca i zboczeńca, bo końcówka -ec szczególnie mnie dziś zajmuje. Żeby ubliżyć kobiecie, trzeba „kluczyć, omawiać, opisywać”: „głupia kobieta”, „zboczona niewiasta”. Ale zgódźmy się, że w opisowych sformułowaniach analogicznych do mickiewiczowskiej „dziewicy-bohatera” kluczenia i omawiania nie ma tak nadzwyczajnie dużo, nie tak potrafili kluczyć pisarze w potrzebie.

W języku zapisana jest historia, również historia dyskryminacji kobiet. Także proces idiocenia społeczeństw i narodów nigdzie się nie zapisuje równie pięknie. Od kilku lat w internecie dumnie wisi i powiewa odpowiedź kilkanaścioro autorów na list Krystyny Zachwatowicz i Michała Ogórka. Protestującej przeciwko używaniu formy „powstanka” powstańcy warszawskiej sygnatariuszki listu (i jeden sygnatariusz) wyjaśniają, że słowo „powstanka” wzięły „z relacji samych uczestniczek powstania”. Nawet abstrahując od żenującej jałowości takiej argumentacji, nie można pominąć jej kłamliwości. List podpisały m.in. Karolina Sulej i Weronika Grzebalska. W opublikowanej gdzieś indziej rozmowie pierwsza z nich mówi o nieszczęsnej „powstancie”: „Większości kobiet walczących w powstaniu to sformułowanie się nie podoba”, a druga odpowiada: „Wola mówić o sobie: (...) uczestniczki powstania. Słowo »powstanka« brzmi dla nich jakoś niepoważnie”. W epistolarnej paplaninie piętnaście nadawczyń (i jeden nadawca) posuwa się do drwin z formy popraw-

nej („może do łask wróci staromodna »powstańczyni«?”) i co rusz odwraca kota ogonem. Nie zauważają tylko, iż przy co drugiej takiej operacji kot znajduje się we właściwej pozycji. Ergo, w co drugim zdaniu chwala się nieznaną języczką i rządzących nim reguł. Ale to postawa zasadnicza w foch-feminizmie, dla którego rzeczywiste krzywdy kobiet nigdy nie są wystarczające, dlatego wszędzie dopatruje się on krzywd urojonych. I, rzecz jasna, samczych spisków, do których impulsem jest „prawdopodobnie nie tyle szacunek do języka, co obawa przed równouprawnieniem kobiet”. Argumenty ostateczne pogromczynie (i jeden pogromca) Ogórka czerpią od najwyższego autorytetu językoznawczego, jakim jest oczywiście wyszukiwarka Google, gdzie słowo „powstanka” „jest dziś dużo popularniejsze niż »powstańczyni«”. Kryterium popularności powraca jeszcze w groźbie: „Jeśli ktoś nie jest przekonany do słowa »powstanka«, nie musi go używać. Za parę lat okaże się, czy słowo to będzie w użyciu”. Podobny akt łaski i argument w jednym znam ze stosunków z sąsiadem, któremu ze dwa miesiące temu zwróciłem uwagę, że nie sprząta po swoim psie. Wtedy powiedział: „Przecież ja panu nie zabraniam sprzątać”, a teraz: „I widzi pan, kto miał rację? Cały placyk zasrany”.

Zaśmieszanie języka na tym właśnie polega, że jakiś błąd tak się upowszechnia, iż staje się normą. Powinny o tym wiedzieć przynajmniej te z twórczyni listu, które mienią się pisarkami i wykładowniczymi. Do nich też apeluję, aby pobierając nauki od wyszukiwarki Google, więcej niż dotychczas korzystały z zakładki „Więcej”, a w jej obrębie z filtru „Książki”.

Różne końcówki służą wyrażaniu różnych niuansów. W obrębie moci przyrostki często zabarwiają zasadniczą treść emocjonalnie. Najpowszechniej występujący rodzajowy sufix -ka miewa wydźwięk lekceważący, może dlatego, że jest bliźniakiem sufiksu sygnalizującego zdrobnienie. Dlatego „powstanka” w wyrobionym uchu brzmi nie dość poważnie. Dlatego ograniczona jest tego sufiksu łączliwość z męskimi nazwami osobowymi zakończonymi na -a, -og oraz -ec lub -ca. Dlatego też językoznawczynie R. Grzegorzycowa i J. Puzynina trzydzieści lat temu traktowały „socjolożkę” i „psycholożkę” jako „żartobliwe okazjonalizmy”. Triumfujcie, współczesne aktywistki, „pedagożki” i „pisarki”! Nie może być przecież śmieciem coś, cośmy sobie samym w usta tysięcy razy włożyli!

Do tworzenia żeńskich nazw od rzeczowników zakończonych na -ec lub -ca służą głównie formanty -i(y)ni i -i(y)ca (oczywiście z wyjątkami: nie ma „sportowczycy”, a „krawczyń” była, ale się zmyła). Końcówka -i(y)ni nie ujmuje powagi, a czasem wręcz dodaje. Nie tylko znawczynie i pogromczynie, ale nawet pospolitej dozorczyń lub sprawczyńi przestępstwa. Natomiast -i(y)ce często cechuje pewien nadmiar ekspresywności. Przydaje się, kiedy mówimy o anielicy, zazdrośnicy lub ładacznicy, ale obecna w tzw. słowniku wileńskim z 1861 r. „człowieczyca” budzi odruch niechęci. Mam nadzieję, że w środowiskach fochfeministycznych również. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



JULITA GOŹDZIK / MATERIAŁY PRASOWE

Jan Lorys w spektaklu „Jeszcze się nie stało”, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, luty 2021 r.

KTÓŻ ZDOŁA SIĘ OSTAĆ?

17 lutego rusza XII edycja Festiwalu Nowe Epifanie, organizowanego przez Centrum Myśli Jana Pawła II. Potrwa on do 28 marca. W tym roku, innym niż wszystkie, spektakle teatralne i koncerty obracać się będą wokół znaczenia słowa „apokalipsa”.

APOKALIPSA – KONIEC, ALE I POCZĄTEK. Zniszczenie i nowe otwarcie. Śmierć i oczyszczenie. Od wieków ostatnia księga Nowego Testamentu zapładnia największe umysły każdej epoki. Stała się nie tylko tematem duchowych rozważań, ale także punktem wyjścia dla artystów, pisarzy i filozofów.

Apokalipsa to dosłownie „odsłonięcie”, „objawienie”. Mimo katastroficznych wyobrażeń zasadnicza wymowa tej księgi dotyczy nadziei, nastania Nowego Jeruzalem. „Przestań się lękać!” – wzywa nas św. Jan. Dlatego konieczna jest konfrontacja ze strachem, z tym, co nieznanne. A także przezwyciężenie doświadczenia pustki.

„W ramach Festiwalu chcemy przyrzeć się nie tylko samej księdze Apokalipsy, ale również współczesnym wyobrażeniom na temat katastrofy i końca świata. Chcemy wczytać się w teksty XX-wiecznych filozofów, by za ich pomocą uchwycić teologiczną strukturę myślenia katastroficznego” – mówi Paweł Dobrowolski, dyrektor Festiwalu.

Dlatego zapewne i tym razem przyjdzie nam znacząco odejść od dogmatycznej interpretacji oryginalnego tekstu, aby przyrzeć się temu, co do powiedzenia mają współcześni twórcy. Niech pandemia, która przerwała ubiegłoroczną edycję, stanie się nowym otwarciem dla sztuki i dla nas, którzy ją przeżywają. © MS

Wybrane wydarzenia XII edycji Festiwalu Nowe Epifanie:

KASANDRA

Wojna nigdy się nie kończy. Jest wciąż żywym, być może fundamentalnym elementem europejskiego doświadczenia historii. Przejawem pierwotnej przemocy. Mityczna ofiara z Ifigenii, złożonej w zamian za pomyślne wiatry dla wojsk Agamemnona, ustanawia nowy porządek – zbudowany na zabójstwie młodej kobiety. Jak do tego doszło, że dla zwycięskiej wojny pozwolono na śmierć niewinnego człowieka? Dlaczego żyjemy w świecie, w którym taka wymiana jest w ogóle możliwa? Na plaży, poza czasem i przestrzenią, spotykają się Ifigenia, Parys i Kasandra, gdzie konfrontują się z nieskończonym strumieniem medialnych obrazów wojennych katastrof – obecnych i minionych. Mogą to jednak robić wyłącznie poprzez ekrany, dlatego ich dawny gniew zamienia się w pierw w beznadziejność, a potem w lęk. Czy świat bez przemocy jest w ogóle możliwy?

Reżyseria: Zofia Gustowska
■ 21 lutego

JESZCZE SIĘ NIE STAŁO

W tym spektaklu apokalipsa oznacza odstąpienie tego, co wcześniej było ukryte. Artystów interesuje apokalipsa w jej najintymniejszym wymiarze – akt ekspresji, który jest odstąpieniem się przed drugim człowiekiem i przed samym sobą. Żyjemy w trudnych czasach, więc musimy na nowo zdefiniować pojęcie bliskości. Twórcy przedstawienia są przekonani, że społeczna bliskość będzie mogła na nowo zaistnieć dopiero,

gdy każdy z nas doświadczy osobistej apokalipsy – odstąpi to, co w nim najbardziej intymne, bezbronne, delikatne. Tylko tak nauczymy się rozumieć apokalipsy innych ludzi.

Reżyseria:
Monika Popiel
■ 25 lutego

KONIEC ŚWIATA KLAWIKORDU

Muzyka niemiecka drugiej połowy XVIII wieku to wyraźny przełom, a zarazem początek końca klawikordu. Jak mówią historycy, to okres burzy i naporu, nowych form organizacji życia muzycznego, innowacji w produkcji instrumentów, zmiany sytuacji społecznej i ekonomicznej muzyków. Koniec baroku. A unikając sztywnych podziałów na epoki – wyjątkowo ciekawy moment w dziejach europejskiej kultury. Powstające podówczas dzieła Carla Philippa Emanuela Bacha i jemu współczesnych przez lata określane były jako muzyka nieprzystająca ani do barokowej, ani do klasycystycznej estetyki. Koniec hegemonii jednego języka muzycznego i płynne przechodzenie do innego. Interregnum, którego jednym ze znaków było stopniowe odchodzenie od klawikordu, ulubionego instrumentu C.P.E. Bacha. Dlatego w programie usłyszymy jego muzykę, a także G.P. Telemanna i J.F. Kleinknechta, gdzie pierwsze skrzypce zagra klawikord.

Występują:
Maria Erdman (klawikord),
Karolina Zych (flet traverso),
Justyna Młynarczyk
(viola da gamba)
■ 26 lutego

PIEŚNI

CZASÓW OSTATECZNYCH

Początek XVI wieku to czas kryzysu i przemian. Europejska duchowość, zarówno katolicka, jak i protestancka, naznaczona była poczuciem niepewności. Polskie kancjonały zachowały ślad tej epoki, odcisnięty w wyjątkowych utworach jedno- i wielogłosowych, manifestujących apokaliptyczne nastroje ludzi tamtych czasów. To muzyka wykonywana niezwykle rzadko. Tymczasem są to dzieła niezwykle, zarówno pod względem muzycznym, poetyckim, jak i historycznym. Wyboru staropolskich utworów o końcu świata dokonał zespół Monodia Polska oraz Adam Strug – dobrze znani naszej publiczności śpiewacy tradycyjni. W programie usłyszymy staropolskie pieśni o zarazie i o sędzie ostatecznym.

Występują:
Adam Strug i Monodia Polska
■ 28 lutego

POWRÓT

Bohaterami spektaklu Bukowskiego i Zdunika jest trójka rodzeństwa, powracająca do rodzinnego domu, aby pożegnać zmarłą matkę. Muszą urządzić pogrzeb, wyprawić stypę, uporządkować rzeczy. To dla nich mały koniec świata, intymna apokalipsa. Wraz ze śmiercią matki odchodzą resztki złudzeń o przeszłości, przerwane zostają ostatnie nici z nią łączące. Jeden rozdział się zamyka, kolejny otwiera. Nowy początek to konieczność konfrontacji z pragnieniami, które wcześniej bali się wypowiedzieć, ze skrywanymi sekretami

i nieprzepracowanymi traumami. Zgodnie z biblijną tradycją Apokalipsa to także oczyszczenie. Jednak czy dalsze życie jest po nim jeszcze możliwe?

Reżyseria, muzyka:
Michał Zdunik
Tekst: Benjamin Bukowski,
Michał Zdunik
■ 11 marca

TO TYLKO SEN

Piękna młoda kobieta jest myta, ubierana i szykowana do trumny. Rytuałowi towarzyszą muzyka, kwiaty, rośliny, przyroda, ale też dotyk i wspomnienie. Kto jest Ostatnim Skazańcem? My – ludzkość. Jaki będzie nasz Ostatni Posiłek? Co sobie podarujemy? Kuchnia to podróż, wieczna migracja. W tobołkach wędrowców przewożone są sekrety kulinarne, nasiona, pamięć przodków. Twórcy „To tylko sen” przedstawiają w Arce Pamięci produkty, które w ciągu kolejnych dekad mogą zniknąć – na przykład banany, kawa, czekolada, awokado czy ciecierzycę.

Dlatego powinniśmy cieszyć się nimi, póki jeszcze z nami są. A przy okazji zastanowić się, jak chcemy się z nimi (i z Ziemią) pożegnać.
Autorki: Monika Kucia,
Lena Piękniewska
■ 21 marca

Bilety i spektakle dostępne przez platformę eWejściówki w cenach do wyboru i według uznania: od 5 do 15 zł. Wszystkie wydarzenia, także te bezpłatne, są biletowane. Więcej na:
www.noweepifanie.pl

Organizatorem Festiwalu Nowe Epifanie jest Centrum Myśli Jana Pawła II, Instytucja Kultury m. st. Warszawy.

ISTNIEJE ŻYCIE

Już od prawie roku mamy
niezwykły wielki post.
Nie potrzebujemy dodatkowej ascezy.

PIOTR SIKORA

PRZYSZYWANA CIOCIA MOJEJ ŻONY MIAŁA 96 lat, gdy jej nerki praktycznie przestały pracować. Trzy razy w tygodniu musiała jeździć do stacji dializ, by leżeć tam podłączona przez kilka godzin do maszyny czyszczącej jej organizm z toksyn. Ciocia Zosia mieszkała wtedy jeszcze sama, w małym mieszkaniu na krakowskich Dębnikach. Słaba fizycznie, ale intelektualnie bardzo sprawna.

– Niestety – powiedziała nam lekarka – dializowanie powoduje kolaps w ciągu kilku tygodni, najdalej dwóch-trzech miesięcy.

Kolaps nie nastąpił. Ponad rok później, gdy ciocia Zosia meldowała się w jednym z krakowskich domów opieki – do którego zdecydowała się przenieść, nie chcąc dłużej mieszkać samotnie – pytała zdumionych pracowników, gdzie w jego pobliżu będzie mogła wykorzystywać swoją kartę debetową. A w następnym jeszcze roku, gdy wydłużyła się lista polskich noblistek, prosiła nas, by pożyczyć jej książki Olgi Tokarczuk, bo: „wstyd powiedzieć, nie zdążyłam jeszcze żadnej przeczytać”.

Nie wiem, dlaczego ponure przewidywania lekarzy się nie sprawdziły. Mam jednak hipotezę. Konieczność stałego dializowania nerek to sytuacja nie do pozazdroszczenia. Dla niemal stuletniej staruszki stała się jednak okazją do no-

wych doświadczeń. Bardzo cieszyło ją, że ma możliwość jeżdżenia karetką – czego wcześniej, w długim swoim życiu, nigdy nie robiła. Po drugie, wieziona na drugi koniec miasta, z powodu ulicznych korków różnymi trasami, z ciekawością odkrywała, jak Kraków zmienił się w ostatnich latach, gdy ona prawie już nie wychodziła z domu – o czym z przejęciem nam opowiadała. Na dializach poznała też kilkoro nowych znajomych, z którymi toczyła ciekawe rozmowy, „a wszyscy oni tacy młodzi!” – mówiła (czyli byli trochę po siedemdziesiątce).

Asceza akceptacji

Najbliższa (choć wcale nie tak bliska) rodzina cioci Zosi mieszkała w Warszawie. Tu, gdzie żyła, znało ją kilka osób. Myślę jednak, że gdyby żyła w IV lub V wieku w Egipcie, byłaby wielce szanowaną ammą, matką pustyni, do której schodziłyby się uczennice i uczniowie. Albowiem „mówił abba Pojmen: »jeżeli są trzej mnisi, z których jeden oddaje się prawdziwej kontemplacji, drugi choruje i przyjmuje to z dziękczynieniem, a trzeci w czystej intencji służy innemu, to załugi tych trzech są równe«”.

Abba Pojmen to jeden z największych ojców pustyni: mnichów znanych ze skrajnej ascezy, a zwłaszcza postów. Jedli oni raz dziennie, niektórzy nawet rza-



LAURENT GILLIERON / EPA / PAP

dziej: małe porcje chleba, trochę soli, czasami jarzyny. Pili wodę, której za wiele także nie mieli. Zdawałoby się – niedoścignieni dla większości z nas mistrzowie wielkopostnego umartwienia.

Zastanowić powinno, że Pojmen w swojej pochwalie mnichów nic nie wspomina o ich ascetycznych wyczynach. Mówi o kontemplacji, pogodnym



Ścieżka latarni między jeziorem Moubra a jeziorem Etang Long. Z powodu zamknięć związanych z pandemią wielu obywateli Szwajcarii szuka schronienia w górach. Crans-Montana, 30 stycznia 2021 r.

przyjęciu choroby i służbie bliźniemu. Znamienne są dwa podobieństwa i jedna różnica pomiędzy pochwałą Pojmena a tradycyjną wielkopostną triadą, na którą składają się modlitwa, post i jałmużna. O ile pierwszy i ostatni jej człon można uznać za po prostu inne sformułowanie działań, o których mówi święty abba – kontemplacji i służby bliźniemu

– to nie można przeoczyć miejsca, w którym obie listy się różnią: zamiast na post, ojciec pustyni zwraca uwagę na przyjęcie z dziękczynieniem choroby.

Różnicę tę warto zauważyć nie tylko z historycznych powodów. Triada Pojmena bardzo bowiem pasuje do naszej obecnej sytuacji. Chorujemy. Nawet jeśli koronawirus nie przeniknął do na-

szego organizmu, to przecież niemal od roku wszyscy – bardziej lub mniej – dotknięci jesteśmy pandemią. Mamy kłopoty z pracą, wielu ją utraciło. Szkoły i uczelnie pracują w trybie zdalnym – co ogranicza młodym ludziom możliwości fizycznego kontaktu z rówieśnikami. Zamykane są co jakiś czas galerie handlowe, lokale, kawiarnie, kluby fitness →

→ i baseny. Okresami nie mogą działać hotele. Trudno się uczyć, pracować, bawić, podróżować. Rwą się społeczne więzi.

Z pewnością ograniczenie możliwości zaspokajania wielu istotnych potrzeb, realizacji ważnych pragnień, to jedno z najpoważniejszych negatywnych aspektów pandemii. Można zatem powiedzieć, że w pewnym sensie Środa Popielcowa A.D. 2021 nie rozpocznie nowego czasu – już bowiem prawie rok temu zostaliśmy wprowadzeni w niezwykły wielki post – dla wielu z nas największy post w życiu. W poszczeniu bowiem – w chrześcijańskiej tradycji – chodzi o dobrowolne pozbawienie się pewnych dóbr, rezygnację z zaspokajania określonych potrzeb, nierealizowanie pragnień.

Wolność i post

Myśląc o pandemii jako o poście, łatwo zauważyć jeden istotny problem: wolność. Chrześcijański post powinien być w powszechnej opinii wolnym postanowieniem i czynem. My zaś dzisiaj – najczęściej – mamy już dość pandemii i wszystkich ograniczeń, jakie na nas nakłada. Może jeszcze wiosną, podczas pierwszego lockdownu, można było usłyszeć o korzyściach ze zwolnienia tempa życia, ze spędzania większej ilości czasu z najbliższymi, z nieco wymuszonej – ale jednak – uważności na to, co tuż koło nas się dzieje. Ale już wtedy bardziej przenikliwi zwracali uwagę, że owe korzyści nie dotyczą wszystkich, że zależą od odpowiednich warunków lokalowych i wcześniej istniejących relacji rodzinnych.

Teraz zaś trudno znaleźć kogokolwiek, kto mówiłby o pozytywach stanu epidemii. Po niemożności pożegnania się z tyłu samotnie zmarłymi w zamkniętych szpitalach, po wiadomościach o długotrwałych skutkach ubocznych choroby. Po tych wszystkich miesiącach niepewności, po zapowiedziach, że oto już wygraliśmy walkę z koronawirusem, a zaraz potem po drugiej, dużo większej fali zakażeń i śmierci. Po obietnicach władzy, że trudy tylko do stycznia, bo już zaraz będzie szczepionka, i po brakach w jej dostawach. Po informacjach o nowych mutacjach wirusa, na które nawet zaszczepieni być może nie będą całkiem odporni.

Chcemy wrócić do normalności i myśl, że w najbliższej przyszłości nie będzie to możliwe, rodzi w nas frustrację, lęk, złość i zniechęcenie.

Wydaje się nam,
że w sposób wolny
podejmujemy decyzję,
by pościć. Tymczasem
**według ojców pustyni,
to raczej post
daje nam wolność.**

W tym kontekście warto przypomnieć, że wielu mistrzów duchowych inaczej widziało związek postu z wolnością. To nie jest do końca tak – twierdzili – że w wolny sposób możemy podjąć decyzję, by pościć. W perspektywie, którą kreslili, to raczej post daje nam wolność.

Doświadczenie życiowe uczyło ich bowiem, że poczucie wolności bywa często złudzeniem. To, co jawi się nam jako nasza osobista decyzja, jest wypadkową sił, których nie dostrzegamy, lecz które kształtują nasz sposób życia. By zyskać wolność, trzeba poznać te mechanizmy. Tu zaś post może być niezbędny.

Doświadczając postnego braku, zyskujemy (jaśniejszą) świadomość krępujących naszą wolność przywiązań. Rozpoznajemy, bez czego trudno się nam obejść, z czego zaś rezygnacja nie sprawia nam większych trudności. Możemy także zobaczyć rozmaite własne emocjonalne reakcje – czego brak czyni nas drażliwymi, smutnymi, rozkojarzonymi.

Ćwiczenie tego, co jest

Spróbujmy w podobny sposób podejść do liturgicznego okresu Wielkiego Postu. Nie podejmujemy w tym roku żadnych dodatkowych wielkopostnych postanowień. Idąc za intuicją abby Pojmena, zauważmy, że teraz potrzebnym duchowym ćwiczeniem może być „przyjęcie choroby z dziękczynieniem”. Jest to tym bardziej uzasadnione, że w naszym przypadku chorobą jest pandemia, która i tak ma ów postny wymiar – przez nią doświadczamy długotrwałej deprywacji w wielu wymiarach życia, mamy dość, świat doskwiera nam już na tyle, że pragnienie „niechże się to wreszcie skończy i wróci normalność!” zaczyna dominować w świadomości, tak indywidualnej,

jak i zbiorowej. Ale właśnie dlatego możemy zasadniczym wielkopostnym działaniem uczynić wysiłek przyjęcia – jeśli nawet nie z dziękczynieniem, to chociaż bez buntu – rzeczywistości taką, jaka jest.

Zapewne nie jest to łatwe i wymaga sporego wysiłku ducha. Być może jednak jest to jedno z najbardziej wartościowych zadań, jakie mamy okazję podjąć. Starożytny stoik Epiktet dzielił się odkryciem swojego życia: „Z wszystkich rzeczy jedno są od nas zależne, drugie zaś niezależne. Zależne są od nas: sądy, popędy, pragnienia, odrazy i jednym słowem – to wszystko, co jest naszym dziełem. Niezależne natomiast są od nas: ciało, pieniądze, sława, godności i jednym słowem – to wszystko, co nie jest naszym dziełem”. Epiktetowi nie chodziło oczywiście o czysto teoretyczne rozróżnienie, lecz o to, że jeśli pomylimy rzeczy od nas zależne z niezależnymi, „sami się zaprzęgniemy w niewolę, będziemy rozwodzić skargi i żale, doznawać niepokoju, miotać złorzeczenia zarówno na bogów, jak i na ludzi”.

Stoicka mądrość Epikteta okazuje się bardzo współczesna. W jednym z najbardziej skutecznych (co potwierdzają badania naukowe) nurtów psychoterapii, tzw. psychoterapii dialektyczno-behawioralnej, ceni się umiejętność nazywaną radykalną akceptacją. Ma ona zastosowanie w sytuacji, która jest dla nas trudna, którą odbieramy negatywnie, jako rodzącą cierpienie, ale której w żaden sposób nie możemy (w danym momencie albo w ogóle) zmienić.

Niektóre aspekty tej umiejętności wydają się ważne w sytuacji pandemicznego wielkiego postu. Po pierwsze, radykalna akceptacja wiąże się z zaprzestaniem – na jakiś czas – daremnych prób zmiany nieuniknionej sytuacji. Po drugie jednak, ważne jest, by być świadomym tego, co owa sytuacja z nami robi, co się z nami w niej dzieje, jakie w nas powstają myśli, uczucia i pragnienia. Wszak integralnym elementem sytuacji, którą chcemy zaakceptować, jest i to, że nie jest to sytuacja, jakiej byśmy chcieli. Że nasze pragnienia są sfrustrowane; że rodzi się w nas smutek, gniew, zniechęcenie; że cierpimy.

Ale zamiast od razu wierząć przeciw rzeczywistości, warto zatrzymać się i spróbować ją po prostu zobaczyć. Doświadczyć możliwie uważnie. Rozpoznać wszelkie szczegóły, zależności pomiędzy

jej elementami. Opisać. Zrozumieć. Radykalna akceptacja to także akceptacja własnej frustracji, rozczarowania, niezgody – wszystkich negatywnych emocji i myśli.

Istotne jest również uświadomienie sobie, co tracimy bez radykalnej akceptacji, próbując zmienić to, czego – teraz, przez jakiś czas albo nawet nigdy – zmienić się nie da, koncentrując się na swojej negatywnej reakcji albo nawet ją pielęgnując. Warto jednocześnie ćwiczyć się w dostrzeganiu, co zyskalibyśmy, gdybyśmy przestali walczyć przeciw temu, co nieuniknione.

W tym ostatnim ćwiczeniu kluczowa jest świadomość, że ta właśnie sytuacja – jak każda – jest wielowymiarowa i bogatsza, niż ją postrzegamy, zwłaszcza wówczas, gdy koncentrujemy się na jej negatywnych dla nas aspektach. Warto zatem spróbować przyjrzeć się jej na nowo, uważnie, świeżym spojrzeniem, próbując dostrzec te aspekty, nawet szczególne, które mogą nas cieszyć. Ciocia Zosia przekonała mnie, że zawsze coś takiego można znaleźć.

Równowaga

Gdyby ktoś miał wątpliwość, czy świadoma koncentracja na pozytywnych aspektach otoczenia nie jest swego rodzaju ucieczką od prawdy o rzeczywistości, warto zdać sobie sprawę, że jest to raczej powrót do równowagi. Z ewolucyjnych przyczyn nasze umysły mają tendencję do postrzegania tego, co ne-

gatywne, kosztem stron pozytywnych. Mamy ograniczoną pojemność poznawczą, a dawno temu, w trudnych warunkach niemal nieustannego zagrożenia życia, niefrasobliwi pogodni kontemplatycy najczęściej ginęli. Przeżywali raczej ci nasi przodkowie, którzy bardziej niż na piękno świata byli wyczuleni na czyhające w nim zagrożenia. My dziedziczymy ich nastawienie, nawet jeśli dzisiaj, w zmienionych warunkach życia, nie jest zawsze korzystne.

Być może zaś dzisiaj wszyscy jesteśmy jak przyszywana ciocia mojej żony, która bez swojej otwartości na nowe doświadczenia, bez kontemplacyjnej umiejętności odnajdywania dobrych stron w konieczności jeżdżenia na dializy nie dożyłaby – w zasadniczo dobrym humorze – swoich 99 lat.

W uważności, a nawet świadomym poszukiwaniu pozytywnych aspektów nie chodzi zatem o ucieczkę, ale, po pierwsze, o prawdę, a po drugie – o pewnego rodzaju „wytnięcie”. Zagrożenia, negatywy już dotarły do naszego umysłu. Rodzą chęć zmiany – poprzez ucieczkę lub walkę – a gdy zmiana nie jest możliwa – frustrację i złość. Te emocje przeszkadzają jasności spojrzenia, zaburzą nasze reakcje na to, co wokół się dzieje.

Gdy sytuacja jawi się jako zbyt trudna do zniesienia, a walka o zmianę nie jest możliwa, próbujemy uciekać. W pandemii uciec fizycznie nie ma dokąd. Uciekamy więc od rzeczywistości w nierealne

marzenia, w wirtualne fantazje, w udawanie, że jest inaczej. Zachowujemy się jak pacjent, który na tyle boi się swojej choroby, że nie jest w stanie przyjąć diagnozy – zaprzecza, udaje (sam przed sobą) zdrowego. Dopiero rozpoznanie, że istnieje życie także w chorobie, może umożliwić przyjęcie diagnozy. A dopiero to ostatnie umożliwia właściwe leczenie. Ludzka kondycja jest, można rzec, dialektyczna – to akceptacja umożliwia zmianę.

Zauważmy, jak bardzo powiązane są elementy triady Pojmena. Przyjęcie choroby, które można zrozumieć szerzej, jako przyjęcie świata w jego rzeczywistej postaci, możliwe jest tylko w przestrzeni uważności, czyli kontemplacji. Służyć bliźnim – przynosząc im prawdziwy pożytek – nie da się bez akceptacji własnej choroby.

Nie można przeoczyć, że Pojmen mówi o służbie z czystą intencją – wiedział, że może być „zabrudzona”. Dobrze znał życie i na pamięć znał ewangelie – miał przed oczami ostrzeżenie Jezusa, by nie usuwać łąki z oka brata, gdy w naszym tkwi belka. Pojmen rozumiał, że Mistrz z Nazaretu wskazuje na mechanizm toksycznej projekcji, gdy nasze własne zranienia – nierozpoznane, nieprzyjęte i nieuleczone – zasłaniają prawdziwe potrzeby bliźniego.

Radykalna wielkopostna akceptacja świata nie jest zachętą do bierności. Jest raczej warunkiem życia i wszelkiego skutecznego działania. ©© PIOTR SIKORA

REKLAMA



„Istnieją dwie szczególnie skuteczne metody manipulowania ludźmi: pieniądze i głupota”.

Premiera 18.02.2021

Bartosz
Brożek

Michał
Heller

Jerzy
Stelmach

WYDAJEMY DO MYŚLENIA

Partner:



Patronat medialny:



Copernicus
Center
PRESS

www.ccpres.pl



JOSHUA ROBERTS / GETTY IMAGES

Joe Biden w kościele św. Józefa w Brandywine w Wilmington, Delaware, 26 grudnia 2020 r.

Katolik w Gabinetcie Owalnym

ZUZANNA RADZIK

Prezydentura Joego Bidena stawia pytania, czy katolicki polityk może mieć w sprawie aborcji i małżeństw osób LGBT przeciwnie zdanie niż biskupi oraz popierać rozwiązania inne niż zalecane przez Kościół.

W PIERWSZYCH 15 DNIACH URĘDOWANIA nowego prezydenta USA amerykański episkopat wydał 10 oświadczeń prasowych. Najczęściej entuzjastycznie witających szybkie zmiany polityki w sprawach klimatu, polityki zagranicznej, opieki zdrowotnej czy ekonomii. Ale już w dniu inauguracji Bidena przewodniczący episkopatu abp José Gomez przypomniał o tematach, które biskupów z prezydentem

różnią: aborcja, antykoncepcja, małżeństwa osób LGBT i gender.

Nie byłoby w tych podobieństwach i różnicach nic ekscytującego, gdyby Joe Biden nie był katolikiem znanym z regularnego praktykowania.

Nie na pokaz

To drugi (po Kennedym) w historii amerykański prezydent – katolik, w dodatku taki, który nie ukrywa swojej pobożności, uczestniczy co niedzielę w mszach i nosi różaniec w kieszeni. Jego kampania, budowana wokół wezwania do uzdrowienia duszy narodu, była pełna religijnych odniesień, cytatów z psalmów czy opowieści o znaczeniu wiary w najciemniejszych momentach życia. Niektórzy Demokraci uważają, że nikt od czasu Jimmy'ego Cartera w 1976 r. nie prowadził tak przesadnie pobożnej kampanii. Jednak katolicyzm Bidena to nie rekwizyt na czas kampanii prezydenckiej. Jego religijność była widoczna w życiu publicznym od dziesięcioleci, odwoływał się do niej nie raz, mówiąc o swojej motywacji i wyznawanych wartościach.

Zastępca politycznego dyrektora kampanii Bidena John McCarthy jeszcze w jej trakcie podkreślał, że obecność tych tematów jest wyraźna, bo taki właśnie jest Biden. Demokratyczny senator z Delaware Chris Coons, który zna Bidena od dziesięcioleci, podkreślał w radiu NPR, że stanowisko prezydenta w sprawach spo-

łecznych, migracji, opieki zdrowotnej czy środowiska nie jest zwykłym stanowiskiem politycznym, ale wypływa z widzenia innych ludzi jako stworzonych na obraz Boga. Tymczasem Trump i Republikańscy próbowali Bidena przedstawiać jako bezbożnika, a wielu wierzących kwestionuje jego katolicyzm. W centrum krytyki stoją zapalne tematy aborcji i praw osób LGBT.

To nietypowe dla demokratycznego kandydata. Według badań z 2019 r. 40 proc. wyborców Partii Demokratycznej ma nieokreśloną relację do religii. W poprzednich wyborach 52 proc. katolików głosowało na Trumpa, a w ostatnich dziesięcioleciach partia traciła katolickich wyborców m.in. z powodu problemu aborcji.

Centrum Badań Pew opublikowało w sierpniu zeszłego roku wyniki badań, według których tylko 35 proc. wyborców Bidena uważa temat aborcji za bardzo ważny. Dla porównania: uważało go za taki 50 proc. wyborców Clinton. Wśród wyborców Trumpa liczby te wzrosły z 41 do 46 proc.

Telegram i list

Inaugurację prezydentury Bidena z radością powitał Franciszek, który nie ukrywał chłodnego stosunku do Donalda Trumpa. Różniły ich tematy imigracji, klimatu i wiele innych. Jak zresztą podkreśla „New Yorker”, gdyby zmierzyć po-

stępowość myśli Bidena i Franciszka, ten drugi wypadnie korzystniej właśnie z powodu zaangażowania w ekologię i solidarność z ubogimi.

Choć Biden nie ukrywał stanowiska w sprawie aborcji, papież w okolicznościowym telegramie skupił się na innych tematach: prosił, by Biden budował społeczeństwo prawdziwie sprawiedliwe i wolne, szanujące prawa człowieka, a zwłaszcza godność słabych i ubogich. „Proszę także Boga, źródło wszelkiej mądrości i prawdy, by kierował pańskimi wysiłkami, by krzawić zrozumienie, pojednanie i pokój wewnątrz Stanów Zjednoczonych oraz między narodami świata w celu wspierania powszechnego dobra wspólnego” – napisał papież.

W kierunku Bidena chłodem powiało jednak od przewodniczącego amerykańskiego episkopatu. Jego list wystosowany w dniu inauguracji wyrażał obawę, że polityka Bidena w spornych kwestiach będzie „szerzyła moralne zło i zagrażała ludzkiemu życiu i godności, najpoważniej w dziedzinie aborcji, antykoncepcji, małżeństwa i płci”. I choć bp Gomez wyrażał nadzieję na dialog w delikatnych kwestiach i podkreślił, że współpraca z Bidenem, pierwszym od 60 lat katolickim prezydentem, będzie wyjątkowa, to takie powitanie zabrzmiało gorzko.

Nie obyło się bez wewnętrznych konfliktów. Arcybiskup Chicago Blase Cupich, nominat Franciszka, nazwał na Twitterze oświadczenie Gomeza nierozważnym i przyznał, że zaskoczyło wielu biskupów. Episkopat USA jest zdominowany przez hierarchów konserwatywnych, którzy uważają aborcję za temat, który powinien rozstrzygać o politycznym poparcu w czasie wyborów.

Mexico City Policy

Reakcję biskupów wywołały zapowiedzi nowej administracji nt. polityki dotyczącej praw reprodukcyjnych. Było dość jasne, że zniosą tzw. Mexico City Policy (zakaz finansowania ze środków federalnych organizacji krajowych i zagranicznych oferujących aborcję) oraz poszukają sposobu na umocowanie w prawie federalnym orzeczenia Roe v. Wade (precedensowego orzeczenia Sądu Najwyższego w sprawie aborcji), tak by nie można było go znosić przez ustawodawstwo stanowe. To zresztą zapowiadali w oświadczeniu wydanym w styczniu z okazji 48. rocznicy słynnego wyroku.

Biden politykę Mexico City zniósł dekretem już w piątym dniu urzędowania. Ocenił, że to „odwróci atak mojego poprzednika na dostęp kobiet do opieki zdrowotnej”. Politykę Mexico City odwoływali kolejno wszyscy demokracjacy prezydenci, a przywracali republikanicy. Po raz pierwszy wprowadził ją Reagan, a administracja Trumpa rozszerzyła zakaz o wszelkie usługi związane z planowaniem rodziny. Jak dowiedli autorzy wieloletnich badań skutków zmian tej polityki w krajach Afryki subsaharyjskiej, w efekcie wprowadzania tego prawa zwiększa się liczba aborcji, bo ogranicza ono finansowanie organizacji zajmujących się zdrowiem reprodukcyjnym kobiet, które oferują szeroką pomoc medyczną, antykoncepcję i leki na AIDS. Bez tej pomocy kobiety częściej zachodzą w ciążę i decydują się na jej przerwanie w warunkach zagrażających życiu. W okresach obowiązywania Mexico City Policy liczba aborcji wzrastała o 40 proc.

Manifest

Prezydent dopuszczający aborcję, ale przystępujący do komunii wywołuje konfuzję u katolickich konserwatystów. Progresywni katolicy widzą w nim z kolei uprawnienie różnorodności opinii. Według badań PEW amerykańscy katolicy są w sprawie aborcji pęknięci na

pół, 48 proc. jest za jej legalizacją, 47 proc. za zakazem. Z kolei 57 proc. katolików popiera małżeństwa LGBT, a jedynie 34 proc. jest przeciw.

Można postawić sprawę inaczej i pytać, czym naprawdę byłaby polityka „za życiem”. Napisany przez grupę katolików wcześniej mocno zaangażowanych w ruchy pro-life nowy manifest deklaruje ochronę życia od poczęcia do naturalnej śmierci, ale wyraża przekonanie, że dotychczasowe metody tej ochrony nie służą. Jako elementy nowej polityki wymieniają: dostęp do opieki medycznej, opiekę położniczą, płatny urlop macierzyński, ochronę stanowiska pracy, równe płace i edukację seksualną. Czynniki przeciwne życiu to z kolei kara śmierci, wojna, łatwy dostęp do broni. Brzmi zasadnie? Owszem, ale w wyniku nagonki konserwatystów jedna z inicjatorek manifestu straciła pracę na katolickim uniwersytecie. Co tylko przypomina, jak uwikłana w politykę jest dyskusja o tym, co jest ochroną życia, a co nie.

Może zatem, mierząc się z eksponowanym w życiu publicznym katolikiem Bidenem, biskupi i konserwatyści mierzą się z faktycznym zróżnicowaniem opinii wśród katolików. Głosu Bidena i kształtowanej przez jego administrację polityki nie będzie się dało nie zauważyć lub zignorować. ©

POŻEGNANIE

30 stycznia 2021 roku zmarła w 94. roku życia
Przyjaciółka moich dziadków, rodziców i moja

Ś.†P.

Lidia Horoszewicz

doc. dr hab. rybactwa

Osoba niepowtarzalna, zaangażowana do końca w sprawy otaczającego ją świata, bezinteresowna, przyjazna i pomocna ludziom, niezwykle prawa, o bystrym analitycznym umyśle, pozytywnym i otwartym podejściu do wszelkich darów losu („złamałam co prawda prawą rękę, ale dzięki temu wyćwiczę sobie lewą”), zapadająca w serca chyba wszystkich, którzy ją poznali.
Będę Cię zawsze ciepło i z uśmiechem pamiętać, dziękując, że dane mi było spotkać Cię w moim życiu.

JOANNA NURKOWSKA

Kłopoty z Marią

MARCIN MAJEWSKI

Franciszek rozstrzygnął wątpliwości co do tożsamości przyjaciółki Jezusa. Mamy zatem nowe liturgiczne wspomnienie.

PAPIEŻ ZDECYDOWAŁ, ŻE DZIEŃ 29 LIPCA – obchodzony dotąd w Kościele jako wspomnienie św. Marty – będzie wspomnieniem obowiązkowym również jej rodzeństwa: Marii i Łazarza (bohaterów znanych z ewangelii). Do tej pory czczono w liturgii tylko św. Martę, gdyż Kościół katolicki przez wieki utożsamiał jej siostrę Marię z Marią Magdaleną, a ta ma już osobne święto w kalendarzu rzymskim (22 lipca). Dodanie do kalendarza dnia poświęconego Marii, Marcie i Łazarzowi spowodowałoby, że Maria byłaby wspomniana dwukrotnie. Tymczasem Kościół wschodni i niektóre odłamy protestanckie od początku odróżniają obie postacie. Tak uczynił niedawno i Kościół katolicki. W dekrecie Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów wyjaśniono, że wątpliwości co do tożsamości postaci z ewangelii „zostały rozwiązane podczas prowadzonych w ostatnich czasach badań”. Oznacza to, że decyzją Franciszka uznano obie Marie za odrębne postacie.

Jedna czy dwie Marie

Dlaczego wielu interpretatorów ewangelii utożsamiało i nadal utożsamia obie kobiety – Marię z Betanii i Marię Magdalenę? Otóż ewangelista Łukasz wspominał w jednym miejscu, że Jezus wypędził z Marii Magdaleny siedem złych duchów (Łk 8, 2). To sugeruje czytelnikom, że to ona była grzesnicą, która w poprzedzającej scenie Ewangelii św. Łukasza łzami obmywała Jego nogi: „A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik olejku i stanawszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego

ALBUM / EAST NEWS



Święty Łazarz z siostrami Martą i Marią. Obraz autorstwa Maestro de Peretea XVI wiek, w zbiorach Lazaro Galdiano Museum w Madrycie

nogi i włosami swej głowy je wycierać” (Łk 7, 37n).

Utożsamienie Marii Magdaleny z jawno-grzesnicą obmywającą Jezusowi nogi zyskało szeroką akceptację także dlatego, że liczbę złych duchów – siódemka jako pełnia – interpretowano jako „najgorszy grzech”, czyli prostytutkę. Z kolei w Ewangelii św. Jana czytamy, że ta, która wykonała wobec Jezusa niespotykany gest wytarcia nóg włosami, była Maria z Betanii: „Marta posługiwała, a Łazarz był jednym z zasiadających z Nim przy stole. Maria zaś wzięła funt szlachetnego i drogocennego olejku nardowego i namaściła Jezusowi nogi, a włosami swymi je otarła” (J 12, 3). Te spostrzeżenia doprowadziły do wniosku o tożsamości postaci Marii. Tak interpretował ewangelie św. Grzegorz Wielki oraz szereg starożytnych i bardziej współczesnych czytelników.

Jednak to, że Łukasz i Jan opowiadają bardzo podobną scenę, nie musi oznaczać, iż występuje w niej ta sama postać. Jan nie przedstawia Marii jako znanej w mieście grzesznicy, nie mówi też o jej płaczu. Pierwsza kobieta obmywa nogi łzami, druga olejkiem. Do tego Łukasz znał Marię z Betanii (Łk 10, 39), dlatego

więc w opowiadaniu o obmyciu nóg pisze o grzesznicy jak o postaci anonimowej? Wreszcie, decydujący wydaje się przydomek, którym określa się obie kobiety. Pierwsza pochodzi z Betanii, która leży blisko Jerozolimy, w Judei. Druga zaś pochodzi z Magdali, wioski w Galilei nad Jeziorem Galilejskim, niedaleko Tyberiady, daleko zaś od Jerozolimy. Oznacza to, że kiedy Łukasz i Jan piszą o „Marii Magdalenie”, a w innym miejscu o „Marii, siostrze Łazarza z Betanii”, mają na myśli różne osoby.

Podjeżdżane podobieństwo

Skoro więc obie Marie są różnymi kobietami, to czy możliwe jest, aby przytrafiła im się taka sama, niespotykana sytuacja? Oba opowiadania o obmyciu nóg i otarciach ich rozpuszczonymi włosami są do siebie podejrzanie podobne; dla badaczy literatury biblijnej zbyt podobne, by zakładać przypadkową identyczność sekwencji narracyjnej i dwukrotne wystąpienie dziwnego gestu. Trzeba bowiem wiedzieć, że kobieta nie mogła rozpuszczać włosów przed obcym mężczyzną, a publiczne ocieranie włosami nóg mężczyzny było w biblijnym świecie nieakceptowane.

Bardzo prawdopodobne jest – jak to często bywa w literaturze biblijnej – że ta sama historia została spożytkowana dwa razy, w dwóch różnych kontekstach i w dwóch różnych celach perswazyjnych. Przykładem mogą być liczne w Pięcioksięgu dublety, a więc opowiadania, które na dwa różne sposoby spożytkowują ten sam motyw literacki (np. dwa opowiadania o stworzeniu świata, dwa opowiadania o potopie, dwa opowiadania o przymierzu z Abimelekiem czy dwa opisy powołania Mojżesza na górze Synaj). Przykładem są też sceny z ewangelii, w których wielkie podobieństwo sugeruje jeden pierwowzór: Kazanie na Górze w Ewangelii Mateusza i jego zmieniony odpowiednik w Ewangelii Łukasza, dwa opowiadania o rozmnożeniu chleba czy dwa opisy uzdrowienia paralityka.

Przy scenie obmycia nóg autorem przepracowania pierwotnego motywu wydaje się być św. Jan. U Łukasza logiczne jest wycieranie nóg włosami po obmyciu ich łzami, aby je potem namaścić olejkami, natomiast niezrozumiałe jest w przekazie Jana wycieranie drogocennego olejku. Autor ten, piszący najpóźniej z czwórki ewangelistów, często przedkłada znaczenie teologiczne nad opis zdarzeń. Tu przeplótł scenę obrazami i symbolami z Pieśni nad Pieśniami, by pokazać, że Maria – symbol umiłowanej wspólnoty chrześcijańskiej – przyjmuje funkcję Oblubienicy Jezusa. To dlatego obmywa Ukochanego w Ewangelii Jana wonnym olejkiem już nie jawnogrzesznica, lecz przyjaciółka i duchowa Oblubienica.

Zasadne jest więc odróżnienie obu Marii, choć przez zabieg literacki św. Jana niejednokrotnie bywały one w historii utożsamiane. Słuszny, a także zdradzający znakomite wyczucie teologiczne jest gest papieża Franciszka, który wskazuje, by czcić w liturgii nie tylko św. Martę, ale całą trójkę rodzeństwa – Martę, Marię i Łazarza – która w ewangelii jest silnie związana ze sobą nawzajem oraz z Jezusem, jako przyjacielem i szczególnym gościem domu w Betanii. ©

MARCIN MAJEWSKI jest teologiem, biblistą, wykładowcą Pisma Świętego, archeologiem biblijnym i języka hebrajskiego na UPJPII i UJ.

Ziemia Abrahama

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

„Jestem pasterzem ludzi, którzy cierpią” – tak tłumaczy Franciszek zamiar odwiedzenia Iraku. Będzie to wizyta bezprecedensowa.

WATYKAN PODAŁ HARMONOGRAM marcowej wizyty Franciszka w Iraku. Fakt ten potwierdza determinację papieża, by odwiedzić rejon szczególnie dotknięty przemocą. Papież odwiedzi miejsca najważniejsze dla muzułmanów i chrześcijan, a także iracki Kurdystan. W cztery dni (od 5 do 8 marca) wygłosi siedem przemówień. Z wielu względów to wizyta bezprecedensowa.

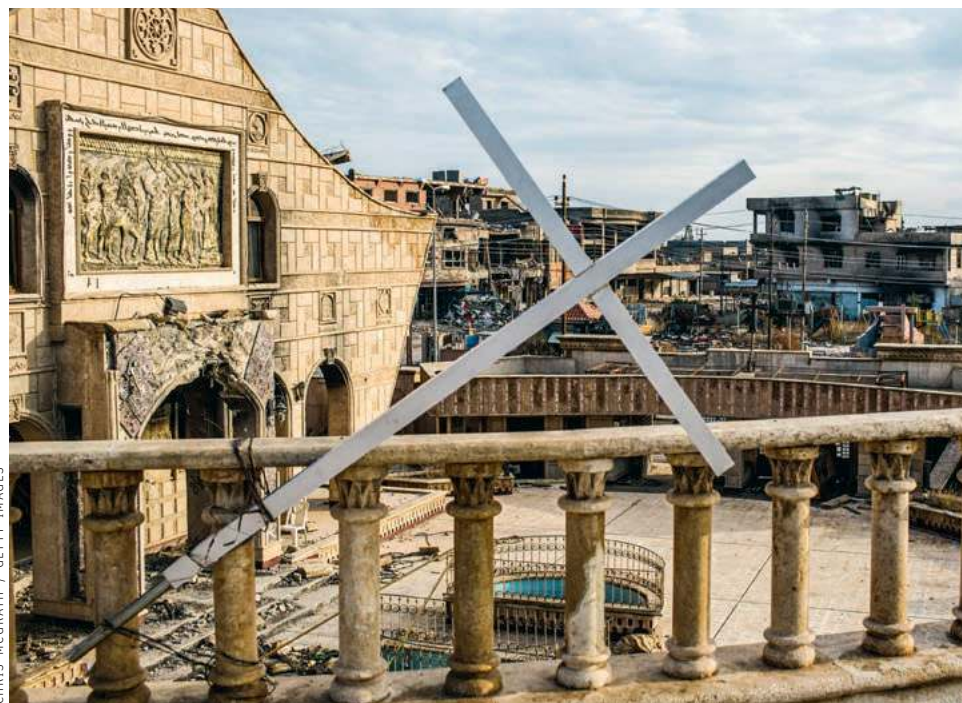
Będzie to pierwsza podróż zagraniczna papieża po lockdownie. Ostatnia, do Tajlandii i Japonii, miała miejsce w listopadzie 2019 r. Od wybuchu epidemii Franciszek opuścił Watykan tylko raz, w październiku, udając się na kilka godzin do Asyżu.

Będzie to też pierwsza w czasach nowożytnych wizyta zwierzchnika Kościoła katolickiego w tym kraju. Planowana przez Jana Pawła II na grudzień 1999 r.

podróż do Ur, biblijnego miasta Abrahama, nie doszła do skutku – nie dopuścił do niej Saddam Husajn, tłumacząc, iż nie może zagwarantować papieżowi bezpieczeństwa.

Podróż Franciszka irackie MSZ przedstawia jako „posłanie pokoju dla Iraku i całego regionu”. „Vatican News” anonсуje podróż jako „konkretny gest zbliżenia z mieszkańcami tego umęczonego kraju”. Franciszek o takiej podróży marzy od dawna, w czerwcu 2019 r. mówił: „Nie odstępuję mnie myśl o Iraku. Pragnąłbym, aby ten kraj mógł iść do przodu drogą pokojowej współpracy wszystkich segmentów społeczeństwa, także religijnych, i nie ulegać napięciom, które są pokłosiem nigdy niezduzonych konfliktów mocarstw regionalnych”. Dzisiaj dodaje: „Będę pracował nad tym, żeby obecność chrześcijan

Zniszczone przez terrorystów z ISIS chrześcijańskie miasto Karakosz. Irak, grudzień 2016 r.



→ w Iraku nadal postrzegano jako znak pokoju i postępu”.

Wsparcie dla chrześcijan

Na skutek rozpętanej przez islamistów wojny z ok. 1,5-milionowej wspólnoty chrześcijańskiej pozostało w Iraku zaledwie 400 tys. wiernych. Dlatego w planach wizyty papież nie mógł pominąć odwiedzin w miejscach ważnych dla chrześcijan.

„My, chrześcijanie, oczekujemy po wizycie papieża pocieszenia i nadziei – mówi Louis Raphael Sako, zwierzchnik Kościoła chaldejskiego na Bliskim Wschodzie, w 2018 r. mianowany przez Franciszka kardynałem. – Zawsze byliśmy prześladowani, za naszą wiarę w Chrystusa i Ewangelię płacimy krwią”.

W Bagdadzie Franciszek zostanie powitany przez premiera Mustafę al-Kazimiego, spotka się z prezydentem Barhamem Salihem, a następnie z biskupami, księżmi, seminarzystami i katechetami w syrokatolickiej katedrze pw. Matki Bożej Zbawienia, w której w październiku 2010 r. islamscy terroryści dokonali krwawego zamachu, zabijając 48 osób i raniąc wiele innych. Również w Bagdadzie papież odprawi mszę w katedrze chaldejskiej pw. św. Józefa.

Franciszek odwiedzi też północną część kraju, w latach 2014-17 okupowaną przez islamistów. Dzisiaj różne grupy narodowościowe i religijne próbują przywrócić tu normalne życie, choć między autonomicznym regionem Kurdystanu a państwem irackim trwa spór o granice, chrześcijanie zaś wciąż są prześladowani przez szyitów. W czasie inwazji dżihadystów setki tysięcy chrześcijan uciekły właśnie z tego regionu – wielu wciąż nie wróciło. Zarówno władze Iraku, jak i Watykan wzywają chrześcijan do powrotu, ale nie jest to łatwe. Napięcia nadal się tu utrzymują, infrastruktura jest zrujnowana, a domy części uciekinierów zostały przejęte. Chrześcijanie oskarżają szyckie bojówki o ustawienie wokół ich byłych osiedli patroli, które uniemożliwiają im powrót. Z drugiej strony, z inicjatywy jednego z ważniejszych szyickich przywódców religijnych, radykalnego Muktady al-Sadra, utworzono pięcioosobową komisję, której zadaniem jest rozpatrywanie skarg irackich chrześcijan i doprowadzenie do zwrotu ich mienia zagarniętego przez szyckie milicje.

Jan Paweł II
planował w 1999 r.
pielgrzymkę do Ur w Iraku,
**ale nie zgodził się na nią
Saddam Husajn.**

Msza w stolicy Kurdów

Wsparcie duchowe dla chrześcijańskich wspólnot w Iraku to tylko jeden z celów Franciszka. Na drodze papieża nie mogło zabraknąć Mosulu, symbolu różnorodności religijnej, etnicznej i kulturowej, którą islamisci tak bardzo chcieli zlikwidować. W Mosulu Franciszek weźmie udział w modlitwie za ofiary wojny, a potem odwiedzi nieodległą Bachdide i tamtejszą wspólnotę chrześcijan, gdzie w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia odmówi Anioł Pański. Tego samego dnia poprowadzi mszę na stadionie w Irbilu, stolicy autonomicznego regionu Kurdystanu.

Trudno nie odczytać tego jako symbolicznego wsparcia dla grupy, która najwierniej współpracowała z Zachodem i najbardziej zdecydowanie stawiała opór dżihadystom. Franciszek spotka się zresztą z przywódcami duchowymi i cywilnymi regionu. Właśnie tutaj znalazło schronienie 120 tys. chrześcijan w czasie islamistycznej nawałnicy. Msza w Irbilu zaplanowana jest na 7 marca – będzie to ostatnia oficjalna ceremonia przed powrotem do Rzymu 8 marca.

Spotkanie z szyitami

Wcześniej, 6 marca, papież odwiedzi Nadżaf, święte miasto szyitów. Nadżaf to po Mekce i Medynie najważniejsze miejsce islamu, znajduje się w nim grobowiec imama Alego, zięcia i następcy proroka Mahometa.

W Nadżafie Franciszek zamierza spotkać się z mardżą Alim Sistanim, który z kolei uważany jest za jednego z najważniejszych współczesnych przywódców duchowych islamu. Sistani odegrał kluczową rolę w utworzeniu oddziałów szyickich, które u boku wojsk irackich walczyły z tzw. Państwem Islamskim.

Spotkanie Bergoglia z Sistanim jest ważne nie tylko z punktu widzenia dialogu międzyreligijnego, ale i politycznego. Sędziwy Sistani (90 lat) to główny

rywal Alego Chameneia, Najwyższego Przywódcy Iranu. Z Nadżafu usiłuje zrobić przyczółek irańskich szyitów w Iraku. Sistani, w odróżnieniu od Chameneia, który w Iranie sprawuje władzę zarówno duchową, jak i polityczną, nie uważa, że islam powinien zastępować władzę cywilną. Jego zdaniem może co najwyżej pełnić rolę doradczą. Również wobec Kurdów Sistani zajmuje – w odróżnieniu od wielu szyitów – pozycję pojednawczą, nazywając ich „naszymi kurdyjskimi braćmi”. Z tych powodów można oczekiwać, że spotkają się ze sobą liderzy dwóch wielkich wspólnot religijnych i zarazem dwaj ważni przywódcy polityczni, których łączy przekonanie o potrzebie dialogu i współpracy między różnymi wspólnotami.

„Droga do braterstwa”

Jeszcze tego samego dnia Franciszek pośle z Nadżafu do Nasirii, gdzie na równinie Ur, uważanej za miejsce narodzin proroka Abrahama, planuje wziąć udział w „spotkaniu międzyreligijnym”. To dobre miejsce dla takiego wydarzenia, ponieważ Abraham jest uznawany za patriarchę przez żydów, chrześcijan i muzułmanów.

„Moim celem jest doprowadzić, aby ludzie ze sobą rozmawiali, dogadywali się i szukali drogi do braterstwa” – stwierdził Franciszek w wywiadzie dla Catholic News Service.

„Wizyta papieża jest jednoznacznym apelem do wszystkich religii w Iraku, aby powróciły do harmonii społecznej. Jednocześnie jest to też posłanie dla całego świata, że Irak jest gotowy do współistnienia religii i akceptacji różnorodności” – podsumowuje socjolog polityczny Sa-faa Elias.

Jeszcze w styczniu istniały obawy co do przyjazdu papieża. Nie tylko z powodu pandemii, ale także wywołane atakiem bombowym w centrum handlowym Bagdadu, podczas którego zginęły 32 osoby, a ponad sto odniosło rany. Papież jednak wyklucza rezygnację z podróży („o ile nie napłynie nowa wielka fala epidemii”). „Jestem pasterzem ludzi, którzy cierpią” – mówi. „Muszą zobaczyć, że papież jest w ich kraju. Poza tym nie chcę, żeby iraccy chrześcijanie zawiedli się po raz drugi”. Zapowiedział też, że jeżeli nie będzie innego wyjścia, gotów jest na lot do Iraku kursowym samolotem.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

WOJCIECH

Bonowicz:

Ocean i instrument



POEZJA UŚWIADAMIA NAM, ŻE TAK NAPRAWDĘ nie władamy żadnym językiem. Że, owszem, nasze skromne możliwości pozwalają nam na to czy na tamto, na jeden czy drugi błysk, ale to niewiele, zbyt mało, by ogłosić się władcą.

W autobiograficznej opowieści „Osioł Mesjasza” Włodek Goldkorn wspomina, jak zachwycił się wierszami wielkiej Lei Goldberg. „Kiedy hebrajski narodził się po raz drugi, kiedy syjonizm przywrócił go do życia i odnowił jako język męski, mający na celu stworzenie pioniera w Ziemi Izraela, Lea Goldberg uczyniła go językiem żeńskim, mówiła o miłości i pragnieniu”, i „o marzeniach o szczęściu bez złudzeń”. Poetka zakochała się wielokrotnie i, jeśli wierzyć Goldkornowi, zawsze nieszczęśliwie. Jednemu z mężczyzn, dla których pisała miłosne wiersze, zaniósł do szpitala tom Majakowskiego, ale on nawet na nią nie spojrzał. „Gdy wyszła, zdesperowana, zrozpaczona, powiedział pielęgniarce: »Mam dość« i wyzionął ducha”. Straszna scena.

Otóż to właśnie Goldkorn pisze, że Lea Goldberg „władła hebrajskim doskonale”, by zaraz potem z tego stwierdzenia się wycofać, zastrzegając, że słowo „władła” nie pasuje do kogoś, kto w swoim życiu nie panował nad niczym („Osioł Mesjasza” cytuję w przekładzie Joanny Malawskiej). Uwaga jego może mieć jednak sens ogólniejszy, niekoniecznie psychologiczny. Języka nie dostajemy na własność, zostaje nam oddany do użytku, powierzony, udostępniony – a każde z tych określeń sugeruje nie tylko, że transakcja zawarta jest na czas określony, ale że nasza rola

jest podrzędna, epizodyczna, nawet jeśli wydawać się nam może doniosła. Wchodzimy w żywioł mowy jak w wodę, niektórzy z nadzieją, że opanują zarówno sztukę utrzymywania się na powierzchni, jak zstępowania do głębi, a opanowawszy je, będą też potrafili swoim wysiłkom nadać jakiś kierunek. I rzeczywiście, żywioł pozwala nam określić swój styl, ale styl ten nie jest przecież nigdy zupełnie własny; kiedy wypowiadamy słowami naszą miłość, gniew, rozczarowanie czy zachwyt, nieuchronnie poruszamy się w obrębie odziedziczonych możliwości i umiejętności. Język jest pięknym darem właśnie dlatego, że wspólnym, darem dla wszystkich – jak ocean.

Podrzuca on nam zresztą także inne metafory. Jeśli w miejsce „żywiołu” czy „oceanu” podstawimy „instrument”, zobaczymy zupełnie inne obrazy. Wtedy nasza władza może się nam wydać nieco większa. Słowo „instrument” jest bardzo użyteczne, bo odsyła do muzyki, ale i laboratorium. Jako posiadacz instrumentu gram i w ten sposób odpowiadam na „grę” świata. Ale mogę też być badaczem, który usiłuje „grę” świata, reguły tej gry, przeniknąć. Więcej nawet – który potrafi wdrzeć się do jego wnętrza, sprawdzić, co kryje się za „grą”. Instrument pozwala odkrywać i wygrywać: penetrować to, co poza mną, i jednocześnie wyrażać siebie, także – siebie w tym, co mnie otacza. Jak to ostatnio sformułował pewien bliski mi poeta, mowa to „czuły, a może i najczulszy instrument naszego przymierzania ze światem, melodia, która być może najprecyzyjniej opowiada o naszej miłości”.

W chwilach, w których ogarnia nas zwątpienie, powinniśmy szukać miejsc dających życie. Takim miejscem może być poezja. Wiersz nie ma żadnej władzy. I nie jest też wyrazem władzy, co najwyżej bywa owocem nieskromności. Najlepsze wiersze prowadzą do odkrycia, że istnieje coś, co nas przerasta. I że to, co nas przerasta, jest jednocześnie jakoś „nasze”: możemy to sobie wziąć, możemy tego używać, zanurzyć się w tym, zagrać w to, zagrać to jako pieśń, wiedząc, że nigdy nie wygramy, to znaczy nigdy tego nie wyczerpiemy. Wiersz niczego więcej od nas nie chce – i to właśnie jest darem. ©

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl. I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 351/20 toczy się postępowanie z wniosku Banku BPH S.A. w Gdańsku o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Kubiku, zmarłym dnia 26 listopada 2017 roku we Wrocławiu, ostatnio zamieszkałym w Ziębicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 384/20 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Krzysztofa Rychela z udziałem Haliny Tomaszewskiej, Zdzisława Wołowskiego, Józefa Wołowskiego, Grażyny Rychel, Ryszarda Rychela, Jerzego Rychela, Jerzego Spodymka, Zdzisława Rychela o nabycie przez zasiedzenie prawa własności działki ewidencyjnej nr 800 o powierzchni 0,28 ha położonej w Zaleszanach, działki ewidencyjnej nr 1024 o powierzchni 0,08 ha położonej w Zaleszanach, działki ewidencyjnej nr 1140 o powierzchni 0,14 ha położonej w Zaleszanach, dla których nie ma urzędzonej księgi wieczystej, a jako właścicielka w Akcie Własności nr GZ-7421-62-8-80 figuruje Rychel Józefa, c. Jana i Jadwigi.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności następców prawnych Józefy Rychel, aby w terminie 1 miesiąca od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Paweł Bravo, Joanna Mazur-Polańska,
Anna Dziurdzikowska, Bartek Dobroch,
Jacek Ślusarczyk, Edward Augustyn,
Iwona Kuciel, Katarzyna Kubisiowska

Monika Ochędowska, Łukasz Lamża, Marcin Żyła,
Agnieszka Iskra, Marta Filipiuk-Michniewicz,
Artur Strzelecki, ks. Adam Boniecki,
Grzegorz Jankowicz, Edyta Płachta

Tomasz Fiałkowski, Agnieszka Grzywa,
Grażyna Makara, Patryk Stanik,
Zuzanna Radzik, Karolina Przewrocka-Aderet,
ks. Jacek Prusak, Michał Kuźmiński, Maciej Müller



1%

W 2020 r. przekazali nam Państwo rekordowe **309 938,71 zł** w ramach odpisu jednego procenta podatku.

Dziękujemy!

To bardzo ważne wsparcie, które pozwala nam realizować misję naszej Fundacji. Jej filarami są m.in. budowa społeczeństwa obywatelskiego i ochrona wolności słowa oraz wolnych mediów.

Niezależność

jest kluczowym pojęciem towarzyszącym nam w codziennej pracy. Dzięki otrzymanym od Państwa środkom mamy możliwość rozwijania współpracy z instytucjami i ubiegania się o darowizny, dotacje i granty na tworzenie pisma ciekawego, nieoczywistego, suwerennego, wzbogaconego o wydania Specjalne, o dodatki naukowe (jak cykl „Wielkie Pytania”),

kulturalne, historyczne i poświęcone demokracji czy solidarności.

Wdzięczność

wyrażamy za zaufanie, za Państwa ofiarność, a także za potwierdzenie, że „Tygodnik” jako pismo co tydzień goszczące w Państwa domach i jako instytucja kultury zapraszająca Państwa do udziału w wydarzeniach kulturalnych jest potrzebny, bliski, ważny i że spełnia Państwa oczekiwania.

Wyzwanie

Początek roku 2021 postawił przed nami kolejne, nieoczekiwane wyzwania. Redakcja „Tygodnika” po 76 latach musi opuścić swój dotychczasowy adres – Wiślną 12. Od pierwszych dni stycznia trwają poszukiwania nowej siedziby, w którym to procesie bardzo Państwo pomagają.

dzięki Wam!

Ewelina Burda, Michał Okoński, Sylwia Frotow,
Przemysław Wilczyński, Grzegorz Bogdał,
Piotr Sikora, Anna Goc, Wojciech Pięciak,
Wojciech Jagielski, Aleksander Kardys

Kalina Błazejowska, Andrzej Leśniak,
Anna Karolewska, Mateusz Gawron,
Gabriela Rosińska, Marek Rabij,
Anita Piotrowska

Artur Sporniak, Rafał Woś, Anna Pietrzykowska,
Marta Bogucka, Piotr Mucharski, Maciej Szklarczyk,
Maja Kuczińska, Łukasz Kwiatek, Marek Zalejski



Ale przeprowadzka to nie jedyne wyzwanie, jakie stawia przed nami nowy rok. Przede wszystkim będziemy zajmować się tym, co jest podstawową misją Fundacji.

Plany

W nadchodzącym roku jeszcze bardziej chcemy skupić się na ochronie i zabezpieczeniu dziedzictwa „Tygodnika Powszechnego” – poprzez cyfryzację archiwów oraz powstanie nowej strony internetowej. Dzięki nim będą mogli Państwo czerpać ze stale powiększającego się zbioru tekstów, które przez lata ukazały się na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

Czekają nas festiwale – Conrad i Copernicus. Rozwijamy nasz autorski ogólnopolski projekt wspierania czytelnictwa, czyli „Lekcje czytania”.

Podjęliśmy także kolejną produkcję filmową – „Ukos światła” w reż. Wojciecha Szumowskiego.

Misję

realizujemy także przez tematyczne dodatki do naszego pisma, współwydawanie wydań specjalnych „TP”, współprodukcję Podkastu Powszechnego, a także różnych innych multimedialnych form publicystyki.

Najważniejszy

jednak dla nas jest „Tygodnik”, pismo, które dzięki Państwu co roku zwiększa swój zasięg. To Wy – nasi Czytelnicy – dajecie nam niesłabnące wsparcie oraz pokazujecie, że warto. „Tygodnik” jest suwerenny dzięki Wam.

*Zespół Fundacji Tygodnika Powszechnego
oraz „Tygodnika Powszechnego”*

Przeznacz 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

**Wpisz w zeznaniu podatkowym
nr KRS 0000125605**

Więcej informacji:

powszech.net/jedenprocent

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:

**Santander Bank Polska S.A.
31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

Więcej informacji (przelewy w dolarach i euro, IBAN): powszech.net/dar





RURA, KTÓRA DZIELI NIEMCY

Politycy, eksperci, ekologdzy – coraz więcej grup w RFN domaga się wstrzymania budowy gazociągu Nord Stream 2. Aby do tego doszło, zdanie musi zmienić także Angela Merkel.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

NA INAUGURACJĘ GAZOCIĄGU NORD Stream w Lubminie, na niemieckim brzegu Bałtyku, oprócz samej kanclerz Merkel stawili się przywódcy Holandii, Francji i Rosji. Pojawił się także unijny komisarz ds. energii. Na znak dany przez fotografów wszyscy razem,

z uśmiechami na twarzy, chwycili za pokrętło. Wspólnymi siłami symbolicznie rozpoczęli przepływ rosyjskiego gazu bezpośrednio do Niemiec.

Był 8 listopada 2011 r. Budowa gazociągu poszła tak gładko, że główny lobbysta przedsięwzięcia, były kanclerz Ger-

hard Schröder, zaczął wraz z rosyjskimi partnerami planować kontynuację. Bo cóż mogłoby jeszcze bardziej umocnić przyjaźń niemiecko-rosyjską, jeśli nie zwiększenie możliwej przepustowości o kolejne 55 mld metrów sześciennych niebieskiego paliwa?



JENS BUTTNER / DPA / AFP / EAST NEWS

*„Ten rurociąg prowadzi prosto do kryzysu”
– protest przeciwników Nord Stream 2
przed siedzibą rządu landowego
Meklemburgii-Pomorza Przedniego.
Schwerin, 22 stycznia 2021 r.*

zakończyć się w grudniu 2019 r. Ale gdy większość rur leżała już na dnie morza, amerykańska administracja zagroziła nałożeniem sankcji na podmioty biorące udział w przedsięwzięciu. Morska budowa stanęła – choć z 1230 km brakowało tylko ok. 120 km na wodach duńskich i ok. 30 km na obszarze należącym do Niemiec. Przerwa w budowie trwała ponad rok, po czym na początku lutego Rosjanie wznowili prace na wodach duńskich. Wprawdzie następnego dnia musieli je przerwać z powodu złej pogody, ale nie ma wątpliwości, że wkrótce podejmą je na nowo.

Efekt Nawalnego

Tymczasem w niemieckich mediach ukształtował się konsensus co do oceny projektu. „Nord Stream 2 szkodzi politycznie Niemcom. Budowa musi zostać wstrzymana” – napisał wpływowy niemiecki tygodnik „Der Spiegel”. W tym tonie wyraziły się wszystkie kluczowe tytuły.

Dziś media prześcigają się w podawaniu argumentów, które od lat wyrażali przeciwnicy gazociągu, przede wszystkim państwa bałtyckie, Ukraina, USA i Polska. Główna obawa dotyczy bezpieczeństwa Ukrainy. Rosja znana jest z prowadzenia wojen gazowych. Po uruchomieniu kolejnych bezpośrednich połączeń z Niemcami będzie mogła znacznie zmniejszyć lub zaprzestać dostarczania gazu do Unii Europejskiej przez Ukrainę. Po utracie statusu państwa tranzytowego Ukrainie grozi, że pełzająca wojna w Donbasie znów zamieni się, za sprawą Rosji, w konflikt pełnowymiarowy. Także Białoruś, również kraj tranzytowy dla gazu, może być szantażowana, gdyby próbowała wydostać się spod kontroli Kremla.

– Ostra krytyka projektu w niemieckiej debacie publicznej ma na pewno wiele wspólnego z aktualnymi represjami w Rosji oraz ze sprawą skazania Aleksieja Nawalnego – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem” Sarah Pagung, ekspertka ds. relacji niemiecko-rosyjskich z Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej (DGAP) w Berlinie.

Nawalny, rosyjski opozycjonista i główny dziś oponent prezydenta Władimira Putina, został w sierpniu 2020 r. otruty przez agentów rosyjskich służb, po czym trafił na leczenie do Berlina. Walka o życie przysporzyła mu w Niemczech wielkiej popularności. Niedawne skazanie Nawalnego na bezwzględne więzienie, po jego powrocie do Moskwy, również nad Renem uznano za ostateczny dowód autorytarnego charakteru rządów Putina.

To naruszyło jedną z niepisanych zasad niemieckiej racji stanu, która polega na dążeniu do dobrych relacji z Rosją bez względu na okoliczności. – Te relacje trzymały się na silnych więzach gospodarczych i działaniach w obszarze społeczeństwa obywatelskiego. Ale od czasu kryzysu na Ukrainie stają się one coraz gorsze – uważa ekspertka DGAP. Coraz głośniejsze jest pytanie, dlaczego buduje się infrastrukturę energetyczną, która przez dekady będzie zasilać kieszenie Putina i jego wspólników.

„Projekt tylko biznesowy”

Przedstawiciele niemieckiego rządu przez lata powtarzali, że Nord Stream 2 to projekt wyłącznie biznesowy, do którego polityka nie ma prawa się wtrącać. – Nord Stream 2 to projekt polityczny – bez cienia wątpliwości mówi Sarah Pagung. – On ma oczywiście gospodarcze elementy, biorąc pod uwagę zaangażowanie europejskich koncernów. Ale jednocześnie jest to przedsięwzięcie, które ma konsekwencje energetyczne, polityczne i geopolityczne – dodaje.

Jak bardzo polityczny jest ten rurociąg, okazało się w miniony wtorek 9 lutego. Tego dnia organizacja ekologiczna Deutsche Umwelthilfe opublikowała list, który wicekanclerz i minister finansów Olaf Scholz (z SPD) wysłał w sierpniu 2020 r. do swojego odpowiednika w amerykańskiej administracji. Scholz zaproponował w nim miliard euro z państwowej kasy na wsparcie budowy terminali gazu skroplonego (LNG), importowanego z USA. W zamian Stany Zjednoczone miały wycofać się z groźby sankcji wobec podmiotów zaangażowanych w Nord Stream 2, w tym firm niemieckich.

Ujawniona korespondencja wskazuje, jak zdeteminowane są zakulisowe działania niemieckiego rządu, aby dokończyć ten „tylko biznesowy projekt”. Tajna propozycja wicekanclerza zburzyła też inną →

Od inauguracji w Lubminie minęła niemal dekada. Dziś trudno sobie wyobrazić, że jakikolwiek europejski polityk zaryzykowałby udział w otwarciu nowego rurociągu. W minionych latach gaz przestał być w Niemczech pożądanym surowcem, a stosunki Unii Europejskiej z Rosją przypominają okres zimnowojennej rywalizacji. Nie wiadomo, czy w tym świecie jest jeszcze miejsce i wola na dokończenie Nord Stream 2.

Rurociąg buduje spółka Nord Stream 2 AG, kontrolowana przez rosyjski koncern państwowy Gazprom. Prace miały

→ narrację, chętnie stosowaną przez niemiecki rząd. Jego członkowie powtarzali, że jeśli nie powstanie Nord Stream 2, alternatywą będzie sprowadzanie amerykańskiego gazu pozyskiwanego z łupków – w domyśle surowca droższego i z powodu sposobu wydobycia bardziej szkodliwego dla środowiska. Pomysł Scholza polegał w istocie na czerpaniu gazu z obu źródeł.

Surowiec przejściowy

Przed wybuchem pandemii w Niemczech setki tysięcy osób wychodziły regularnie na ulice i domagały się szybszej transformacji ekologicznej. Dla tej grupy gaz nie jest żadnym kompromisem. Jednak wskazywanie, że Niemcy będą potrzebować coraz więcej gazu, bo władze zdecydowały się wyłączyć elektrownie atomowe i węglowe, jest jednym z poważniejszych argumentów za budową Nord Stream 2. Rosyjski gaz ma pełnić funkcję surowca przejściowego, który będzie napędzać gospodarkę do momentu, aż powstanie wystarczająca liczba wiatraków, paneli i innych zielonych źródeł energii.

W ten sposób projektu broniło m.in. niemieckie Ministerstwo Gospodarki, aż do ujawnienia, że ich prognozy opierają się na wyliczeniach przygotowanych przez... Nord Stream 2 AG. – Oczywiście ich prognozy wskazują na rosnące zapotrzebowanie gazu w Europie – tłumaczy Pagung z DGAP. – Tylko że są też inne badania, które wskazują na stagnację lub nawet malejące zapotrzebowanie na gaz na europejskim rynku. To są i tak jedynie prognozy. Wszystko będzie zależało od postępów transformacji energetycznej – ocenia ekspertka.

Maksymalnie utrudniać prace

Organizacje ekologiczne obawiają się, że pod wpływem lobby gazowego niebieskie paliwo zaleje Niemcy i odłoży rozbudowę zielonych źródeł energii na bliżej nieokreśloną przyszłość.

Jedną z takich organizacji, która robi wszystko, by do powstania gazociągu nie doszło, jest Naturschutzbund Deutschland (NABU). Gdy w połowie stycznia Federalny Urząd Morski pozwolił na kontynuowanie budowy gazociągu na niemieckich wodach, ekologowie od razu zgłosili sprzeciw, co spowodowało zatrzymanie prac.

Anne Böhnke-Henrichs z NABU mówi „Tygodnikowi”, w jaki sposób chcą maksymalnie utrudniać prace: – Wymiana

dokumentacji i rozpatrzenie odwołania potrwa kilka tygodni. Jeśli urząd mimo wszystko wyda wyrok zezwalający na dalszą budowę, to jesteśmy przygotowani do natychmiastowego zaskarżenia tej decyzji, co ponownie będzie skutkowało wstrzymaniem budowy – tłumaczy Böhnke-Henrichs. W tej sprawie ekologowie mają na uwadze setki tysięcy ptaków, które zimują w zatoce, gdzie rosyjska spółka chce kłaść rury. Wcześniej Federalny Urząd Morski właśnie z tego powodu sam zezwolił na pracę tylko w okresie od czerwca do końca grudnia, aby następnie nieoczekiwanie zmienić zdanie.

Ludzie z NABU nie ukrywają swoich poglądów na całość niemiecko-rosyjskiego projektu. „Musimy zatrzymać Nord Stream 2 – pisze szef organizacji Jörg-Andreas Krüger. – Gaz nie jest przyjaznym dla klimatu surowcem pomostowym. Jest wręcz odwrotnie. Ze względu na emisję metanu podczas wydobycia, transportu i eksploatacji gaz ziemny, podobnie jak węgiel, działa zabójczo dla klimatu”.

Ekologów dodatkowo rozwścieczyło powołanie Fundacji Ochrony Klimatu przez rząd Meklemburgii-Pomorza Przedniego, czyli landu, do którego na terenie Niemiec dociera gazociąg. Jego premierem jest Manuela Schwesig z SPD. Media twierdzą, że pomysł na powołanie fundacji miał jej podszeptywać Gerhard Schröder. Prawdziwy cel fundacji jest taki, że ma ona odpowiadać za dokończenie Nord Stream 2 na odcinku niemieckim – być prawnym parasolem ochronnym dla niemieckich firm zaangażowanych w projekt, aby nie dotknęły ich sankcje USA (np. fundacja może dzierżawić od nich sprzęt).

W ten sposób Schwesig planowała obejście ewentualnych amerykańskich sankcji. Nord Stream 2 AG miał zasilić konto organizacji sumą 20 mln euro. Ta toporna konstrukcja i wykorzystywanie hasła obrony środowiska, by ratować geopolityczny projekt Kremla, spotkały się jednak ze zmasowaną krytyką. Nawet partyjny kolega Schwesig, minister spraw zagranicznych Heiko Maas, stwierdził, że ten krok to decyzja władz landowych, z którą rząd w Berlinie nie ma nic wspólnego.

Papierek lakmusowy

W sprawie gazociągu coraz bardziej podzielona jest niemiecka scena polityczna.

– Zieloni są zdecydowanie przeciwko. Alternatywa dla Niemiec i Die Linke,

partie prorosyjskie, są zdecydowanie za – mówi Sarah Pagung z DGAP. Sprawa komplikuje się, gdy spojrzeć na stanowisko chadecji. – Politycy, którzy zajmują się polityką zagraniczną, są przeciwko, ale oboz zajmujący się gospodarką jest za dokończeniem budowy – tłumaczy Pagung. – Z kolei SPD w większości jest za budową, ale w ostatnim czasie i tam powiększa się grupa jej przeciwników.

Zamieszanie wokół projektu nabiera czasem komicznego charakteru. Bo gdy np. kanclerz Merkel i szef resortu gospodarki Peter Altmaier, oboje z CDU, bronią budowy Nord Stream 2, w tym samym czasie w Parlamencie Europejskim niemal wszyscy europosłowie tej samej partii głosują za rezolucją w sprawie Nawalnego, która m.in. „wzywa Unię i jej państwa członkowskie do krytycznego przeglądu współpracy z Rosją na różnych platformach polityki zagranicznej oraz w ramach projektów takich jak Nord Stream 2, których ukończenia Unia musi natychmiast zaprzestać”.

Również w Berlinie są wśród chadeczków takie głosy: Norbert Röttgen, szef komisji spraw zagranicznych Bundestagu, zaapelował do rządu, by objąć projekt moratorium. „Rząd federalny musi przynajmniej dostrzec, że ten projekt dzieli, w Europie nie tylko ze względu na Polskę i kraje bałtyckie, ale też Francję, i w stosunkach transatlantyckich, a my nic z tego nie mamy, gdyż cały projekt nie ma nic wspólnego z naszymi dostawami energii” – przekonywał w radiu.

– Stanowisko rządu pokazuje brak zdecydowania niemieckiej polityki zagranicznej – uważa Sarah Pagung. – Z jednej strony Berlin nakłada sankcje i potępia działania Rosji, ale z drugiej naciska na dalszą budowę Nord Stream 2.

Ekspertka DGAP uważa, że sprawa jest papierkiem lakmusowym niemieckiej zdolności do działania i skuteczności w obszarze polityki zagranicznej.

Zadecyduje Biden?

Nie wiadomo, czy Olaf Scholz po wysłaniu swojej miliardowej oferty doczekał się pisemnej odpowiedzi z Waszyngtonu. Ale faktem jest, że administracja prezydenta Donalda Trumpa zdążyła przed zmianą w Białym Domu nałożyć nowe restrykcje, czyniące współudział przy budowie gazociągu jeszcze bardziej ryzykownym.

Sprzeciw wobec Nord Stream 2 jest w Stanach sprawą ponadpartijną. Również nowy prezydent Joe Biden i członkowie jego administracji uznali projekt za „zły deal” dla Europy. Z drugiej strony w pierwszej połowie lutego do niemieckich mediów trafił przeciek, jakoby administracja Bidena miała być otwarta na negocjacje. Choć propozycja rozmów może być też zmyślną pułapką. Z nieoficjalnych informacji wynika bowiem, że Waszyngton chce, aby Berlin zaproponował mechanizm pozwalający na zatrzymanie tranzytu gazu po dnie Bałtyku, gdyby Rosja odcięła dostawy gazu Ukrainie. Trudno sobie wyobrazić podmioty prywatne, które zdecydowałyby się na zakup surowca ze źródła tak bardzo uzależnionego od geopolitycznych uwarunkowań.

– Zbliżające się miesiące będą trudne dla Nord Stream 2, ale nie mogę wykluczyć, że w końcu projekt uda się zrealizować – podsumowuje Sarah Pagung. Jej zdaniem klucz do przełamania pata leży w rozmowach Berlina z Waszyngtonem. – Ale czasu na porozumienie jest coraz mniej – zaznacza.

Czekając na wybory

Groźba amerykańskich sankcji, determinacja organizacji ekologicznych, a także złe warunki atmosferyczne: wszystkie te czynniki powodują, że spada szansa na dokończenie budowy rurociągu do września, kiedy w Niemczech odbędą się wybory do Bundestagu. Wtedy do rozmów koalicyjnych z chadecją może usiąść Partia Zielonych, której liderzy są najgłośniejszymi krytykami tego projektu na niemieckiej scenie politycznej.

Zresztą nawet jeśli Rosjanie dokończą budowę na własną rękę, będzie to początek kolejnych problemów. Obecnie żadna zachodnia firma nie podejmie się certyfikacji i ubezpieczenia projektu ani usług związanych z jego eksploatacją. Rura pozostanie balastem stale obciążającym wizerunek Niemiec i niemiecką politykę w Europie.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



EUGENY MALOLETKA / GETTY IMAGES

Największe protesty przetaczały się przez Białoruś latem i jesienią. Mińsk, 17 sierpnia 2020 r.

Pół roku na ulicach

WOJCIECH KONOŃCZUK

W sierpniu 2020 r. na Białorusi zaczęły się największe w Europie protesty społeczne. Odpowiedzią są równie bezprecedensowe pod względem skali represje.

TRUDNO PRZYPUSZCZAĆ, ŻE TEN PROCES tylko przypadkiem zaczął się dokładnie pół roku po tym, jak Alaksandr Łukaszienka sfałszował wybory prezydenckie. Przed sądem w Mińsku stanęły w minionym tygodniu dwie dziennikarki nadające z Warszawy białoruskojęzycznej telewizji Bielsat: 27-letnia Kaciaryna Andrejewa i 23-letnia Daria Czulcowa. Są oskarżone o „organizację działań poważnie naruszających porządek społeczny”, za co grozi do trzech lat więzienia. Dwie drobne kobiety spędziły kilka godzin na sali sądowej zamknięte w stalowej klatce, jak gdyby były groźnymi kryminalistkami. Tak wygląda praktyka białoruskiego „wymiaru sprawiedliwości”.

Obie przebywają w areszcie już od połowy listopada 2020 r. – zostały zatrzymane w trakcie relacjonowania demonstracji upamiętniającej aktywistę Ramana Bandarenkę, kilka dni wcześniej zakatowanego na śmierć. Milicja rozpedziła demonstrantów, przy okazji zgarniając dziennikarki, które reżim od dawna miał na oku. Zbyt dobrze szło

im relacjonowanie kilkumiesięcznych protestów. Wszystko wskazuje na to, że postanowiono wytoczyć im pokazowy proces, a następnie – ku przestrodze innych dziennikarzy – przykładowo ukarać [o sprawie dziennikarek patrz „TP” nr 6/2021 – red.].

Kontrofensywa

Wydarzenia odbywające się w ostatnich tygodniach na salach sądowych i w aresztach są odzwierciedleniem sytuacji, w jakiej znaleźli się Białorusini. Późną jesienią, gdy pogorszyły się warunki pogodowe, trwające od sierpnia masowe demonstracje antyreżimowe zaczęły stopniowo wygasać. W zimowe dni na ulice w weekendy wychodzi po kilkaset najbardziej zdeterminowanych osób, w porównaniu do kilkuset tysięcy latem i wczesną jesienią. Reżim postanowił więc przystąpić do kontrofensywy: kontrolowane przez władze sądy zaczęły wydawać drakońskie wyroki na uczestników protestów.

Przytoczmy tylko kilka przykładów z ostatniego miesiąca. Witold Aszurok, →

→ aktywista z Lidy, został skazany na pięć lat więzienia za „naruszenie porządku publicznego”. Władimir Niaronski, blogger ze Słucka, otrzymał trzyletni wyrok. Programista z Mińska Arciom Sauczuk trafił na cztery lata do kolonii karnej o zastrzonym rygorze. Od listopada wyroki skazujące usłyszało łącznie ponad 100 osób spośród ponad 900, które oskarżono z jednego z paragrafów kodeksu karnego. Jak dotąd 228 osób zostało uznanych za więźniów politycznych. Jest to bilans cząstkowy, gdyż wiele procesów trwa lub dopiero się rozpocznie.

Dodajmy do tych liczb dwie inne. Od 9 sierpnia 2020 r. zamordowano ośmiu uczestników demonstracji, a ponad 30 tys. Białorusinów zostało zatrzymanych na okres od kilku godzin do kilkunastu i więcej dni. Wychodzi więc, że w ciągu ostatniego półroczia jeden na 250 dorosłych mieszkańców Białorusi spędził krótszy lub dłuższy czas w areszcie. Wielu zaznało tortur.

Zastraszanie

Polityka reżimu Łukaszenki nie pozostawia wątpliwości. Po bezceremonialnym fałszerstwie wyborczym zdelegitymizowany przywódca uznał, że jedyną możliwością utrzymania władzy jest zdecydowane uderzenie w zbuntowane społeczeństwo. Zatrzymania na wielką skalę, pokazowe procesy, relegowanie studentów z uczelni, zwalnianie protestujących robotników, emigracja tysięcy osób, prześladowanie niezależnych mediów (od sierpnia dziennikarzy zatrzymywano 480 razy), zamknięta *de facto* granica, bezprawne wchodzenie do mieszkań milicji, która zdejmuje z balkonów biało-czerwono-białe flagi... Niepodległa Białoruś nigdy wcześniej nie zaznała takiej skali represji.

Wielkim problemem dla reżimu stały się sieci społecznościowe: nie można ich kontrolować, a to one odegrały kluczową rolę w trakcie protestów. Koszmar dla każdej dyktatury. I w tym przypadku reżim próbuje robić to, co umie najlepiej: stosuje siłę.

Niedawno niezależny portal Nawiny opisał przypadek Iriny Suryginy z Bobrujska, który pokazuje, jak władze walczą z „działalnością antypaństwową” na forach internetowych. Otóż w końcu stycznia, wczesnym rankiem, do jej mieszkania zaczęli dobijać się milicjanci. Po wtargnięciu oznajmili, że prowadzą śledztwo



Kaciaryna Andrejewa (z prawej) i Daria Czulcowa w klatce dla kryminalistów na sali sądowej. Mińsk, 9 lutego 2021 r.

w sprawie opublikowania w jednym z kanałów na komunikatorze Telegram prywatnych danych dwóch mundurowych.

Mieszkanie Suryginy przeszukano, zarekwirowano biało-czerwono-białe wstążki, a następnie – nie zważając na trójkę nieletnich dzieci – zabrano ją na posterunek. Stamtąd trafiła na trzy dni do aresztu, gdzie dopiero po 24 godzinach otrzymała pierwszy posiłek. Powodem zatrzymania było znalezienie zdjęcia, na którym stoi z historyczną flagą Białorusi. Na koniec kobieta została skazana na karę pieniężną w wysokości 20 minimalnych pensji.

Przypadek ten pokazuje, że „wymiar sprawiedliwości” często działa na oślep, naruszane są podstawowe prawa zatrzymanych, a wydawane wyroki nie mają nic wspólnego z elementarną praworządnością. Opisów podobnych sytuacji w białoruskich niezależnych mediach i sieciach społecznościowych można znaleźć mnóstwo.

Filary władzy

Aby zrozumieć, dlaczego reżim odwołuje się już wyłącznie do przemocy, trzeba pamiętać, że praktycznie nie pozostały mu inne instrumenty wpływu na społeczeństwo. W gospodarce trwa stagnacja, pogłębiająca przez epidemię. Subsydia rosyjskie są zbyt skąpe, aby stały się impulsem wzrostu. Na większe kredyty zagraniczne Mińsk nie ma co liczyć. Nie ma zatem skąd wziąć środków na zwiększenie wydatków na programy socjalne. Również wzrost agresywności propagandy w telewizji państwowej nie przynosi skutku, bo istotna część Białorusinów informację pozyskuje z internetu i sieci społecznościowych.

W tej sytuacji jedyne, co mógł zrobić reżim, to – tradycyjnie – oprzeć się na strukturach siłowych. Mundurowi, w tym ci z „pierwszej linii frontu”, czyli członkowie OMON-u, zahartowani już w pacyfikacjach demonstracji, dostali solidne podwyżki. Na miejsce tych funkcjonariuszy, którzy nie wytrzymali napięcia i postanowili poszukać uczciwego zajęcia, przyszli inni. O równie dobrze płatną pracę nie jest łatwo na Białorusi.

Łukaszenka chyba wciąż jeszcze nie zrozumiał, że niezależnie od tego, co zrobi, nie ma szans na odzyskanie poparcia społecznego. Zachowuje się tak, jakby uważał, że opozycjonistów można spacyfikować, pozostałych niepokornych zastraszyć, a reszta obywateli nie będzie miała wystarczająco dużo odwagi, by walczyć o swoje prawa. Dyktator nie zrozumiał jednak najważniejszego: że pomimo represji społeczeństwo gwałtownie się zmienia.

Białorusini chcą zmian

Ogromna energia, z jaką po 9 sierpnia wybuchły protesty, była niespodzianką dla wszystkich – nie tylko dla władz, lecz także dla samych Białorusinów. Na ten wybuch złożyło się wiele przyczyn: ignorowanie przez władze epidemii, spadek poziomu życia, dojrzewanie nowego pokolenia, które ma już inne wartości, nowe media i wreszcie powszechne – jak się okazuje – przekonanie, że kraj wymaga zmian, a urzędujący od ponad ćwierćwiecza człowiek i stworzony przezeń system nie są w stanie ich zapewnić.

W rezultacie tych procesów większość Białorusinów postanowiła zgłasować nie na coraz bardziej anachronicznego Łukaszenkę, ale nieznaną trzy miesiące

wcześniej Swiatłanę Cichanouską, która do wyborów stanęła w zastępstwie aresztowanego męża. Swoje zrobiła także seria błędów popełnionych przez reżim, poczynając od ponad 80 proc. głosów, które rzekomo zdobył Łukaszenka – w co niemal nikt nie uwierzył – a na masowej przemocy wobec protestujących w pierwszych dniach po wyborach kończąc.

Ujawnione pół roku temu wielkie społeczne pragnienie zmian zachwiało reżimem, ale nie spowodowało jego upadku. Pomogły mu dwa filary: poza wspomnianymi strukturami siłowymi, które zachowały lojalność, kluczowe było wsparcie Rosji. W masowej aktywności obywatelskiej Białorusinów Kreml dostrzegł zagrożenie dla siebie i z obawy przed „demokratycznym wirusem” musiał ratować chwiejącego się Łukaszenkę.

Solidarność dyktatorów

Oba reżimy, w Moskwie oraz w Mińsku, są zgodne, że to nie społeczeństwo powinno decydować o zmianie władzy.

Początkowo pomoc rosyjska została uzależniona od reformy konstytucyjnej. Sam Łukaszenka też zapowiedział zmiany polityczne, ale szybko okazało się, że na zapowiedziach się skończy. Nie jest to zresztą zaskoczenie: człowiek uzależniony od władzy z własnej woli jej nie odda. A przy tym Łukaszence sprzyjał los. Sprawa Aleksieja Nawalnego i wybuch protestów społecznych w Rosji sprawiły, że Kreml – zajęty własnymi problemami

– zrezygnował z przymuszania go do reform. Przeważała swoista solidarność dyktatorów zagrożonych ruchami społecznymi.

W narracji Łukaszenki hasło reformy konstytucyjnej pojawiało się coraz rzadziej. A zwołane Ogólnobiałoruskie Zgromadzenie Ludowe, które początkowo miało wytyczyć kierunki zmian politycznych w kraju, nie jest niczym innym niż przygotowaną przez reżim dekoracją bez jakiegokolwiek autonomii. Dyktator wierzył, że mimo wszystkich przeciwności jest w stanie utrzymać władzę.

Czy to koniec protestów?

Najkrótsza odpowiedź na to pytanie brzmi: nie. Zbyt wiele zmian zaszło i wciąż zachodzi w społeczeństwie. Co prawda Białorusinom jak dotychczas nie udało się wymusić realnych zmian, reżim okazał się zbyt silny. Wydarzenia z ostatnich miesięcy zbudowały jednak podmiotowość obywateli, stały się szkołą demokracji, stworzyły wielki i trwały mit jednoczący społeczeństwo. A biało-czerwono-biała flaga ostatecznie została utwierdzona jako narodowy symbol.

Wreszcie, jak pokazały badania socjologiczne przeprowadzone niedawno na zamówienie Ośrodka Studiów Wschodnich, aż 42 proc. Białorusinów uważa dziś Rosję za główne zagrożenie dla integralności terytorialnej ich państwa, co jest poziomem bezprecedensowo wysokim.

Z kolei 40 proc. jest zdania, że Białoruś powinna odwoływać się przede wszystkim do dziedzictwa historycznego związanego z Wielkim Księstwem Litewskim, a nie ze Związkiem Sowieckim (tę opcję wybrało 28 proc.). To kolejne dowody, że białoruskie społeczeństwo przeżywa proces szybkich zmian, których reżim nie będzie w stanie odwrócić.

Choć zimą protesty na ulicach niemal wygasły, to nastroje antyreżimowe są wciąż rozpowszechnione. Także dlatego, że represje nie tylko tworzą atmosferę strachu, lecz utwierdzają w wielu ludziach przekonanie, iż reżim Łukaszenki jest nie do zaakceptowania. Wskazują na to wystające zza prętów sądowej klatki, złożone w kształt liter V, palce Kacjaryny Andrejewej z Bielsatu. Potwierdza to determinacja Iryny Suryginy z Bobrujska, która z dumą chodzi z popularnym znaczkiem: ośmioramienną gwiazdą z napisem „23.34” (to oznacza, że – jak wielu jej rodaków – została skazana z artykułu dotyczącego „naruszenia porządku publicznego”). Wreszcie, potwierdzają to niesłabnące dyskusje w sieciach społecznościowych, które pozostają oazą wolności w dyktatorskim państwie.

Na razie obie strony przygotowują się do wiosny. Nie ma wątpliwości, że ruch protestu nie będzie miał łatwego zadania i że czeka go długa droga. Białorusini udowodnili już jednak, że nie należy ich nie doceniać.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Kościół wobec protestów

NA BIAŁORUSI zdecydowanie dominują wyznawcy prawosławia, ale zarazem silny jest Kościół katolicki (ok. 1,5 mln wiernych), mający struktury w całym kraju. Cerkiew tradycyjnie bliska jest władzy i nie było zaskoczeniem, że po wyborach jej zwierzchnik metropolita Paweł szybko pogratulował Łukaszence. Gdy jednak okazało się, że reżim próbuje zdławić protesty siłą, Paweł zmienił stanowisko, wzywając do dialogu i krytykując użycie przemocy. Reakcje innych hierarchów prawosławnych

były podzielone, ale większość okazała się lojalna wobec władz. Podobnych dylematów nie miał białoruski Kościół katolicki, który jednoznacznie skrytykował represje, a jego zwierzchnik abp Tadeusz Kondrusiewicz pojechał pod mury okrytego złą sławą mińskiego aresztu na Akreścina, aby modlić się w intencji uwolnienia zatrzymanych. Postawa obu hierarchów, metropolity Pawła i abp. Kondrusiewicza, wywołała podziwiane niezadowolone władz. Już dwa tygodnie po wyborach

synod Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, której podlega Cerkiew białoruska, zdjął Pawła z urzędu (został mianowany metropolitą Kubania). Jego następcą został biskup Benjamin, uznawany za hierarchę w pełni lojalnego wobec władz. Stało się jasne, że za tę zmianę odpowiadają władze w Mińsku. Reżim nie zamierzał również darować abp. Kondrusiewiczowi. 31 sierpnia, gdy wracał z krótkiego wyjazdu do Polski, białoruscy pogranicznicy bez podania przyczyny odmówili mu wjazdu na Białoruś. Decyzja była bezprawna, bo duchowny urodził się w tym kraju i jest jego obywatelem. Łukaszenka

oskarżył go o bycie „agentem polskim”. Konflikt wokół abp. Kondrusiewicza udało się rozwiązać dzięki mediacji Watykanu dopiero 24 grudnia, gdy władze pozwoliły mu wrócić do ojczyzny. Ceną było jednak złożenie dymisji i zmiana na stanowisku zwierzchnika białoruskiego Kościoła. Nowym został bp Kazimierz Wielikosielec, który zamierza kontynuować linię poprzednika. Nieugięta postawa Kościoła katolickiego wpłynęła na wzrost jego autorytetu w społeczeństwie: aż 42 proc. Białorusinów deklaruje do niego zaufanie – to trzykrotnie więcej, niż ma on w tym kraju wyznawców. © WK

Gra polityczna

MARTA ZDZIEBORSKA

To niemal pewne, że Donald Trump uniknie skazania za podżeganie do rebelii. Procedura jego impeachmentu kolejny raz stanie się tylko narzędziem partyjnej walki.

WTOREK, 9 LUTEGO, SALA OBRAD AMERYkańskiego Senatu. Rozprawa, wszczęta w ramach procedury impeachmentu, rozpoczyna się od 13-minutowej prezentacji. Politycy oglądają nagrania ze szturmu na Kapitol i słuchają fragmentów wypowiedzi z wiecu Donalda Trumpa. Jeszcze jako prezydent kwestionował w dniu zamieszek zwycięstwo Joea Bidena w wyborach i podgrzewał emocje wśród swoich zwolenników. „Zapobiegniemy tej kradzieży. Dotrzemy na Kapitol i dodamy animuszu słabym republikańskim senatorom, którzy wciąż mogą uratować nasz kraj. Jeśli nie będziecie walczyć z całych sił, wasz kraj zniknie” – krzyczał do tłumu 6 stycznia.

Telefony do bliskich

O tym, jak bardzo sympatycy Trumpa wzięli sobie te słowa do serca, przekonali się politycy. Kongresmeni Partii Demokratycznej Jamie Raskin z Maryland wspominał podczas procesu, jak rozszczęzony tłum walił w drzwi do sali obrad. „To był najbardziej niepokojący dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem. Widziałem, jak inni politycy dzwonili do swoich bliskich, żeby się pożegnać. Niektórzy zdejmowali przypinki, mając nadzieję, że w ten sposób nie zostaną zidentyfikowani przez napastników podczas ucieczki” – mówił Raskin, który w dniu szturmu na Kapitol – podobnie jak pozostali członkowie Kongresu – uczestniczył w sesji zatwierdzającej wynik wyborów. Później stanął na czele dziewięcioosobowej grupy kongresmenów pełniących podczas impeachmentu funkcję oskarżycieli. Jeśli strony procesu nie powołają świadków, werdykt w sprawie Trumpa może zapaść, jeszcze zanim ten numer „Tygodnika” trafi do sprzedaży.

Oskarżyciele przedstawiali argumenty przeciwko byłemu prezydentowi w minioną środę i czwartek. Ich strategia opie-

rała się na nagraniach ze szturmu na Kapitol. Starali się dowieść, że zamieszki są efektem nie tylko płomiennego wystąpienia Trumpa, ale także wysuwanych przez niego bezpodstawnych zarzutów fałszerstw wyborczych. „Sympatycy Trumpa byli gotowi zrobić wszystko, co ich w mocy, by utrzymać go przy władzy. Jedyne, czego potrzebowali, to usłyszeć od niego słowa: walczyć z całych sił. (...) Donald Trump przygotował beczkę z prochem, zapalił zapałkę i wyciągnął korzyści z chaosu, jaki się potem rozpełnął” – argumentowali oskarżyciele w dokumencie upublicznionym przed procesem.

Obroncy Trumpa twierdzą jednak, że jego wystąpienia chronione są przez pierwszą poprawkę do konstytucji, gwarantującą wolność słowa, przemówienie z 6 stycznia było zaś „metaforyczne” i prezydent nie zachęcał do przemocy. Osią obrony jest też podważanie prawa Senatu do sądenia prezydenta po zakończeniu jego kadencji. Zdaniem wielu konstytucjonalistów taki proces jest dopuszczalny, jednak brak precedensu daje obrońcom dodatkowy punkt zaczepienia.

Spektakl bez świadków

Prawnicy Trumpa nazywają impeachment „politycznym teatrem”, choć sami zrobili w Senacie widowisko. David Schoen pokazał prezentację złożoną z wypowiedzi Demokratów, którzy wzywali do wszczęcia wobec Trumpa impeachmentu. Całość ilustrowała muzyka przypominająca ścieżkę dźwiękową horroru. Schoen straszył senatorów, że impeachment pogłębi podziały w Ameryce i doprowadzi do chaosu na miarę wojny secesyjnej. Strategię obrony Schoena i drugiego prawnika – Bruce’a Castora – skrytykowali nawet republikańscy senatorowie. Oba obrońców Trump zatrudnił na kilka dni przed procesem, po tym, jak wkruszyła się inna grupa prawników.



W trakcie rozprawy w Senacie pojawiła się też krytyka pod adresem oskarżycieli z Partii Demokratycznej. Niektórzy, jak felietonista serwisu „Politico” Renato Mariotti, wytykają im, że nie powołują świadków. Jego zdaniem dopiero zeznania osób z otoczenia byłego prezydenta mogą rzucić dodatkowe światło na wydarzenia z 6 stycznia, a kontynuowanie impeachmentu bez powołania świadków doprowadzi do uniewinnienia Trumpa. A ten już raz uniknął skazania – rok temu oczyszczono go z zarzutów podczas pierwszej procedury impeachmentu (był oskarżony o nadużycie władzy i utrudnianie śledztwa Kongresu w związku z rozmową telefoniczną z ukraińskim prezydentem Wołodymyrem Zełenskim). Za skazaniem Trumpa opowiedział się wtedy tylko jeden Republikańsin – Mitt Romney z Utah.

Polityczne samobójstwo

Podczas drugiej procedury impeachmentu odważnych republikańskich senatorów zapewne będzie więcej. Jednak trudno zakładać, że 50 Demokratów przeciągnie na swoją stronę aż 17 Republikańsinów (tytuł potrzeba do skazania Trumpa). Próba nastrojów w Partii Republikańskiej



LEV RADIN / GETTY IMAGES

Demonstranci próbują dostać się do Kapitolu i zablokować procedurę ogłoszenia wyników wyborów prezydenckich. Waszyngton, 6 stycznia 2021 r.

był już pierwszy dzień procesu. Aż 44 senatorów zagłosowało wówczas za przerwaniem postępowania, przychylając się do argumentacji obrońców, że sądenie byłego prezydenta przez Senat jest niezgodne z konstytucją. Z dyscypliny partyjnej wyłamało się tylko sześciu Republikanów: m.in. niezawodny Mitt Romney, Lisa Murkowski z Alaski i Bill Cassidy z Luizjany. Ten ostatni zaskoczył kolegów, bo jeszcze kilka dni wcześniej przekonywał w telewizji NBC, że impeachment „ma charakter pokazowy”.

Sprzeczne sygnały wysyła też lider Republikanów w Senacie Mitch McConnell. Choć jeszcze kilka tygodni wcześniej sam oskarżał Trumpa o podżeganie do szturmu na Kapitol, 9 lutego uznał procedurę impeachmentu za „niekonstytucyjną”. Senator najwyraźniej stwierdził, że zadzieranie z elektoratem byłoby dla partii szkodliwe. Jak wynika z sondażu AP-NORC, aż 71 proc. Republikanów sądzi, że były prezydent nie ponosi odpowiedzialności za szturm na Kapitol. Tylko 19 proc. uważa, że polityk powinien zostać skazany za podżeganie do zamieszek. Według badania CBS News/YouGov zrealizowanego w pierwszym dniu procesu 7 na 10 Republikanów

uważa, że głosowanie „na niekorzyść” Trumpa jest wyrazem braku lojalności wobec partii.

Sporo pokazała już krytyka 10 republikkańskich członków Izby Reprezentantów, którzy 13 stycznia zagłosowali za postawieniem Trumpa w stan oskarżenia. Wielu dostało partyjną naganę i do czekało się grona potencjalnych rywali w walce o reelekcję. Taką zemstę na Liz Cheney – trzeciej najważniejszej Republikance w Izbie Reprezentantów – zapowiedział syn byłego prezydenta Donald Trump Jr.

Wyborcy z przedmieść

Nie bacząc na konsekwencje, Liz Cheney i m.in. kongresmeni z Illinois Adam Kinzinger apelują do kolegów, by podczas impeachmentu nie kierowali się polityczną kalkulacją. W artykule w „The Washington Post” Kinzinger chciał uznać Trumpa winnym: „Jeśli Partia Republikańska nie zajmie w tej sprawie stanowiska, chaos towarzyszący ostatnim miesiącom, a właściwie czterem ostatnim latom, może szybko powrócić. Przyszłość naszej partii i naszego kraju zależy od tego, czy zmierzymy się z tym, co się wydarzyło”.

Niektórzy republikańscy senatorowie zdają się tym nie przejmować. Senator z Wisconsin Ron Johnson insynuował w prawicowej telewizji Fox News, że winę za szturm na Kapitol ponosi liderka Demokratów w Izbie Reprezentantów Nancy Pelosi. „Czy to nie jest próba odwrócenia uwagi od tego, co Pelosi mogła wiedzieć na temat ataku na Kapitol?” – spekulował.

Być może działania takich senatorów jak Johnson najlepiej tłumaczą słowa Michaela Steele’a, byłego szefa Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej: „Większość z nich jest słaba i boi się utraty miejsca w Senacie. Ameryka dla nich się nie liczy” – przekonywał w wywiadzie dla „Guardiana”.

Demokraci też mogą mieć przedwyborczą motywację. Zdaniem Wendy Schiller, politolożki z Brown University w stanie Rhode Island, politykom chodzi o utrzymanie kontroli nad Senatem, a o tym zadecydują wybory w 2022 r. „Głównymi adresatami procesu impeachmentu są mieszkańcy przedmieść, którzy odwrócili się od Trumpa podczas listopadowych wyborów prezydenckich (...) – twierdzi Schiller w rozmowie z „Guardianem”. – Jeśli Demokraci przekonają wyborców, że republikańscy senatorowie ślepo wspierają Trumpa, być może zdołają odbić ich miejsca w Senacie i dzięki temu utrzymają większość w tej izbie”.

W dyskusji wokół impeachmentu nie brakuje też głosów, że skorzystać na tym procesie może sam Donald Trump. Nie dość, że oczyszczony z zarzutów polityk będzie miał otwartą drogę do startu w wyborach w 2024 r., to jeszcze będzie mógł mówić o kolejnym wszczętym przez Demokratów „polowaniu na czarownicę”. Na to przygotowały się już władze Twittera – w drugim dniu procesu ogłosiły, że Republikanin stracił na zawsze prawo do prowadzenia konta w tym serwisie. Platforma nie robi dla niego wyjątku, nawet jeśli znów zostałby prezydentem. Za Trumpa wzięła się też prokuratura w Georgii – ogłoszono właśnie wszczęcie śledztwa w sprawie jego powyborczych nacisków na sekretarza stanu Brada Rafenspergera (chodziło o „znalezienie” głosów potrzebnych do uzyskania w tym stanie przewagi nad Bidenem). Jeśli były prezydent odpowie za swoje działania, to raczej nie na Kapitolu, ale w zwykłym sądzie. ©

Koreański kłopot Bidena

ROMAN HUSARSKI

Korea Północna była oczkiem w głowie Donalda Trumpa. Jak bardzo zmieni się polityka wobec Półwyspu pod rządami nowego prezydenta USA?

ZGODNIE ZE SWOIM TEMPERAMENTEM Trump postrzegał własną strategię wobec Kim Dzong Una, dyktatora Korei Północnej, za przełomową i zasługującą na Nobla. Zanim nie został usunięty z Twittera, za jego pośrednictwem często żądał swego wyborczego rywala kwestią Korei. Był pewny, że Biden przekreśli jego wysiłki na rzecz pokoju na Półwyspie.

Nie ma wątpliwości, że nowy prezydent nie będzie kontynuować „strategii szaleńca”, jak niektórzy analitycy opisywali działania Trumpa. Czym jednak miałby być ten „przełom”, którym tak chętnie chwalił się Trump?

Gdy w 2016 r. objął urząd, okazało się, że chyba żaden z jego poprzedników nie używał tak ostrego języka wobec Korei Północnej: padały groźby o ogniu i furii oraz porównania możliwości nuklearnych obu stron. W 2018 r. wojenna retoryka nagle prysła, a Trump zasiadł z Kimem do negocjacji. Dyskurs do tego stopnia uległ odwróceniu, że między szczytami koreańskimi (doszło w sumie do trzech) Trump opowiadał o poruszających listach, jakie otrzymywał od Najwyższego Przywódcy; dodawał wręcz, że obaj są w sobie zakochani.

Były dziś już prezydent twierdził, że to jego nieustępliwa polityka zmusiła Kima do podjęcia negocjacji. Jednak wielu analityków w to wątpi. O rozmowie z prezydentem największego mocarstwa świata marzyli już dziadek i ojciec obecnego przywódcy KRLD. Ten pierwszy, Kim Ir Sen, założyciel komunistycznej Korei, zabiegał o to jeszcze w latach 70. XX w., angażu-

jąc jako pośredników prezydenta Gabonu, Broza-Titę i Ceaușescu. Odpowiedź była zawsze taka sama: szczyt jest możliwy wyłącznie przy udziale Korei Południowej. Kolejne sugestie pojawiały się w następnych latach, ale Stany nie były zainteresowane. Powodem było przekonanie, że taki szczyt wzmocniłby tylko dyktatora, a ocieplenie relacji byłoby chwilowe.

Jenny Town z portalu analitycznego 38 North uważa, że wojenny ton Trumpa był skrajnie ryzykowny: istniało niebezpieczeństwo eskalacji. Trump gasił więc pożar, który sam rozdmuchał. Szczyty stanowiły *show*, z którego realnie niewiele wynikało. Trump mógł się chwalić historycznym momentem, ale obietnice denuklearyzacji Półwyspu okazały się puste. Kim triumfował, gdyż spotkania spektakularnie umacniały jego pozycję w kraju i w świecie.

Jak można się było spodziewać, serdeczna przyjaźń nie przetrwała próby czasu. Trump kończył kadencję przy równie wrogiej narracji Pjongjangu, co w momencie objęcia władzy.

Strategiczna cierpliwość

Nowa administracja USA z pewnością będzie chciała uniknąć takich politycznych pokazów lub, jak wolą krytycy, nieobliczalności poprzednika.

To dobry znak dla tradycyjnych sojuszników USA. W Seulu peany wygłaszane przez Trumpa na cześć Kima przyjmowano z mieszanymi uczuciami. Groźby o 400-krotnym podwyższeniu kosztów militarnej obecności USA w Korei Południowej tylko wzmocniły tam ruch antyamerykański. Także Japonia obserwowała poczynania Trumpa z niepokojem, zwłaszcza że była wykluczona z rozmów. W Kraju Kwitnącej Wiśni obawiano się (słusznie), że zbliżenie obu Korei poskutkuje kolejną falą antagonizmów między Tokio a Seulem. Biden już podkreślił, że odnowienie dobrej relacji z Japończykami będzie priorytetem.

Nowy prezydent ma z Koreą Południową więzi szczególne. Muzeum Kim Dae-junga w Seulu właśnie upubliczniło listy, jakie Biden wymieniał w latach 80. XX w. z tym słynnym południowokoreańskim opozycjonistą i przyszłym laureatem Pokojowej Nagrody Nobla, a także przyszłym prezydentem w Seulu.

Administracja Obamy, w której Biden był wiceprezydentem (2008-16), początkowo była nastawiona na dialog z Kim

Dzong Unem. W 2012 r. została podpisana ugoda, według której Pjongjang zobowiązał się zamknąć atomowy kompleks badawczy w Yongbyon i zakończyć próby nuklearne; w zamian KRLD miała otrzymać wsparcie energetyczne. Mimo ostrzeżeń Waszyngtonu, już miesiąc później Kim wystrzelił satelitę – przekreśliło to dalsze negocjacje. Nową strategię USA nazwano „strategiczną cierpliwością”. Pjongjang otrzymał ultimatum, że dopóki nie zrezygnuje z programu broni nuklearnej, wdrażane będą kolejne sankcje. Relacje stały się otwarcie wrogie.

Na to, że dziś szykuje się kontynuacja tamtej polityki, wskazuje skład personalny otoczenia nowego prezydenta. Jednym z twórców koncepcji „strategicznej cierpliwości” był Antony Blinken, dziś sekretarz stanu, a czołową doradczynią do spraw Korei za Obamy była Avril Haines, dziś dyrektorka wywiadu. Z kolei Colin Kahl, doradca ds. bezpieczeństwa wiceprezydentki Kamali Harris, krytykował Trumpa za jego politykę wobec Korei. Natomiast po stronie osób, które mogą być bardziej skłonne do polityki negocjacji, jest Wendy Sherman, zastępczyni sekretarza stanu (za Obamy zajmowała się dialogiem z Iranem, w 2015 r. doprowadziła do głośnego porozumienia atomowego).

Jakakolwiek strategia zostanie ostatecznie przyjęta – dziś Pjongjang nie ma co liczyć na szczyty z udziałem Bidena i wspólne poklepywanie po plecach.

Wiadomość dla Bajdena

Podczas kampanii w USA media państwowe z Północy nie kryły, na kogo ich władze stawiają: wobec Bidena płynął potok bluźrów, który zaostrzył się jeszcze po tym, jak Biden nazwał Kima „bandytą”, a Demokraci zaatakowali Trumpa, eksponując jego zdjęcie z Kimem.

Osobliwa wiadomość, opublikowana 14 listopada przez państwową agencję prasową KCNA, głosiła: „Bajden [błąd w nazwisku był najwyraźniej zamierzony – red.], słuchaj uważnie. Każdy, kto oczernia godność naszego Najwyższego Przywódcy, nie uniknie bezlitosnej kary (...) wściekle psy takie jak ty (...) muszą być zamęczone na śmierć kijem, zanim będzie za późno”. Dziś propaganda KRLD kopiuje retorykę republikańskich mediów, nazywając nowego prezydenta „śpiącym Bajdenem” (oryginalna pisownia), „1% Bajdenem” (od IQ) i wyśmiewając jego rzekomą demencję.



DONG-A ILBO / GETTY IMAGES

Spotkanie Donalda Trumpa i Kim Dzong Una w strefie zdemilitaryzowanej między Koreą Północną i Koreą Południową, 30 czerwca 2019 r.

Władze Północy zdają sobie sprawę, że Biden nie będzie tak obojętny wobec kwestii praw człowieka jak Trump. W 2004 r. prezydent Bush zatwierdził ustawę o prawach człowieka w Korei Północnej. Powołano wtedy specjalną instytucję mającą wspierać uciekinierów z KRLD (m.in. mogą się ubiegać o azyl w Stanach), a także badać nadużycia dyktatury Kimów i kontrolować pomoc humanitarną USA dla Korei Północnej. Ustawa wymaga odnowienia co cztery lata. W 2018 r. Trump ją odnowił, ale pominął przepis nakazujący mu wyznaczenie szefa tej instytucji, w gruncie rzeczy sabotując jej działanie. Temat praw człowieka był też nieobecny podczas jego spotkań z Kimem.

Podejście Trumpa dobrze pokazuje jego wypowiedź dotycząca Otto Warmbiera, wygłoszona po szczycie z Kimem w Hanoi. Warmbier to student, który w 2017 r. został aresztowany na Północy, rzekomo za kradzież plakatu propagandowego podczas wycieczki po KRLD. Do Stanów wrócił w stanie krytycznym i wkrótce zmarł. Trump powiedział w Hanoi, że Kim zapewniał go, iż nie wiedział o tym incydencie, i że dyktatorowi jest smutno z powodu śmierci studenta. Jakby tego było mało, dodał, że wierzy Kimowi na słowo.

Zaostrzanie kursu

W 1977 r. Kim Ir Sen spotkał się z Erichem Honeckerem, przywódcą komunistycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Ostrzegał wtedy Honeckera

przed nadmierną poprawą jakości życia mieszkańców NRD, którym dobra materialne mogą przesłonić cele ideologiczne.

Anegdota ta przypominała mi się, gdy w styczniu śledziłem VIII Zjazd Partii Pracy Korei. Jego przesłanie to twardego zwrot w polityce. Szczegóły znane są jedynie pośrednio, ale wiemy, że za porażkę uznano próby poluzowania gospodarki. Państwo zamierza ponownie zagarnąć te sfery, które oddało prywatnym inwestorom. To zawód dla tych, którzy sądzili, że Kim Dzong Un zdecyduje się na reformy w stylu chińskim. Jednocześnie zapowiedziano nowe plany zbrojeniowe.

Sam wódz, pragnąc podkreślić swoją pozycję, nadał sobie nowy tytuł: Sekretarza Generalnego (kiedyś pośmiertnie przyznał go swojemu ojcu, Kim Dzong Ilowi). To o tyle dziwna decyzja, że podważa znaczenie „świętych” tytułów w KRLD, a w dodatku może przypominać o zapaści gospodarczej w kraju za panowania Ukochanego Przywódcy (taki tytuł nosił Kim Dzong Il).

Wirus praw człowieka

Na naszych oczach zmienia się też układ na linii Pekin–Pjongjang. Choć utarło się przekonanie, że Chiny to sojusznik KRLD, w ostatnich latach relacje były chłodne. W 2017 r. ChRL poparła wprowadzenie najsurowszych w historii sankcji wobec Korei Północnej na forum ONZ i uszczelniła granicę, zadając poważny cios biznesowi północnokoreańskiemu.

Pjongjang chciałby wykorzystać napięcia między Pekinem a Waszyngtonem – wokół kwestii epidemii, Ujgurów, Hongkongu i Tajwanu – aby odbudować relacje z Chinami jako swoiste małżeństwo z rozsądku. Choć oba reżimy nie darzą się estymą, łączą je wspólne interesy i wizja świata demokratycznego jako zagrożenia dla ich stabilności. Korea Północna być może wierzy, że Chiny nie pozwolą jej pograć się w głódzie, gdy według ostatnich doniesień jej ludność znów doświadcza braku podstawowych produktów.

Na fali obecnej eskalacji MSZ z Pjongjangu atakuje dziś Stany także za rozprzestrzenianie „wirusa praw człowieka”. Według tej narracji kraje Zachodu nie mogą pouczać Chin i Korei Północnej w tej kwestii, zwłaszcza po tym, jak poniosły „elementarną porażkę” w radzeniu sobie z pandemią. Przypomnijmy, że według oficjalnych statystyk w KRLD nie było dotąd ani jednego chorego... Podobną mistyfikację podtrzymuje tylko jeszcze jeden kraj świata – również totalitarny Turkmenistan.

WYGLĄDA NA TO, że Bidenowi trudno będzie powrócić do tradycyjnego poniekąd układu i do koncepcji „strategicznej cierpliwości”. Im bardziej będzie ignorować Kim Dzong Una, tym intensywniej dyktator będzie domagać się uwagi – zapewne przy pomocy starej metody eskalowania napięcia, odpalania kolejnych rakiet i starych-nowych gróźb. ©



SUMY SADURNI / AFP / EAST NEWS

Sąsiedzi i krewni ofiar masakry w Lukodi, dokonanej w 2004 r., słuchają werdyktu wydanego przez Międzynarodowy Trybunał Karny w sprawie Dominica Ongwena. Uganda, 4 lutego 2021 r.

Żywot Dominica

WOJCIECH JAGIELSKI

Międzynarodowy Trybunał Karny uznał Ugandyjczyka Dominica Ongwena winnym zbrodni wojennych. Zanim stał się katem, Ongwen sam był ofiarą: dzieckiem-żołnierzem.

JESTEM NIEWINNY, TO MNIE STAŁA SIĘ krzywdą! – mówił przed czterema laty, gdy zaczynał się jego proces w Hadze. Sędzia zapytał, czy chce, by odczytać mu, o co jest oskarżany. Dominic Ongwen, ubrany w pierwszy w życiu garnitur i krawat, odparł z kamienną twarzą, że szkoda na to czasu. „Z każdych pięciu słów, jakie tu zostaną powiedziane, tylko dwa będą może prawdą – rzekł. – Zabija Boża Armia, a Bożą Armią jest Joseph Kony, nie ja. Chwała niech będzie Bogu

Wszchemogącemu za stworzenie nieba i ziemi, i wszystkich jej mieszkańców!”.

Boża Armia Oporu to partyzantka, która działała w jego rodzinnych stronach, na północy Ugandy, gdy był jeszcze dzieckiem. Założyli ją byli żołnierze z armii rządowej, aby walczyć z nowym przywódcą kraju, który pokonał ich w wojnie domowej i pozbawił władzy.

Ten nowy przywódca nazywał się Yoweri Museveni i wywodził się z zachodniej Ugandy, a żołnierze, których pobił, pochodzili z żyjącego na północy kraju ludu Acholi – tak jak Dominic Ongwen. Acholi, których rodacy-generałowie władali krajem przez kilka lat wojennego chaosu i bezprawia, widzieli w nowym prezydencie wroga, a w jego wojsku ciemiężycieli i najeźdźców.

Kony rozmawia z duchami

Museveni pobił wówczas partyzantkę Acholich, ale nie do końca – to z niej około roku 1987 zrodziła się Boża Armia Oporu.

Przypominała ona raczej zbrojną sektę niż wojsko. Przewodził jej Joseph Kony, który twierdził, że rozmawia z duchami przyrody i duchami przodków. To one miały mu rozkazywać, a także mówić, co jest dobrem, a co złem. I to one, wraz z najpotężniejszym Duchem Świętym,

miały mu nakazać, aby w kraju Acholich zaprowadził boże królestwo, oczyściwszy uprzednio ziemię z grzeszników.

Kony uznał, że najprędzej sprawi się z tym zadaniem, zaludniając ziemię własnymi dziećmi i żołnierzami Bożej Armii, których sam zamierzał wychować w buszu. Najlepiej nadawały się do tego dziesięcioletnie dzieci. Dość młode, aby wymazać im z pamięci wszystko, co zostało im już wpojęne przez rodziców, i uczyć je wszystkiego od nowa, ale równocześnie wystarczająco duże i silne, aby unieść karabin czy maczetę – i zabijać. Dawni wojskowi, którzy przeszli do partyzantki i zostali przy Konym, tłumaczyli mu, że takie wojsko będzie najwierniejsze i najtańsze.

Wkrótce też, poza garstką dorosłych dowódców, trzy czwarte żołnierzy Bożej Armii stanowiły dzieci: porywane po wsiach i przyuczane do zabijania, a także do porywania kolejnych dzieci. Aby nie uciekały z partyzanckich obozowisk, zaraz po porwaniu poddawano je krwawym inicjacjom: przymuszano do mordowania rodziców, rodzeństwa, sąsiadów, przyjaciół. Groza zbrodni miała zamknąć im drogę powrotu do dawnego świata. Nie mając dokąd uciec, a chcąc zachować życie, musiały poddawać się prawom Bożej Armii.

Tamtego dnia wracał drogą z pola, gdy naprzeciw stanęli małoletni partyzanci, obdarci i brudni. Dominic wiedział od razu, kim są i co się z nim stanie.

Dominic trafia do buszu

Nie pamięta, kiedy to było ani ile miał wtedy lat. Raz mówi, że dziewięć albo dziesięć. Innym razem, że dwanaście lub trzynaście. Nosił już wtedy przydomki Ongwen, co w mowie Acholich znaczy „białe mrówki”. Ponoć przyszedł na świat w czasie, gdy pojawiły się ich całe roje. Rodzice przezwali go więc „Białą Mrówką” i pod takim nazwiskiem zapisali do szkoły. Zmiana imienia miała zapewnić bezpieczeństwo: gdyby został porwany do Bożej Armii – co przytrafiło się już wtedy tysiącom dzieci – i spróbował potem ucieczki do domu, partyzanci znalazliby go tylko pod tym przydomkiem. Trudniej byłoby im go szukać i wytropić jego wieś.

Ale Dominic nie próbował uciekać, nie stawiał oporu, nawet nie płakał, jak inni. Jakby rozumiał, że nie ma wyboru. Związali go i wlekli ze sobą przez wiele dni, zanim dotarli do obozowiska w buszu. Już po drodze biciem zmusili go, aby zabił człowieka. Potem jeszcze wiele razy miał zabijać i przyglądać się zabijaniu.

Przydzielono go do „rodziny” komendanta Vincenta Ottiego, który był zastępcą Kony’ego, jego prawą ręką. „Rodzina” z buszu była zresztą jedyną, jaką znał: matkę Dominica zabili partyzanci, a ojciec odszedł od nich już wcześniej. Po śmierci matki sieroty przysparzała ciotka Madelena, a Dominic – najstarszy z ro-

dzeństwa – musiał zastępować siostrą i braciom ojca oraz żywiciela rodziny.

Otti kazał na siebie mówić *lapwony*, nauczyciel. Rodzinę stanowili inni partyzanci, w których przemieniono porwane dzieci. W obozowisku chłopcy nosili wodę, sprząтали, gotowali. Dziewczęta służyły za żony i matki płodzonych przez komendantów dzieci. Byli plemieniem wybrańców, którym Kony miał zaludnić kraj Acholich, Ugandę i cały świat. Pod okiem „nauczyciela” Dominic szkolił się też na partyzanta i zaprawiał w walce podczas krwawych zajazdów na wioski oraz zasadzek na patroli rządowego wojska.

Posłuszny i bezlitosny

Wyrósł na wzorowego partyzanta Bożej Armii. Sam Kony stawiał go innym za przykład, powierzał nowe, coraz ważniejsze zadania i awansował na kolejne stopnie: porucznika (został nim już jako osiemnastolatek), majora, pułkownika, brygadiera. Włączono go także do „Ołtarza”, jak nazywano naczelne dowództwo Bożej Armii.

Jego dawni towarzysze broni, którzy zbiegli z buszu i skorzystali z amnestii lub zostali wzięci do niewoli przez rządowe wojsko, wspominają Dominica „Białą Mrówkę” jako ślepo posłusznego rozkazom przełożonych, okrutnego i bezlitosnego. A jednocześnie jako pogodnego i pełnego dziwnego wewnętrznego spokoju, pewności. Z takim lodowatym spokojem wyznaczał tych spośród jeńców, którzy mieli zostać straceni, aby zastraszyć pozostałych i zniechęcić ich do ucieczki i oporu. Wspominają, że oso-

biście nadzorował krwawe inicjacje nowych jeńców i powtarzał, że trzeba zabijać, żeby przetrwać.

Wśród partyzantów zyskał uznanie jako nieustraszony wojownik i doskonały dowódca. Nie przegrał żadnej bitwy, zwycięsko wychodził z najbardziej zuchwałych zajazdów i jako jeden z nielicznych komendantów nie tracił w walce ludzi. Wszyscy żołnierze Bożej Armii chcieli służyć pod jego rozkazami.

W ten sposób, po kilkunastu latach w partyzantce, stał się najważniejszym i najokrutniejszym komendantem polowym Bożej Armii. Miał własny oddział, a jako dowódca otrzymał też prawo do posiadania żony. Przeznaczono mu trzynastoletnią Florance, która została uprowadzona, gdy miała dziewięć lat. Najpierw oddano ją za żonę innemu komendantowi, który jednak poległ w potyczce z wojskiem. Wtedy kazano jej przenieść się do chaty Dominica Ongwena. Zanim uciekła z buszu, urodziła mu dwójkę dzieci.

Inni dowódcy mieli z czasem dość trudów partyzanckiego życia, tracili wiarę i bojowego ducha, poddawali się rządowemu wojsku albo ginęli. Tymczasem Dominic na czele swoich podwładnych napadał na kolejne wioski, mordował i palił, porywał nowe dzieci, by jak on sam przed laty stawały się partyzantami. Bezlitosny i dziki, mawiał, że kiedy wpada w zły humor, to aby poczuć się lepiej, każe zabijać ludzi. I sam także zabijał.

Boża Armia walczyła w Ugandzie, dopóki wspierał ją Sudan, największy kraj w Afryce. Rządzący z Chartumu byli

Nie masz czasu czytać? Słuchaj!

W nowym cyklu „Tygodnik” na ucho co tydzień
5 wybranych tekstów z bieżącego wydania
– do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych
abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK
POWSZECHNY

▶ audioteka



→ wściekli na Museveniego za wsparcie, jakiego udzielał rebeliantom z sudańskiego chrześcijańskiego południa. Pomagali więc Bożej Armii, zapewniali jej broń, pieniądze, wojskowe porady i informacje wywiadowcze. A przede wszystkim pozwalali partyzantom Kony'ego chronić się przed pościgami za sudańską granicą i zza niej wyruszać do krwawych zajazdów.

Na obcej ziemi

W 2005 r. Chartum nie wytrzymał dalszej wojny, zakopał topór wojenny z Ugandą i zgodził się, by sudańskie południe odłączyło się od reszty kraju. W 2011 r. ogłosiło ono niepodległość jako Sudan Południowy.

Pregnana z Ugandy, a teraz pozbawiona sudańskich kryjówek i dobrodziejów, Boża Armia ruszyła w dalszą tułaczkę: najpierw do Konga, potem do Republiki Środkowoafrykańskiej i do sudańskiego Darfuru. Bezkrzesne bezdroża, sawanny i dżungla utrudniały pościg, za to znakomicie ułatwiały ucieczkę i dawały schronienie. Szlak Bożej Armii na obczyźnie znaczyły kolejne mordy i porwania dzieci. Do najbardziej makabrycznego doszło przed Bożym Narodzeniem w 2009 r., gdy w ciągu kilku dni partyzanci Bożej Armii splądrowali i puścili z dymem pół tuzina kongijskich wsi, mordując ok. 350 mieszkańców, a kolejnych 250 osób – w tym setkę dzieci – porywając do buszu jako tragarzy i rekrutów. Najazdem dowodził Dominic „Biała Mrówka” Ongwen.

W 2003 r. Uganda zwróciła się do nowo utworzonego Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, aby osądził przywódców Bożej Armii jako zbrodniarzy wojennych. Dwa lata później Trybunał rozesłał listy gończe za jej pięcioma najważniejszymi komendantami, w tym za 30-letnim Ongwenem. Nigdy jeszcze nikt tak młody nie był ścigany za zbrodnie przeciw ludzkości.

Nieposłuszny

Pięć lat później na polowanie na komendantów Bożej Armii ruszyło ugandyjskie wojsko, wraz z żołnierzami wysłanymi specjalnie przez Unię Afrykańską. Do pościgu przyłączyli się też Amerykanie, którzy przysłali stu komandosów i wyznaczili po 5 mln dolarów nagrody za ściganie zbrodniarzy.

Z pięciu komendantów Bożej Armii, ściganych listami gończymi, wśród ży-



Dominic Ongwen na sali sądowej Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze, 4 lutego 2021 r.

wych zostało tylko dwóch: Kony i Ongwen. Raska Lukwiya zginął w potyczce z ugandyjskim wojskiem, a Okot Odhiambo i Vincent Otti zostali zgładzeni na rozkaz Kony'ego, który podejrzewał ich o zdradę.

Śmierć „nauczyciela” stała się też początkiem końca ponurej kariery „Białej Mrówki”. Jako jedyny z dowódców należących do „Ołtarza” sprzeciwił się, gdy Kony skazał Ottiego na śmierć. A kiedy mimo jego prośb i gróźb wyrok wykonano, zaczął buntować się przeciw „Prokowi”. Ten długo znosił jego nieposłuszeństwo, ale w końcu kazał osadzić go w partyzanckim areszcie.

Inni próbowali się uwolnić

Dzięki pomocy najwierniejszych podkomendnych Ongwenowi udało się zbiec i przedrzeć z Darfuru (tam ostatnio widziano Kony'ego) do Republiki Środkowoafrykańskiej. Zaraz po przekroczeniu jej granicy poprosił napotkanych pasterzy, żeby zaprowadzili go do pierwszego lepszego dowódcy którejś z tuzina działających tam zbrojnych grup. A postawiony przed jego obliczem, powiedział mu, kim jest, i mu się poddał. Komendant zadzwonił do znajomego kupca w najbliższym miasteczku, ten do znajomego cudzoziemca z działającej niedaleko organizacji dobroczynnej, który z kolei powiadomił o wszystkim ugandyjskie wojsko, tropiące w okolicy uciekinierów z Bożej Armii. Ugandyjczycy zatrzymali Ongwena, a następnie wydali wezwanym amerykańskim komandosom, ci zaś dostarczyli go do Hagi, do aresztu Międzynarodowego Trybunału Karnego.

Watażka, któremu Dominic Ongwen się poddał, upierał się potem, że wziął go do niewoli po zaciętej i trwającej prawie pół godziny bitwie. Był niepokieszony, gdy Amerykanie odmówili mu wypłacenia 5 mln dolarów nagrody.

Na początku lutego sędziowie haskiego trybunału uznali, że czterdziestokilku-

letni Ongwen, którego niemal całe życie zeszło w służbie Bożej Armii, jest winny zbrodni wojennych i zbrodni przeciwko ludzkości. Wymiar kary ogłosiła wiosną – grozi mu dożywocie. Adwokaci Ongwena chcą się odwołać i przekonują, że trybunał sądził nie tylko zbrodniarza, ale przede wszystkim ofiarę: dziecko przemocą przemienione w żołnierza, które przed takim losem powinno być chronione także przez wspólnotę międzynarodową.

Prokuratorzy, a także sędziowie odpowiadają na to, że nie zapomnieli, iż Ongwenowi odebrano dzieciństwo i odarto ze wszystkiego, co zwykło się uważać za człowieczeństwo. Podkreślają jednak, że sądzony był nie za zbrodnie całej Bożej Armii (100 tys., a może 200 tys. zabitych, 50-60 tys. dzieci uprowadzonych i przemienionych w zabójców) ani za mordy, których dopuścił się jako nieletni, lecz tylko za czyny, które popełniał już jako człowiek dorosły i w pełni ich świadomy. „Nie do wszystkiego, czego się dopuścił, został przymuszony. Nie musiał robić tego wszystkiego” – orzekł sędzia z Hagi.

Jego dawni podwładni i ofiary – w tym dzieci, które porwał do buszu i którymi dowodził jako żołnierzami Bożej Armii – są podzieleni. Z jednej strony słychać głosy, że skoro dorosłym komendantom i założycielom Bożej Armii wybaczone, skoro dzięki amnestii żyją dziś wśród Acholich jakby nigdy nic, to także jemu powinno dać się szansę, by okazał skruchę; w końcu to przez nich stał się tym, kim jest.

Z drugiej strony pada argument, że Ongwen poniesie karę sprawiedliwie: „Inni, którym przytrafiło się takie samo co jemu nieszczęście, uciekali z buszu, a przynajmniej próbowali uciekać – orzekła jedna z dawnych dziewcząt-partyzantów. – On jednak nawet nie próbował, wołał zostać. Służył Bożej Armii nawet jako dorosły. To prawda, że nie wybrał sobie takiego losu, i że od takiego ciągłego zabijania i strachu ludzie się zupełnie zmieniają. Ale Boża Armia stała się jego życiem i spodobało mu się ono. Innego już nie znał. Nie umiał ani nie chciał się z niego uwolnić”.

©© WOJCIECH JAGIELSKI

O dzieciach-żołnierzach z Bożej Armii Oporu opowiada książka Wojciecha Jagielskiego „Nocni wędrowcy”, której nowe wydanie ukazało się właśnie nakładem wydawnictwa Znak.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykli podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Własny pokój

rozmowy Katarzyny Kubisiowskiej
o kobiecej niezależności

#DOM

rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska i jej goście

Opowieści z Izraela

korespondencje
Karoliny Przewrockiej-Aderet

Sztuka powszechnie nieznana

Magdalena Łanuszka odkrywa dla nas
na nowo średniowieczne dzieła



weź, słuchaj!



SALES||manago
marketing automation

Więcej bezpłatnych podkastów do odsłuchania na powszech.net/podkast

TYGODNIK
POWSZECHNY

W kolejnym wydaniu
„Tygodnika Powszechnego”
dodatek

EUROPA SIĘ SZCZEPI

Pierwsze miesiące roku 2021 to czas potężnych emocji związanych z rozpoczętą akcją szczepień. Unia Europejska niemal od razu musiała stanąć do trudnych rozmów z producentami szczepionek, którzy ogłosili zmniejszenie dostaw. Tymczasem takie kraje jak Izrael, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Wielka Brytania i USA zyskały nad państwami unijnymi ogromną przewagę. **Czy Unia jest światowym maruderem, czy też może zderzyliśmy się z problemem nadmiernych społecznych oczekiwań, nie uwzględniających realiów gospodarczych i politycznych?**

Jak podziałają te nastroje na perspektywę integracji zdrowotnej UE w bieżącej kadencji Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej? Czy i gdzie popełniono błędy? **Co można zrobić, żeby wyciągnięte wnioski były nauką na przyszłość?**

Nasi dziennikarze przyjrzą się akcji szczepień w kilku krajach europejskich: Niemczech, Irlandii, Hiszpanii, Francji, i dla porównania – w Wielkiej Brytanii. Czym się różnią procedury dystrybucji, jaką ustalono kolejność szczepień, kto przeprowadza akcję? **Jak społeczeństwa oceniają działania swoich rządów?**

Zastanowimy się również nad międzynarodową odpowiedzialnością Unii Europejskiej, szczególnie w kontekście ułatwienia dostępu do szczepionek krajom rozwijającym się. I wreszcie: ekspert epidemiologii wyjaśni, na ile szczepienia pozwolą zwalczyć pandemię COVID-19 i jakie powinny być dalsze kroki w walce o powrót do normalności.

Zapraszamy do lektury

WSPÓŁWYDAWCA:



PARTNER WYDANIA:



Komisja
Europejska

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall:

Sceny prywatne



ZESZLI Z BARYKAD, COKOŁÓW I SCEN.
Niczego nie udają, są zmęczeni.
Nie to, że ich podglądam. Po prostu
– jestem w pobliżu.
Tak się złożyło, że jestem.
Płaczą. Różnie – z błahych powodów,

albo tragicznych.

To przypadek, tak się złożyło.

Z Anną W.

W autobusie linii 105, z Jelonek, od państwa Saratów, Oli i Zbyszka. Zakładali Patronat na wzór przedwojennego – opiekę nad więźniami. Wszystko się udało, milicja ich nie zwinęła, Anna W. jest rozluźniona i spokojna.

W autobusie tłok, rozmawiamy o rzeczach obojętnych. O filmach.

Ulubionym filmem Anny W. są „Grzesznicy bez winy”, widziała pani? Jasne, przecież Drużnikow tam grał. Ach, Drużnikow. Oczy, uśmiech. W „Grzesznikach” raczej się nie uśmiechał, postacią tragiczną przecież był. Pamięta pani, jak rzucił jej w twarz ten medalion? Jasne, najlepsza scena w filmie. W matkę rzucił, już się domyślił, że to matka – i Anna W. zamaszystym gestem pokazuje, jak Drużnikow rzuca medalion. Na szyi go nosił, zerwał i rzuca.

Poznajesz mnie? – woła Anna W. i zaczyna płakać. Normalnie płacze, łzy z oczu jej lecą, musi okulary przecierać, wyciera nos, no nie, bohaterska suwnicowa, symbol strajku zalewa się łzami w autobusie 105, co ludzie o nas pomyślą!

Nikt jej na szczęście nie poznaje, film dobrze się kończy, wysiadamy na Centralnym i jedziemy na Ursynów. Tym razem nie ma w naszej kuchni hydraulika, którego nikt nie wzywał. Wracamy do opowieści o życiu Anny W.

W połowie lata postanowiłam iść gdzie oczy poniosą. Szłam, szłam...

Na onkologii na Wawelskiej.

Przyjechała na kontrolę, lekarz powiedział, że wszystko w porządku.

Odroczono mi wyrok, zawiadamia radośnie.

Nie ma na myśli medycyny. To pan Bóg, mówi. Dawał jej życie, widocznie po coś.

Znam te słowa, są w reportażu o niej. Będą i u Kieślowskiego. Szuka postaci do „Przypadku” – szlachetnego komunisty i działaczki opozycyjnej. Takich, którym możemy wierzyć, prosi, bo lubi bohaterów autentycznych.

W tym szpitalu przychodzi mi do głowy, że możemy wierzyć Annie W.

Aktorka grająca działaczkę będzie mówiła jej tekstem.

W Małym Teatrze, filii Narodowego.

Jest próba generalna „Relacji”, trzech monologów – Lechośława Goździka, tego z FSO, z czasów Października, Janusza Prokopiaka, tego z Radomia, i Anny W.

Tak marzyłam, żeby pana poznać i moje marzenie dzisiaj się ziściło – wyznaje Anna W. Leszkowi Goździkowi. Leszek uśmiecha się z zakłopotaniem i oboje wchodzi na scenę. Dziękuję aktorom, publiczność klaszcze, tylko Prokopiak nie chce wejść. Anna W. zwraca się ze sceny w jego stronę – Panie sekretarzu, prosimy do nas. Jest pan taką samą ofiarą historii jak my wszyscy.

Chyba przesadza.

Z Barbarą S.

W łazience.

Myję jej włosy – sama nie może, bo bojówkarz krzesłem złamał jej rękę.

W łazience stoi worek z różnymi rzeczami. Suknie, bluzki, kapelusze, długie welony, krótkie woalki, wszystko czarne.

Tego się oczekuje od niej, ma być na czarno. Na pogrzebie była w dzinsowej kurtce. Nie wiedzą, że to kurtka jej syna. Widocznie nie miała co na siebie włożyć, więc przysyła ją.

Ładnie z ich strony.

Staje przed lustrem, zaczyna mierzyć.

Kapelusz z welonem do ramion.

Chichocze.

No spójrz, no popatrz tylko.

Jedwabny szal, szeroki, z frędzlami, można się nim owinać.

Aksamitna narzutka.

Wyobrażasz sobie minę Grześka?

Śmieje się coraz głośniejsze, jakby syn stał za nią, jakby w lustrze widziała jego rozbawioną twarz.

W pokoju obok siedzą panie. Zjechały zewsząd, kwiaty przywiozły, listy, słowa otuchy, święte obrazki. Nie powinna im robić przykrości niestosownym chichotem.

Wiem, zgadza się. Mam być Rollisonową. Ale ja się na Rollisonową nie nadaję.

W naszej kuchni.

Przynosi puszkę, mleko w tubce i rozpuszczalną neskę, dostała z kościoła, ze zrzutów. W puszcze jest czerwona fasola. Dodaje czosnek, przyprawy, chwali się, że gotuje po meksykańsku.

Nie rozmawiamy o śmierci, o procesie, o niczym takim. O Grześku tak, ale o żywym. Na przykład, że lubił jej gotowanie. I fasolę czerwoną? No skąd, kto widział takie pyszności?

W jej pokoju.

Pokazuje Grzesia buty, mały i duży, pierwszy i ostatni. Powiesiła je na żyrandolu, od czasu do czasu dotyka ręką, buty maszerują w powietrzu.

Pokazuje jeden but, ten mały. Duży znalazła rano przy pianinie.

Dlaczego tam?

Nie wie. Widocznie Grzesiek chciał, żeby stał po dawnemu. Był bałaganiarzem, stawiał czasami buty na pianinie.

No to mógł je i teraz postawić.

Czy ty masz dobrze w głowie? – pyta. Jak but może sam wejść na pianino?

A z żyrandola może zejść?

Widocznie może.

Placze. Ma głęboko osadzone, niebieskie oczy. Łzy nie spływają, zostają pod powiekami i stają się niebieskie.

Tak, opowiadałam o Barbarze S. wiele razy. O butach też, i o czarnych ubraniach i znowu do niej wracam. Chciałabym, żeby była i była.

Z Agnieszką O.

W samolocie do Berlina.

Placze, bo córka kopnęła ją w nogę na ślizgawce.

Wiesz może, co powiesz w tym literarisze?

Nie wie. Umyślnie ją kopnęła, właśnie że umyślnie.

To trzeba jej było oddać.

No wiesz, dziecko będę łyżwą kopać.

Literarisches Colloquium jest w Wannsee, nad jeziorem. Mamy spotkania autorskie, możemy popływać łódką, możemy z daleka popatrzeć na willę, w której była konferencja.

Jeśli młodzi czytelnicy nie wiedzą, o jakiej willi mowa, niech wygooglują Wannsee.

Pojawi się informacja – Wannsee straszne historie. I tytuły: Na moim osiedlu widziałam przerażającą kreaturę. W zaułku spotkałam upiora bez głowy. Nawiedził mnie duch. Byłem prześladowany przez demona Wannsee. Mieszkalem obok obłąkanej kobiety.

Nie zdziwiłabym się, gdyby te duchy i upiory miały związek z konferencją, ale nie, nie mają związku.

Hasło „Konferencja w Wannsee” też się googluje, trochę dalej, po „Wannsee strasznych historiach”.

Na balu u Wróblewskich, Agnieszki i Andrzeja Krzysztofa.

Siedzimy w sypialni gospodarzy, drzwi do pokoju obok są otwarte. Coś wesołego tam się dzieje, słysząc śmiech i rozbawione głosy.

Przygląda się rozbawionym.

Zrywa się, biegnie do nich.

Zaczyna krzyczeć.

Przynieśli – okazuje się – manekina, lalkę z wystawy, wystrojoną na bal i ją rozbierają. Striptiz manekina robią, taki żart, ale AO złości się nie na żarty. Chcecie rozbierać się? krzyczy. To się rozbierajcie! Sami się rozbierajcie! Pruderyjni jesteście! Zakłamanii jesteście! Za manekinem się chowacie!

Jej złość jest na serio.

Jej krzyk jest na serio.

W pokoju obok zapada cisza. Na krótko.

W Sopocie.

Każe mi iść do Atelier, teatru na plaży, naprzeciw domu ZAIKS-u.

Idź, idź, mówi. Spodoba ci się.

Jej przyjaciel André Ochodlo reżyserował „Jubileusz”.

Przestępcy zwykle wracają na miejsce zbrodni, niekiedy także ich ofiary, mówił autor, George Tabori. W teatrze na plaży wracają jedni i drudzy. Wstają z grobów. Opowiadają dowcipy. Ilu Żydów mieści się w jednym volkswagenie? Ośmiu. Czterej w fotelach, reszta w popielnicze.

Umarłym nie można przeszkodzić w opowiadaniu dowcipów, mówi Tabori. Dowcipy umarłych i ich śmiech zalecane są jako rozrywka nekrofobom, egzorcyzmom, łowcom duchów, sfrustrowanym kochankom i całej reszcie milczącej większości.

Groteska. Sarkazm. Rozpacz. Śmiech.

Mówiłam, że ci się spodoba.

W Małym Teatrze, w holu.

Prosiła, żeby wcześniej przyjść.

Siedzimy we dwie, czekamy na recital.

Nosi czarną, koronkową sukienkę, poprawiam jej suwak na plecach. Spód kapelusza wystają krótkie siwe włosy. A koński ogon? Miała ogon przez całe życie.

Siwy koński ogon – to byłoby niepoważne.

...to już ostatnia noc, ostatnie dni
na mej matki grobie płaczą moje łzy
niech tam sobie mama mocno śpi,

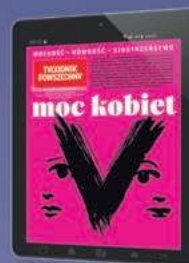
– śpiewa André Ochodlo żydowską pieśń w przekładzie AO.

©

TYGODNIK
POWSZECHNY

**Wolność, równość,
siostrzeństwo!**

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet





SĄD OKRĘGOWY W WARSZAWIE

wydał 9 lutego wyrok w pierwszej instancji w sprawie cywilnej dotyczącej sporu o antologię „Dalej jest noc”: dwoje jej redaktorów, Barbara Engelking i Jan Grabowski z Centrum Badań nad Zagładą Żydów, ma przeprosić Filomenę Leszczyńską za podanie nieścisłych informacji dotyczących jej nieżyjącego stryja. Na temat tego wyroku, jego kontekstów i konsekwencji, publikujemy dwugłos autorstwa redaktorów „Tygodnika”.

DOBRE IMIĘ

Nieprawomocny wyrok kwestionujący jeden akapit z antologii „Dalej jest noc” nie oznacza zakwestionowania tysiąca siedmiuset stron.

MICHAŁ OKOŃSKI

Barbara Engelking i Jan Grabowski
w dniu premiery książki „Dalej jest noc”.
Warszawa, 22 kwietnia 2018 r.

talne studium byli ludzie, którzy walczyli o życie swoje i swoich najbliższych; ludzie, którzy wykazywali się przy tym niebywałą odwagą, determinacją i pomysłowością.

Kto przeczytał tę pracę nieuprzedzonym okiem, ten wie, jak wyglądał schemat postępowania grupy naukowców z Centrum Badań nad Zagładą Żydów: analizowali działania okupanta, z miesiąca na miesiąc zaostrzającego antyżydowskie prześladowania, opisywali życie i śmierć w gettach, akcje likwidacyjne i polowania na szukających ocalenia, a potem strategie i próby przetrwania tych ostatnich „po aryjskiej stronie” – niekiedy związane ze wsparciem uzyskanym od napotkanych Polaków, niekiedy przypłacających takie spotkanie doświadczeniem i śmiercią.

AUTORZY „DALEJ JEST NOC”, w trakcie swojego projektu badawczego zajmujący się dziewięcioma powiatami okupowanej Polski, posilkowali się przy tym wszelkimi dostępnymi, często unikatomymi źródłami polskimi, izraelskimi, niemieckimi, amerykańskimi, ale też ukraińskimi, białoruskimi i rosyjskimi. Były wśród nich dokumenty Polskiego Państwa Podziemnego, władz emigracyjnych, okupacyjnej administracji i sądownictwa, akta powojennych procesów, relacje ocalałych i świadków, korespondencje wójtów i sołtysów. Wiele z tych dokumentów wyjęto z archiwów po raz pierwszy.

Powtórzmy: to nie jest książka o tym „Jak Polacy dobijali Żydów” (by zacytować niefortunną okładkę „Newsweeka”, reklamującą tę publikację), choć nerwowa reakcja wielu prawicowych polityków i publicystów, a także pracowników Instytutu Pamięci Narodowej odelegowanych do wyszukiwania w niej pomyłek i nieścisłości, zdaje się wskazywać, że rządzący Polską również odbierali ją jako zamach na tzw. dobre imię naszego kraju.

Także proces cywilny, jaki przy wsparciu sponsorowanej przez wiele państwowych instytucji Reduty Dobrego Imienia wytoczyła redaktorom tomu Filomena Leszczyńska, był efektem takiego odczytania, sąd musiał bowiem rozstrzy-

gnąć, czy w pozwie o naruszenie dóbr osobistych można za takie dobra uznać m.in. „prawo do tożsamości i dumy narodowej”. Rozstrzygnął, dodajmy, negatywnie: orzekł, że sięgając po podobne sformułowania ścigać naukowców nie można.

ZASTRZEŻENIA FILOMENY LESZCZYŃSKIEJ wzbudził jeden akapit z liczącej ponad 1700 stron pracy; akapit, w którym mowa o tym, że jej stryj, sołtys wsi Malinowo Edward Malinowski, pomógł uniknąć śmierci Esterze Drogickiej, ale że – jak relacjonowała po latach ocalała Żydówka – ograbił ją zarazem ze znacznej części majątku, a poza tym (to cytata z „Dalej jest noc”) był „współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie i zostali wydani Niemcom”.

Niezależnie od zeznań złożonych przed sądem, pozwana prof. Barbara Engelking rozwinęła ów akapit w artykule „O Esterze Siemiatyckiej, sołtysie Edwardzie Malinowskim i procesach sądowych” [tekst jest dostępny m.in. na stronie internetowej Centrum Badań nad Zagładą Żydów – red.]. Warto zauważyć, że sprostowała w nim swoją pomyłkę (przypisywała sołtysowi handlowanie z Esterą, choć chodziło o innego Edwarda Malinowskiego z tej samej wsi; była jednak zdania, że akurat ta pomyłka nie godzi w niczyje dobra osobiste) – i że szczegółowo tłumaczyła zdanie o współwinie śmierci kilkudziesięciu Żydów. Wynikało ono zarówno z relacji złożonej przez Esterę Drogicką w 1996 r., jak i z faktu, że sam sołtys zeznał przed stalinowskim sądem w 1950 r., iż przymuszony przez Niemców organizował oblavy na ukrywających się Żydów; badaczka nie zataiła, że proces sołtysa zakończył się przed 71 laty uniewinnieniem, i że także Drogicka zeznawała wówczas na jego korzyść.

Sąd Okręgowy w Warszawie uznał jednak, że Filomenie Leszczyńskiej należą się przeprosiny. Wyrok był łagodniejszy niż oczekiwania powódki: badaczka nie musza płacić odszkodowania, mają jedynie zamieścić oświadczenie na stronie internetowej Centrum Badań nad Zagładą Żydów i wysłać Leszczyńskiej przeprosiny; w następnych wydaniach książki fragment ma zostać zmieniony, co zresztą Barbara Engelking zadeklarowała niezależnie od tego, że zamierza się od wyroku odwołać.

PRZYPOMNIJMY NAJPIERW RZECZY ELEMENTARNE: wydana w 2018 r. „Dalej jest noc” nie jest książką o zachowaniach Polaków wobec Zagłady, o kwestii polskiego „współudziału” czy „współwiny”. Priorytetem autorów zamieszczonych na jej kartach studiów nie było ustalenie, ilu naszych rodaków przyłożyło rękę do wymyślonej i zainicjowanej przez nazistowskie Niemcy operacji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. W centrum zainteresowania badaczy współtworzących to monumen-

→ **Z TEMPERATURY**, w jakiej relacjonowano proces na łamach prasy i w internecie, wolno jednak sądzić, że rozstrzygnięcie Sądu Okręgowego w Warszawie miało dużo większe znaczenie niż ustalenie, czy prof. Barbara Engelking i prof. Jan Grabowski naruszyli prawo Filomeny Leszczyńskiej do kultu pamięci o bliskiej osobie zmarłej.

Sprawa – również ze względu na powiązania wspierającej powódkę Reduty Dobrego Imienia z obozem rządzącym – dotyczyła także kwestii wolności badań naukowych, zwłaszcza związanych ze sprawami źle widzianymi przez obecną władzę, której przedstawiciele przez wszystkie przypadki odmieniają ostatnio pojęcie „pedagogiki wstydu”. Warto więc zauważyć, że w ustnym na razie uzasadnieniu sąd podkreślił, iż wyrok nie może mieć efektu mrozącego dla badań naukowych. Innymi słowy: chodziło mu wyłącznie o satysfakcję moralną powódki, a nie o wysłanie sygnału ostrzegawczego dla innych badaczy czy publicystów przed zajmowaniem się kontrowersyjnymi tematami – sygnału podobnego do tego, którym miała być nieudolnie forsowana i ostatecznie wycofana w obliczu międzynarodowego skandalu ustawa o IPN.

NA KONIEC POWIĘDZMY więc jeszcze raz coś, czemu „Tygodnik Powszechny” dawał wyraz, przyznając pod koniec 2019 r. prof. Barbarze Engelking Medal św. Jerzego: że działalność naukowa kierowanego przez nią Centrum Badań nad Zagładą Żydów nie tylko nie godzi w dobre imię Polski, nie tylko nie osłabia wspólnoty uprawianiem rzekomej „pedagogiki wstydu”, ale pomaga tworzyć jej dojrzałość i wielkość przez odważne mierzenie się ze swoją historią. Dobre imię naszego kraju nie ucierpiało przez publikację „Dalej jest noc”, tak jak dobre imię Barbary Engelking nie ucierpiało po obecnym – nieprawomocnym, podkreślmy – wyroku.

Niezależnie od tego, czy krytycy tej publikacji będą teraz przedstawiać ów wyrok jako potwierdzenie swoich tez i podważać wiarygodność całego studium, jedyne, czego potwierdzenie uzyskaliśmy, to tego, że opowieść o ofiarach, sprawcach i świadkach Zagłady wymyka się politycznym, publicystycznym czy nawet sądowym orzeczeniom.

©© MICHAŁ OKOŃSKI

Kwestia standardów

WOJCIECH PIĘCIAK

W sprawie cywilnej przeciw Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu sąd rozczarował obie strony sporu: nie nałożył na pozwanych kagańca, choć zarazem przypomniał, że zasady obowiązują nas wszystkich, którzy piszemy o historii.

KRÓLOWI SALOMONOWI AUTORZY Bliżni przypisują nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale też umiejętność rozwiązywania skomplikowanych na pozór spraw sądowych w sposób zdroworozsądkowy. W tym sensie stwierdzenie, że salomonowy jest wyrok, który 9 lutego sąd pierwszej instancji wydał w cywilnym procesie „Filomena Leszczyńska versus Barbara Engelking i Jan Grabowski”, to nie tylko zabieg retoryczny.

Co bowiem zrobił w gruncie rzeczy warszawski sąd? Mówiąc obrazowo: przekuł balonik słów i emocji, który od jakiegoś czasu pompowało wielu uczestników dyskusji publicznej, sympatyzujących z jedną lub drugą stroną tego sporu. 80-letnią Filomenę Leszczyńską wspierała organizacja, która nazywa się Redutą Dobrego Imienia i uważa, że walczy o dobre imię Polski i Polaków w kraju i na świecie. Nie sposób oprzeć się przy tym wrażeniu, że działacze Reduty mogli chcieć wykorzystać ten przypadek, traktując seniorkę instrumentalnie; z drugiej strony ktoś mógłby zadać pytanie, czy gdyby nie oni, 80-lotka z podlaskiej wioski byłaby w stanie podnieść publicznie swoją sprawę. Jednak również pozwani historycy otrzymali mocne wsparcie – zwłaszcza w ostatnich dniach liczne były apele i listy solidarnościowe różnych organizacji (ich ton i treść – a mowa była w nich czasem o zagrożeniu dla wolności słowa – sprawiały czasem wrażenie, że autorzy być może nie zapoznali się z materią sprawy).

Odrzucone skrajności

Na czym polegało to, trzymajmy się metafory, przekłucie balonika? Na tym, że sąd sprowadził przedmiot sporu do wymiaru zdroworozsądkowego.

Po pierwsze, sąd oddalił skrajne aspiracje obu stron sporu. Gdyby się z nimi zgodził, z jednej strony mogłoby to prowadzić do nałożenia kagańca na badania historyczne nad Holokaustem (i nie tylko zresztą nad nim, także np. na badania nad aparatem terroru PRL i ludźmi go współtworzącymi), w tym do autocenzury. Mogłoby tak się stać, gdyby sąd przyznał stronie pozwywającej 100 tys. zł zadośćuczynienia i nałożył na pozwanych obowiązek umieszczenia ogłoszeń z przeprosinami w mediach (kosztujące zapewne dziesiątki tysięcy złotych). Sąd odrzucił również tę radykalną linię obrony, którą (słuchając także komentarzy po wyroku, po stronie sympatyków Barbary Engelking i Jana Grabowskiego) można by zinterpretować w ten oto sposób, że historycy powinni być równi i równiejsi: że tych spośród nich, którzy badają temat Polaków będących w Holokaucie współnikami Niemców, nie obowiązują te same standardy co innych.

Po drugie, sąd skoncentrował się na kwestii, która – abstrahując na moment od takich czy innych intencji – była tu kluczowa: czy 80-letnia krewna Edwarda Malinowskiego, nieżyjącego od dawna sołtysa wsi Malinowo w powiecie Bielsk Podlaski, może na drodze sądowej zakwestionować tezę postawioną w rozdziale antologii „Dalej jest noc”, którego autorką była prof. Barbara Engelking, a redaktorem naukowym prof. Jan Grabowski. Teza brzmiała, że Malinowski był współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów.

Na marginesie: tym, którzy sugerowali, że chodzi o błahostkę, bo sołtysowi poświęcono kilka linijek w pracy liczącej tysiąc kilkaset stron (nie sugeruje tego – chcę zaznaczyć – autor tekstu, który ukazuje się w ramach naszego dwugłosu), można zaproponować ćwiczenie intelektualne: czy powtórzyliby swoją tezę, gdyby w podobnie grubym tomie poświęconym np. tajnym służbom PRL znalazło się kilka linijek konstatacji, rzuconych bez dostatecznego materiału dowodowego, że np. jakiś znany polityk obecnej opozycji był konfidentem Służby Bezpieczeństwa? W obu przypadkach chodzi o człowieka, a nie o „nawóz historii”.



REDUTA DOBREGO IMIENIA / MATERIAŁY PRASOWE

Filomena Leszczyńska

Sprawy życia i śmierci

Uznając, że możliwe jest kwestionowanie na drodze prawnej stwierdzenia z pracy historycznej, iż ktoś z mojej (twojej) rodziny był winnym współudziału w wielokrotnym morderstwie – bo do tego sprowadza się zarzut wobec sołtysa – sąd musiał odpowiedzieć na pytanie będące konsekwencją poprzedniego: czy autorzy „Dalej jest noc” mieli podstawy, by sformułować takie stwierdzenie (w gruncie rzeczy – wyrok publiczny na konkretnego człowieka, mającego nazwisko i rodzinę).

Sąd uznał, że materiał źródłowy nie pozwala na tak kategoryczne sformułowanie – i skazał pozwanych na wystosowanie przeprosin za „nieścisłe informacje” (określenie i tak dość łagodne). Przeprosiny nie narażają pozwanych na koszty finansowe: mają zostać opublikowane na własnej stronie internetowej Centrum Badań nad Zagładą Żydów i w postaci listu do powódki. Sąd nakazał także zmianę tego fragmentu w kolejnych wydaniach.

Czy ta decyzja jest sprawiedliwa? Patrząc na materiał źródłowy (przedstawiony przez samą Barbarę Engelking: w tekście opublikowanym na stronie Centrum Badań nad Zagładą Żydów zaprezentowała materiały, na których się opierała; nie ma tu miejsca na ich szczegółowe omówienie – zainteresowani

mogą sięgnąć do tego źródła), wydaje się, że na pytanie, czy Malinowski był współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, najbardziej rzetelna odpowiedź brzmi: tego nie wiemy. I zapewne nigdy się ostatecznie nie dowiemy, bo nie ma możliwości zweryfikowania dostępnych materiałów – chyba że kiedyś pojawią się jakieś nowe, przesądzające w jedną czy drugą stronę.

Dziś wiemy tylko (albo, jak kto woli, aż), że w archiwaliach tej sprawy są zarówno okoliczności obciążające sołtysa (kilka osób z wioski twierdziło, że wydał grupę 18 ukrywających się Żydów Niemcom; natomiast przywołana tu przez Engelking relacja Estery Drogickiej nie może być dowodem ani winy, ani niewinności sołtysa, bo nie była ona świadkiem tych wydarzeń), jak też odciażające go (fakt, że żydowscy partyzanci, którzy postanowili zemścić się za śmierć rodaków, zabili miejscowego leśniczego, uznając go winnym denuncjacji, natomiast sołtysa oszczędzili – jak czytamy, odwiedzili go, ograbili, ale nie ukarali śmiercią). Barbara Engelking posunęła się za daleko, zbyt lekko formułując w swoim tekście jako stwierdzenie faktu coś, co w materiale archiwalnym pozostaje podejrzeniem (na marginesie: 18 to raczej kilkanaście niż kilkadziesiąt).

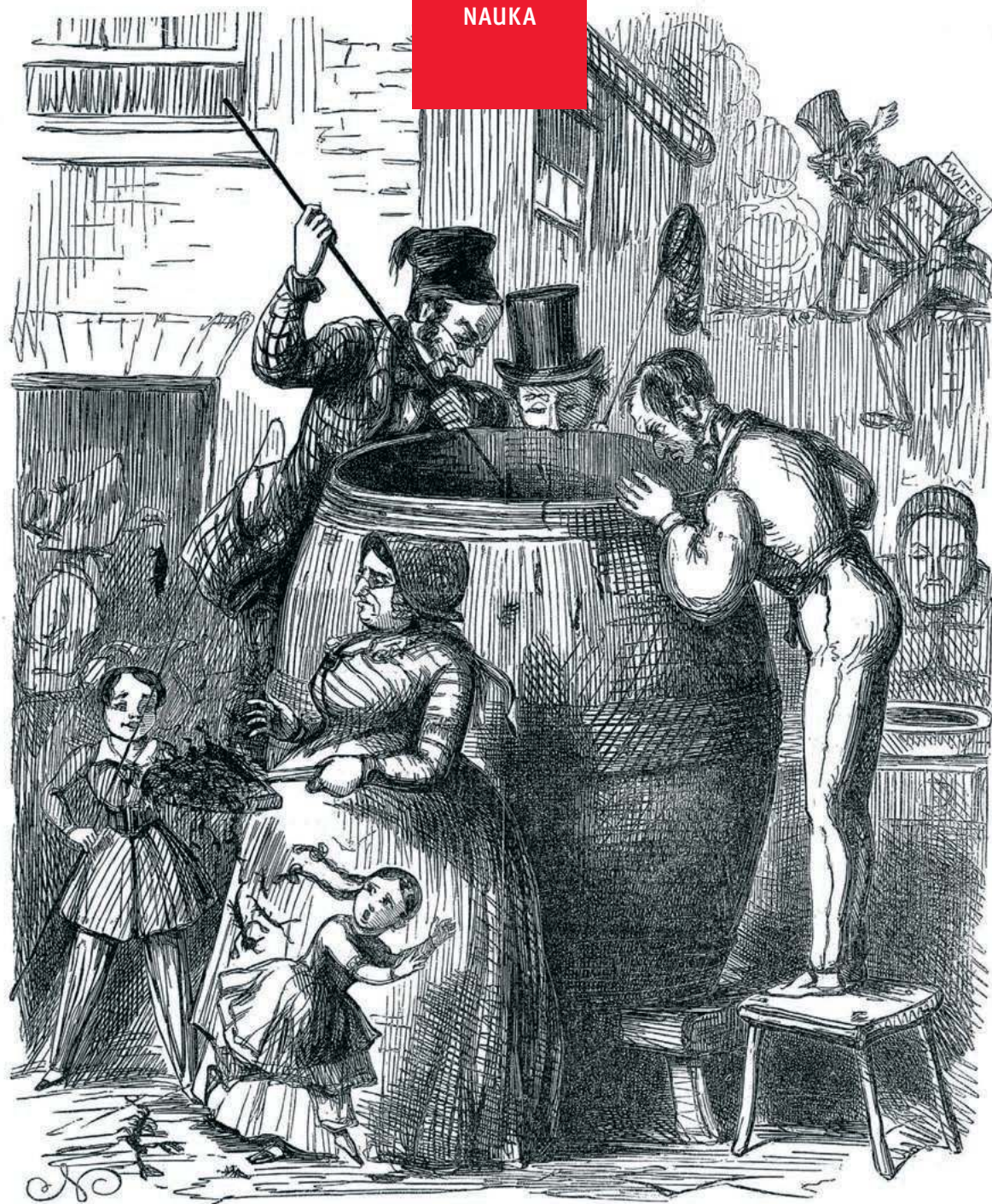
Czy sąd mógł zdecydować inaczej? Szukając odpowiedzi, sięgnijmy po ana-

logię. Od wielu lat toczy się w Polsce dyskusja na temat ujawniania materiałów tajnych służb PRL. Od historyka (czy dziennikarza), który chce postawić tezę, że konkretny człowiek wymieniony z nazwiska donosił tym służbom, wymaga się dziś wiele: solidnych dowodów, nie poszlak. Czy podobnych oczekiwań nie można formułować wobec historyka (czy dziennikarza), który twierdzi, że ktoś wymieniony z nazwiska wydawał Żydów? Być może od tego drugiego należy nawet oczekiwać więcej – wszak w pierwszym przypadku stawką była utrata czyjejś wolności, pracy, rzadko kiedy śmierć. A w tym drugim – zawsze śmierć.

Dyskusja będzie trwać

Książka pod redakcją Engelking i Grabowskiego ukazała się trzy lata temu. Dziś, po trwającej nieustannie dyskusji publicznej, można by już skompletować niemałą antologię z poważnych publikacji polemicznych, które kwestionują metodologię użytą w „Dalej jest noc”, wykorzystanie i interpretację źródeł itd. (w tym pomniejszanie polskiej pomocy i powiększanie polskiej współwiny). A także swoiste zonglowanie liczbami praktykowane przez Jana Grabowskiego, które wpływa mocno na odbiór całej pracy Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Te kolejne już liczby – ostatnio ma to być już znacznie ponad 200 tys. Żydów, którzy mieli stracić życie za sprawą Polaków (tak sugeruje Grabowski w wydanej niedawno książce „Polacy, nic się nie stało!”) – przypominają praktyki niektórych publicystów związanych ze środowiskami kresowymi, którzy emocjonalnie eskalują coraz to wyższe liczby Polaków, jacy mieli zginąć z rąk Ukraińców (sto tysięcy ofiar urasta tu niekiedy do kilkuset tysięcy).

Ta dyskusja będzie toczyć się dalej – wyrok z 9 lutego w żaden sposób jej nie ogranicza. Przypomina natomiast (znów: tylko albo aż), że zajmowanie się materią historyczną, gdzie w grę wchodzi ocena ludzkich zachowań w sytuacjach skrajnych (obojętne, czy dotyczy to relacji polsko-żydowskich, czy innego tematu dotyczącego spraw życia, śmierci, a także godności ludzkiej), nakłada szczególną odpowiedzialność za słowa. Że historyków i dziennikarzy obowiązują tutaj zawsze takie same standardy. ©P



ZARAZKI I TABELKI

Na kierunek rozwoju epidemiologii silny wpływ wywarły konkretne historyczne wydarzenia. Podobnie będzie z obecną pandemią.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

ROK AKADEMICKI 2020/2021 NA UNIWERSYTECIE ARIZONY, podobnie jak na uczelniach wyższych całego świata, rozpoczął się w koronawirusowym reżimie i położono nacisk na DDM – dezynfekcje, dystans i maseczki. Ale to nie wszystko. Zanim ruszyły pierwsze wydziały, władze uczelni postanowiły w niestandardowy sposób przywrócić się powracającym studentom. Wzięto pod lupę znajdującą się w kampusie kanalizację, w której mikrobiolodzy odnaleźli ślady SARS-CoV-2. Przebadano więc wszystkich aktualnie znajdujących się na kampusie pracowników i studentów, w sumie 311 osób, z których dwie okazały się zakażone bezobjawowo. „Gdybyśmy poczekali, aż pojawią się objawy (...) w tym akademiku przez kilka dni, tydzień lub cały okres inkubacji, ile innych osób zostałoby zarażonych?” – zastanawiał się Richard Carmona, były amerykański lekarz naczelny, a dziś wykładowca w Arizonie.

Czy ścieki mogłyby być kolejnym frontem walki z koronawirusem? Specjaliści zalecają ostrożność, ale wydarzenia z Arizony obrazują to, jak niejednorodną, a przy tym uzależnioną od rozwoju współczesnej cywilizacji nauką jest sama epidemiologia. Oto wydarzenia, które ukształtowały tę dyscyplinę medyczną, przy okazji stając się źródłem inspiracji na czas pandemii COVID-19.

Idzie epidemia, Johnie Snow

W styczniu 1857 r. w Hongkongu wybuchła afery chlebowej. Chińska piekarnia, która zaopatrywała Europejczyków, dodawała do wypieków arseniku, w wyniku czego kilkaset osób uległo poważnym zatruciom. Był to akt terroru, spisek, sabotaż? Ława przysięgłych uniewinniła piekarza Cheonga Ah-luma, ale pozwano go o odszkodowanie, a następnie wygnano. Afera być może zostałaby zapomniana, gdyby nie jej europejska odsłona. Oto doktor John Snow w tym samym roku w liście do czasopisma medycznego „The Lancet” zarzucał londyńskim

„Wody był świat, gdzie wzrok twój padł,
A człowiek marł z pragnienia”
– rysunek satyryczny odwołujący się do problemów mieszkańców Londynu w związku z epidemią cholery, podpisany cytatem z „Pieśni o starym żeglarzu” Samuela Taylora Coleridge’a (w tłum. Jana Kasprowicza), magazyn „Punch”, 1849 r.

piekarzom, że zarabiają na ludzkiej niedoli, sprzedając ubogim oszukany chleb. Do wody, mąki i zakwasu, ewentualnie drożdży, dodawali oni ałun, który z jednej strony nadawał ciastu jasną barwę, jednak ałun i arsenik to popularne substancje w kosmetyce, a z drugiej – przyczyniał się do krzywicy. Na Snowa, który zasłynął jako ten, który połączył wybuch epidemii cholery w 1854 r. w londyńskiej dzielnicy Soho z zanieczyszczoną ściekami wodą z Tamizy, posypały się gromy. Niezrażony medyk, uznawany dziś za jednego z twórców nowożytnej epidemiologii, wykazał liczne zależności między ałunem a rozkładem fosforanu wapnia w kościach niemowląt i małych dzieci.

Tezy z listu „O fałszowaniu chleba jako przyczynie krzywicy” wytyczyły ścieżkę, jaką podążyła epidemiologia. Snow dokonał bowiem obserwacji klinicznej, przy czym porównywał parametry dzieci wywodzących się z różnych środowisk i miejsc zamieszkania, a ponadto wykazał różnice między „ałunową krzywicą” a tą, którą, jako zapalenie kręgosłupa, opisał jeszcze w XVII w. filozof i anatom Francis Glisson. Zaproponował także badania kliniczno-kontrolne dotyczące częstotliwości występowania krzywicy w miastach, gdzie zaopatrywano się w gotowe pieczywo. Zmian krzywicznych nie zaobserwowano bowiem u dzieci spożywających domowe wypieki.

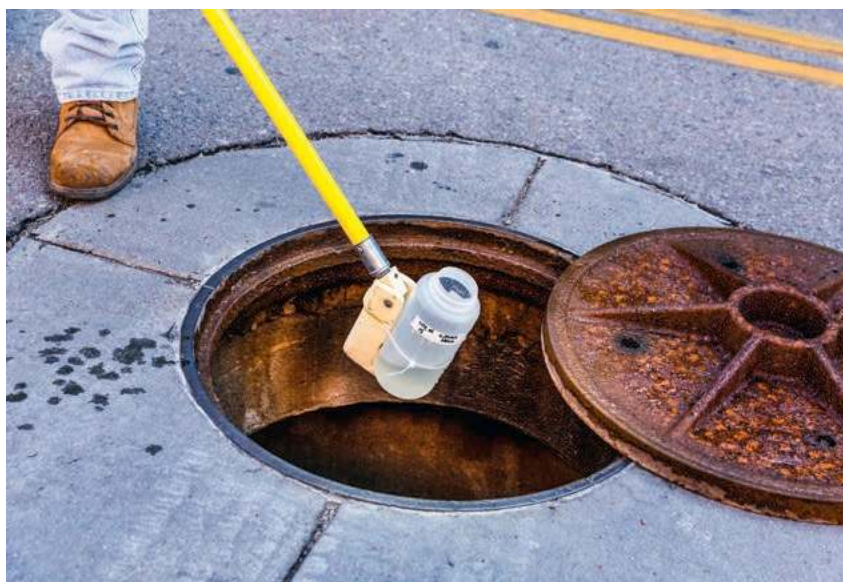
Wpływowe bractwo

Prace Snowa miały charakter na poły intuicyjny, były wynikiem naukowych spekulacji i po części zbiegów okoliczności. Dzisiejsza epidemiologia zbudowana jest zaś na wnioskowaniu przyczynowym, testowaniu hipotez czerpiących z biologii, nauk behawioralnych i fizyki, a ponieważ dotyczy częstotliwości i schematów zdarzeń w określonych grupach, nie byłaby możliwa bez udziału demografów. Tym, który zainicjował badania populacyjne jeszcze dwa wieki przed Snowem, był John Graunt. Odziedziczył on po ojcu sklep pełen pasamonów, jak ówczesnie mówiło się na wszelkie taśmy i wstążki, i nie byłoby w tej działalności nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że angielscy kupcy pasmanteryjni założyli w 1180 r. bractwo. Początkowo działało ono na kształt cechu rzemieślniczego, z czasem jednak zyskało uprawnienia, stając się jedną z najpotężniejszych sił politycznych w Londynie.

Nie jest do końca jasne, jak Graunt z kupca przeistoczył się w statystyka – możliwe, że zaważyła przyjaźń z Williamem Pettym, ekonomistą i lekarzem wojskowym. Ten cokolwiek egzotyczny duet sporządził zestawienia liczby zgonów londyńczyków z podziałem na wiek, płeć i przyczynę śmierci, starając się przy tym weryfikować powód zejścia (za podstawę posłużyły księgi parafialne przechowywane od 1532 r.). Wrodzona docieklivość przydała się Grauntowi w wychwyceniu licznych prawidłowości, w tym tendencji zachorowań. Zaobserwował też większą liczbę urodzeń chłopców niż dziewczynek, dostrzegając przy tym wyższą śmiertelność mężczyzn, i tym wytłumaczył fakt niemal równego podziału populacji między płciami. Takich konstatacji było więcej i publikował je w kolejnych wydaniach „Naturalnych i politycznych spostrzeżeń poczynionych na temat księgi zgonów”. Jednak po wielkim pożarze Londynu w 1666 r. Graunt nie dość, że zbankrutował, to ściągnął na siebie społeczne odium, przechodząc na katolicyzm. Zmarł w biedzie, ale za sprawą Petty’ego jego *opus magnum* zostało wznowione przez Towarzystwo Królewskie (założone w 1660 r., pełniło funkcję brytyjskiej akademii nauk). Musiał jednak minąć jeszcze wiek, aby szwajcarski matematyk, Daniel Bernoulli, wspierając się rozwiązaniami Graunta, sporządził pierwszy matematyczny model rozprzestrzeniania się ospy prawdziwej. Działał on wstecz, a więc wskazywał prawidłowości w minionych epidemiach. Wyniki były jednoznaczne: pewne przyjmowane przez władze rozwiązania okazały się nieskuteczne, inne przedłużały życie całej populacji.

Tyfusowa Mary

Ważnym dla rozwoju epidemiologii krokiem, wykonanym jeszcze przed Grauntem, Bernoullim i Snowem, było zerwanie w medycynie z zasadą jedności choroby i człowieka. Popularna od starożytności teoria humoralna zakładała, że przyczyną wszystkich dolegliwości są dysharmonie płynów, a więc krwi, żółci, flegmy i czarnej żółci. Na przełomie XV i XVI w. szwajcarski lekarz Paracelsus przeformułował jednak inną wizję, zgodnie z którą choroba miała być niezależna od pacjenta. Zaowocowało to narodzinami komplementarnych koncepcji – medycy podzielili się na zwolenników miazmatów albo zakażeń. ➔



CHENEY ORR / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Kontrola ścieków w poszukiwaniu śladów SARS-CoV-2 na Uniwersytecie Arizona. Tucson, sierpień 2020 r.

→ Pierwsi twierdzili, że przyczyną epidemii jest zatrute powietrze, a remedium będzie ogień i czystość. Drudzy przekonali, że kluczowe są zarazki, a rozwiązaniem jest izolacja, choć samą transmisję postrzegano różnie i w przypadku kiły długo nie kojarzono jej z aktem płciowym. Nawiasem mówiąc, pojęcie „zarazków” istniało od starożytności, a pierwsze bakterie zaobserwował za pomocą mikroskopu Antoni van Leeuwenhoek w 1686 r. Wraz z rozwojem wiedzy o człowieku i chorobach przybywało także narzędzi, którymi mogli posługiwać się specjaliści od epidemii. Pod koniec XVIII w. Anglik Edward Jenner stworzył pierwszą szczepionkę (przeciw ospie prawdziwej, do czego wykorzystał szczep wirusa wywołującego odmianę tej choroby u krów). W drugiej połowie XIX w. Francuz Ludwik Pasteur oraz Niemiec Robert Koch dokonali ważnych odkryć bakteriologicznych. Koch zidentyfikował mikroorganizmy wywołujące konkretne choroby (m.in. gruźlicę i cholere), Pasteur obalił zaś teorię samoródtwa zarazków i rozwinął wakcynologię.

Wiek XX to dwa ważne i wykraczające poza medycynę wydarzenia. Pierwsze wiąże się z kucharką Mary Mallon, która okazała się być nosicielką bakterii duru brzuszego. I choć sama nie chorowała, z lodów brzoskwińowych uczyniła narzędzie transmisji. Odkryto powiązanie między nią a zakażonymi nowojorskimi rodzinami, opisano fakt nosicielstwa, ale co najważniejsze, poddano „Tyfusową Mary” wieloletniej kwarantannie. Jej przypadek przyczynił się do rozwoju

tego opartego na przemocy państwowej narzędzia do walki z epidemiami. Drugie wydarzenie to trwające cztery dekady, do 1972 r., badanie Tuskegee, polegające na obserwacji czarnoskórych mężczyzn zakażonych kiłą. Nie poinformowano ich jednak o celach pracy, a ponadto, gdy był już dostępny antybiotyk, nie przepisano im go. Demaskacja tych praktyk inicjuje epokę etycznych regulacji w epidemiologii. Między „Tyfusową Mary” a Tuskegee należałoby jeszcze wskazać i rozwój immunologii, i wynalezienie mikroskopu elektronowego z pierwszą wizualizacją wirusa, a także pojawienie się antybiotyków czy powołanie pierwszej katedry epidemiologii.

Zabójcy kowbojów

O ile na początku ubiegłego stulecia na jednego Amerykanina przypadały za ledwie 54 papierosy rocznie, to w roku 1956 aż 4259 sztuk. Wtedy właśnie amerykańska firma Philip Morris uczyniła „Marlboro Mana” ikoną materiałów reklamowych. Nieco wcześniej rozgorzała dyskusja o szkodliwości palenia i w efekcie zaczęto dodawać do papierosów filtry. To zaś okazało się rozwiązaniem nie do przyjęcia dla mężczyzn, którzy obawiali się posądzenia o zniewieściałość. Marketingowym strzałem w dziesiątkę było więc zastąpienie gładkolicnych modeli ogorzałymi od słońca i wiatru kowbojami. Oto przy melodii z „Siedmiu wspaniałych” ukazywał się silny mężczyzna na ranczo z obowiązkowym papierosem, ale tym razem już z filtrem.

Sprzedaż szła ostro w górę, a wraz z nią rosła liczba chorób krtani, płuc i serca. Dopiero w 1998 r. zakazano w Stanach Zjednoczonych reklam papierosów z udziałem ludzi.

W czasie gdy technologicy z Philipa Morrisa dodawali filtry, na Starym Kontynencie znano już konsekwencje palenia, choć depozytariuszami tej wiedzy byli nieliczni. W 1950 r. londyńskich lekarzy zaniepokoił nagły wzrost umieralności na raka płuc. Początkowo przeważała hipoteza, zgodnie z którą do rozwoju choroby miał się przyczynić nowy rodzaj asfaltu i zwiększająca się ilość spalin. Do wyjaśnienia tej na poły detektywistycznej zagadki powołano więc specgrupę pod kierownictwem sir Richarda Dolla, lekarza i członka Royal Society, przy czym przez lata powiększała się ona o kolejne osoby. Wsparł ją m.in. epidemiolog Austin Bradford Hill, statystyk Richard Peto, a także rzesza lekarzy dostarczających dane. Dowiedziano, że zarówno rak płuc, jak i zawał serca u palaczy występują znacznie częściej. W kolejnych latach ustalono zaś, że papierosy skracają życie nawet o 10 lat i że ponad 50 proc. wszystkich palaczy umrze na chorobę, o której wiadomo, że jest związana z paleniem, ale i długością trwania w nałogu.

Prace zaowocowały także konsekwencjami metodologicznymi, wpływając na samą epidemiologię, która stała się nauką realizującą zasadę „5W”, czyli poszukującą odpowiedzi na pytania: kto? (*who?*), co? (*what?*), kiedy? (*when?*), gdzie? (*where?*) i dlaczego? (*why?*). Można też wzorem niektórych dodać: jak? (*how?*). I właśnie szukaniem tej wiedzy zajmują się dzisiaj interdyscyplinarne zespoły medyków, statystyków, demografów, informatyków, matematyków czy fizyków.

Znacznie poszerzył się przy tym sam obszar zainteresowania epidemiologów. Ich modele wykorzystywane są współcześnie nie tylko w analizowaniu przyczyn rozprzestrzeniania się rozmaitych chorób, ale też np. odnoszenia kontuzji przez sportowców, przemocy domowej i tej związanej z użyciem broni palnej.

Czarne łabędzie

„Historia kanalizuje życie przeszłości i wiele sławionych czynów spuszcza do ścieków” – pisał XIX-wieczny publicysta Aleksander Świętochowski. Podob-

nie funkcjonują nasze społeczeństwa, które wraz ze ściekami pozbywają się wszelkich, także potencjalnie ważnych dla nauki resztek. Nie dziwi więc, że do epidemiologicznej drużyny dołączyli badacze systemów kanalizacyjnych. Wspomniany już Uniwersytet Arizony nie był tu prekursorem. W 2013 r. ważne prace przeprowadzono w Izraelu, gdzie, tak jak w Polsce, wprowadzono obowiązkowe szczepienia przeciw polio. Nieoczekiwanie liczba zakażonych tym wirusem, przeważnie bezobjawowo, zaczęła gwałtownie wzrastać. Działalność jednak monitoring kanalizacji i w porę udało się zabezpieczyć całą populację.

Wracając zaś do pandemii COVID-19 – miasteczka akademickie zdają się być obszarami predestynowanymi do takiej formy nadzoru i, jak donosi „New York Times”, ponad 140 uniwersytetów na całym świecie bada już swoje ścieki. W naukowych periodykach – „mSystems” Amerykańskiego Towarzystwa Mikrobiologicznego oraz „Nature” – dokonano podsumowania prac z Massachusetts i Connecticut. Mimo różnych danych wejściowych, wyniki są zbliżone. W próbkach z kanalizacji pierwsze ślady SARS-CoV-2 odnotowano już na początku wiosny i za każdym razem znajdowano znacznie więcej cząstek wirusa, niż wynikałoby to z liczby potwierdzonych klinicznie przypadków. W oparciu o tak pozyskane dane wydzielono też obszary o różnym stopniu zagrożenia infekcją, a takie mapy są kluczowe dla epidemiologii.

Powróćmy więc do pytania o rolę badań na obecność koronawirusa w ście-

kach. Jak się wydaje, wciąż jest zbyt wiele zmiennych i znaków zapytania, aby metodę tę uznać za doskonałą. Niemniej taka analiza mikrobiologiczna, zauważają autorzy w „mSystem”, „znacząco wpłynie na wysiłki zmierzające do zrozumienia wskaźnika śmiertelności i progresji choroby”. Byłby i jeszcze jeden profit. Doll i Hill udowodnili, że można zaprojektować badania tak, aby mówiły o przyszłości. To jednak modelowanie, ze względu na niskie moce maszyn, aż do pierwszej dekady XXI w. obarczone było błędami i nie umiano dostrzec „czarnego łabędzia” – zjawiska zupełnie nieoczekiwane, o olbrzymich konsekwencjach, choć po czasie dającego się logicznie wytłumaczyć.

Rzecz jasna monitoring ścieków nie wystarczy, by przewidywać mało prawdopodobne zdarzenia, ale dziś, gdy posiadamy komputery o wielkich mocach, mogłoby stać się załącznikiem ponadnarodowej sieci analizującej dane epidemiologiczne w czasie rzeczywistym. A to mogłoby pomóc w realizacji podstawowego postulatu epidemiologów – powołania spójnego, obiektywnego i globalnego narzędzia do wykrywania zagrożeń.

„Każdy rząd musi dążyć...”

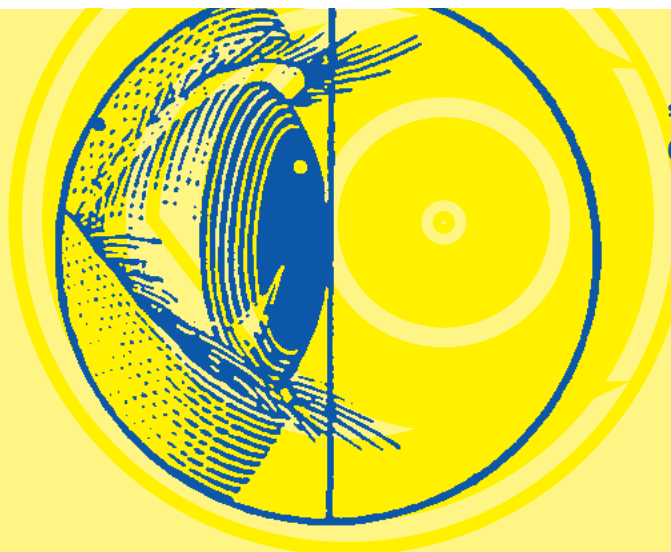
Takiej czerwonej lampki, której nie dałoby się zignorować, zabrakło w 2018 r., gdy specjaliści z WHO ostrzegali o mającej nadejść chorobie X. Konsultant amerykańskiego Centrum ds. Kontroli i Prewencji Chorób Martin Meltzer przekonuje, że nie udało się wówczas dostrzec

do decydentów, do których trzeba mówić prosto i najlepiej „w arkuszu kalkulacyjnym”. Czy byłby to też przytyk do epidemiologów walczących z COVID-19, czas pokaże. W opublikowanym pod koniec ubiegłego roku artykule w „Lancecie” wskazuje się na bardziej konkretne zarzuty, a więc zbyt późne dostrzeżenie kluczowej roli trzech państw – Chin, Włoch i Iranu – w transmisji SARS-CoV-2, a także niedoszacowanie znaczenia społecznego dystansu i izolacji dzieci. Ale i w tym przypadku odpowiedzialność jest co najmniej współdzielona. „Kompromitujący poziom finansowania zdrowia powoduje, że system funkcjonujący na granicy upadku ulega destrukcji w obliczu pandemii” – zauważa epidemiolog Mirosław Wysocki, wieloletni dyrektor Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny oraz doradca WHO. On sam w latach 1988–2000 obserwował z bliska wydarzenia w Azji Środkowej oraz Południowo-Wschodniej i konsekwencje, jakie dla zdrowia publicznego w tym regionie (zapaść służby zdrowia, wzrost śmiertelności niemowląt) miał rozpad bloku wschodniego – na który nikt się nie przygotował.

Z nie aż tak odległej historii wtóruje mu Adrien Proust, ojciec Marcela Prousta. Ten francuski medyk w artykule z 1873 r. poświęconym chorobom zakaźnym zanotował słowa, które dziś można by wybić nad niejednym frontonem: „Każdy rząd musi dążyć do ochrony zdrowia osób, których interesy są mu powierzone”.

© MARTA PANAS-GOWORSKA
ANDRZEJ GOWORSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabo widzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwi bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

TYGODNIK
POWSZECHNY

POŻEGNANIE Z WISŁAWĄ

W szpitalu powiedziała, że miała bardzo ciekawe życie,
dużo przyjaciół – i że się kurczowo tego życia trzymać nie będzie.

KALINA BŁĄŻEJOWSKA

TO PO MOJEJ ŚMIERCI” – ZWYKŁA ODPOWIADAŁA na pytania o sprawy osobiste. Od młodości liczyła się z tym, że ktoś kiedyś prześwietli jej życie. Już w 1946 r. pisała z Zakopanego do Adama Włodka: „Ażeby ułatwić pracę moim pośmiertnym komentatorom, albo lepiej: żeby przekonać ich, że nie mają broń Boże do czynienia z literaturą, postaram się wszystko przedstawić w obrazkach” (list miał formę komiksu). Podpisała się: „Ob. Znakomicie się zapowiadająca Wisława Sz., Parnas, Oddział Zakaźny (pokój z osobnym wejściem)”. Żart, ale znamieny. Wiele lat później w testamentie powierzyła swoje archiwum (oraz 50 tys. złotych, jakby chciała wynagrodzić kłopot) Bibliotece Jagiellońskiej, rzeczywiście ułatwiając pracę „pośmiertnym komentatorom”.

Pierwsza biografia ukazała się za jej życia, wkrótce po Noblu. „Pamiętkowe rupiecie, przyjaciele i sny” Anny Bikont i Joanny Szczęsnej były książką dobrze udokumentowaną i błyskotliwie napisaną, ale z poważnymi lukami. Sama Szymborska poprawiała tekst tak, by – jak piszą Bikont i Szczęsna – „nikogo nie urazić”. I zauważyła, że prezentuje się w nim „bez dramatyzmu”: „Ja mam do ludzi inną twarz, dlatego pokazuję mnie od strony anegdotycznej, jako osobę wesołą, która nic, tylko wymyśla gry i zabawy. To, że inni tak mnie widzą, to moja wina. Pracałam długo na ten wizerunek”.

Kilka miesięcy po śmierci poetki „Pamiętkowe rupiecie” zostały poszerzone i wznowione, stając się książką poważniejszą, ale nadal niepełną. W 2016 r. Michał Rusinek opublikował „Nic zwyczajnego”, bardzo ciekawe wspomnienia z piętnastu lat sekretarzowania noblistce. Wydano korespondencję Szymborskiej z Kornelem Filipowiczem, Zbigniewem Herbertem, Stanisławem Barańczakiem i Joanną Kulmową. Biografii z prawdziwego zdarzenia wciąż jednak nie było.

Wtem przed dziewiątą rocznicą śmierci poetki, bez wielkiego rozgłosu, ukazał się w Znak solidny (656 stron) tom autorstwa Joanny Gromek-Ilłg pod tytułem „Szymborska. Znaki szczególne. Biografia wewnętrzna”. Rzecz napisana bez kurateli bohaterki, z dostępem do tysięcy niepublikowanych listów, dokumentów, notatek i pamiątek. A także do świadków, którzy po śmierci Szymborskiej mogli powiedzieć więcej niż za jej życia.

Z takiego materiału powinna powstać książka wybitna, fascynująca, odkrywczą, kontrowersyjną. Niestety, nie powstała. Ale o tym za chwilę.

Końmi na karty

„Znaki szczególne” przynoszą wiele informacji ciekawych i nowych. Pochodzą one głównie z dokumentów i listów – autorka skupiła się raczej na odczytywaniu rękopisów niż na rozmowach ze świadkami.

Wypowiedzi tych ostatnich jest mało. Z jednej strony trudno się dziwić, większość bliskich Szymborskiej już nie żyje, z drugiej – na pewno są jeszcze osoby, które mogłyby coś ciekawego dodać albo wyjaśnić zagadkowe fragmenty listów. Szczególnie zastanawia brak głosu Ewy Lipskiej, bliskiej przecież przyjaciółki Szymborskiej i partnerki Włodka.

Zacznijmy od końca, czyli „Aneksu genealogicznego”. Uświadamia on, jak wysoko na społecznej drabinie była rodzina Szymborskiej. Zarówno matka, jak ojciec należeli do herbowej szlachty z bogatą historią. Wisława miała w rodzinie powstańców listopadowych i styczniowych, emigrantów, kupców, urzędników, księży. A nawet poszukiwacza złota: jej dziadek między kolejnymi powstaniami próbował wzbogacić się w Kalifornii.

Rodzinne majątki nie przetrwały do czasów dzieciństwa Szymborskiej, ale i tak miała lepszy start niż większość dzieci dorastających w II RP. Pierwsze lata życia spędziła w dobrach Zamoyskich w Kórniku, potem w kupionej przez rodziców kamienicy w centrum Krakowa, miała nianię-służącą, uczyła się francuskiego i łaciny w dobrej prywatnej szkole. Zacytujmy list, jaki Ichna (zdrobnienie od Marychna – aż do 1971 r. Szymborska

→

Wisława Szymborska w swoim mieszkaniu w Krakowie, marzec 2009 r.



→ oficjalnie była Marią Wisławą) wysłała do mamy z wakacji 1938 r. Spędzała je w Domu Świckim w Białowieży, u ciotki i jej męża, wysokiego urzędnika Lasów Państwowych. „Doprawdy więc nie wiem, co robić wpierw. Czy zagłębić się w Prusie, czy dosiąść roweru? Czy słuchać radia, czy patefonu nad wodą? Czy jechać końmi na karty, czy kolejką na polowanie? Miłe zmartwienia, co?”.

Na ile młoda Szymborska zdawała sobie sprawę ze swojego przywileju? Jak to wpłynęło na późniejsze komunistyczne zaangażowanie? Takie pytania w książce nie padają. Dla autorki status Szymborskich jest przezroczystry, czego najlepszym dowodem zabawne skądinąd zdanie: „Żywoć kamienicznika nie był usłany różami”.

Niewolnik Wicek

W rodzicach Szymborska miała chyba wzór szczęśliwego związku – choć Annę i Wincentego dzieliła duża różnica wieku, a pobrali się z rozsądku: młoda kobieta bez posagu i dojrzały mężczyzna z dobrą posadą. Po kilkunastu latach małżeństwa w liście do żony Szymborski podpisywał się: „Twój niewolnik Wicek”. A testament zaczął słowami: „Na pożegnanie składam najukochańszej mej małżonce szczere podziękowanie za miłość, dobroć i przywiązanie, jakim mnie otaczała w ciągu całego naszego jasnego i szczęśliwego pożycia małżeńskiego. Niech jej Bóg błogosławi w życiu i pracy nad wychowaniem i prowadzeniem dzieci”.

Zaglądamy do listów, akt notarialnych i ksiąg rachunkowych, poznajemy szczegóły pracy rządcy zakopiańskich dóbr hrabiego Zamoyskiego i twórcy Fundacji Zakłady Kórnickie. Nie dowiadujemy się natomiast o najciekawszym epizodzie biografii Szymborskiego: był wiceprezydentem Rzeczypospolitej Zakopiańskiej, a więc współpracownikiem Stefana Żeromskiego, prezydenta tej efemerycznej formy polskiej państwowości.

Autorka nie wspomina też, że ojciec Wisławy należał do Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, potem Związku Ludowo-Narodowego. „Poglądy miał pan Wincenty – jeśliby oceniać z dzisiejszego punktu widzenia – konserwatywne; można chyba powiedzieć, że był typowym Polakiem katolikiem starej daty” – pisze, jakby słowo „endek” nie mogło jej przejść przez klawiaturę. Podobnie ze sł-

Dzieciństwo noblistki

Joanna Gromek-Illg

opisuje szczegółowo.

Szymborska byłaby pewnie zdumiona, jak wiele udało się **odtworzyć na podstawie rodzinnego archiwum.**

wem „antysemita”, choć zauważa: „Wojował z Żydami, bo według jego mniemania wykupywali polskie ziemie i domy, chcieli – jak twierdził – zmienić Zakopane w »małą Jerozolimę«. Żydzi skarżyli się na niego u cadyka w Bobowej”.

Psepekna moja Mulko

Dzieciństwo poetki autorka opisuje szczegółowo; Szymborska byłaby pewnie zdumiona, jak wiele udało się odtworzyć na podstawie rodzinnego archiwum. Sama rzadko wspominała o pierwszych latach swojego życia, może ze względu na traumę, jaką była przedwczesna śmierć uwielbianego ojca: Szymborski w 1936 r. zmarł na atak serca, załamany utratą renty z Fundacji Kórnickiej.

Gromek-Illg opisuje i cytuje wiele wzruszających pamiątek, np. list do mamy: „cudowna i psepekna moja Mulko muj Aniołku i pesiosiu toja Ichna 5 i puł latek”. Na tej samej kartce znalazła się zaskakująca informacja: „Dzięcioł zawsze stuka do Drzew Dzięcioł ma gniazd w dziupli”. Brzmi jak zapowiedź zainteresowania Szymborskiej wiedzą przyrodniczą.

Niewiele nowego dowiadujemy się o wojennych latach Szymborskiej – że była urzędniczką kolejową, chodziła na tajne komplety, podejmowała pierwsze próby literackie i straciła ukochanego z AK, ustaliły już autorki „Pamiętkowych rupieci”. Nowością jest wzmianka o skrytce na strychu kamienicy Szymborskich, w której mieli przeżyć wojnę żydowscy lokatorzy, Imbermanowie. A także informacja, że samym Szymborskim groziło zamknięcie w getcie: „władze niemieckie zainteresowały się obco brzmiącym nazwiskiem panińskim pani Anny. Najpierw uznano, że Rotterdam to nazwisko niemieckie, i zaproponowano jej wpisanie na volksliście. Kiedy odmówiła, zaczęło się dochodzenie, czy nazwisko nie jest czasem żydowskie. Pani

Anna zmuszona była udowadniać, że nie jest Żydówką. Nie wystarczyło świadectwo chrztu w krakowskim kościele. Musiała dostarczyć również świadectwo ślubu kościelnego oraz świadectwo chrztu swojego ojca”. Podobne podejrzania wracały w życiu Szymborskiej jeszcze kilkakrotnie.

W rozdziale dotyczącym okupacji pojawia się też nieoczekiwane źródło: pele-mele, które Szymborska prowadziła od 1941 r. A w nim taka jej odpowiedź na pytanie o ideał mężczyzny, pokazująca, że już w młodości była ironiczną obserwatorką: „Krawat świetnie zawiązany, / Lśnią od pasty butów końce, / Na paltocie żadnej plamy, / A cylinder – drugie słońce! / (...) Klimcio jest oportunistą / I ideę zyskiem mierzy: / Przed wojną był legionistą, / A po wojnie? To zależy... / (...) Zawsze przed nim prosta droga, / Powściągliwość i metoda, / Nigdy nie obraża Boga, / Jego hasła: umiar, zgoda!”. Ponadczasowe, prawda?

Usta, oczy, szyję, piersi

„Znaki szczególne” opisują kilka dotychczas ukrytych miłosnych relacji Szymborskiej. Niewątpliwym odkryciem jest korespondencja z utalentowanym literacko dwudziestoletnim Żydem, Arturem Wekslerem. Po cudem przeżytej wojnie (uciekł z getta, ukrywał się, pracował w Rzeszy na fałszywych papierach) zdecydował się na emigrację do Palestyny. Z długiej i trudnej podróży słał do Szymborskiej miłosne listy: „Tysiące razy przypominam sobie każdą chwilę spędzoną z Tobą, tysiące razy całuję Twoje usta, oczy, szyję, piersi; (...) przeklinam Cię czasami (...) bo zmuszasz mnie do myśli o powrocie, przynosisz zwątpienie w słuszność całego przedsięwzięcia, odrzęz do Żydów”.

Jak i kiedy się poznali – nie wiemy. On poświęcił tej miłości opowiadanie i jeszcze pół wieku później wspominał ich randki; ona przechowała jego zdjęcie i jeszcze w 1986 r. wysyłała mu tomik z ciepłą dedykacją. Niestety syn zmarłego w 2012 r. Wekslera nie zgodził się udostępnić listów Szymborskiej.

Joanna Gromek-Illg cytuje za to obficie listy poetki do Adama Włodka – przez sześć lat męża, przez kolejne trzydzieści dwa przyjaciela. Poznali się w 1945 r. w redakcji „Dziennika Polskiego”: on był redaktorem, ona debiutantką. W styczniu 1947 r. Szymborska sporządziła pismo, podbite pieczęcią

ówczesnego miejsca pracy, „Świetlicy Krakowskiej”: „Niniejszym podaje się do wiadomości ob. Adama Włodka, że ob. Wisława Szymborska nie ma ochoty, nie, nie będzie uwiedziona przez wyżej wymienionego. Wszelkie reklamacje z tego tytułu uwzględniane nie będą. Oświadczenie niniejsze ma moc obowiązującą bez względu na to, czy zostanie ono opublikowane w prasie i ogłoszone przez radio, czy nie, aż do dnia 31 stycznia 1999 roku, po czym w wypadku milczącej zgody obu stron ulegnie dalszej prolongacji”.

Pobrali się rok później. Zamiast urządzić wesele, przekazali dwadzieścia tysięcy złotych na Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

Zazdrośna jak mrówka

Zaczynał się okres stalinizmu, który Joanna Gromek-Illg najczęściej nazywa „socializmem”. Znowu: jakby bała się użyć odpowiedniego słowa. Cytując fragmenty wierszy Szymborskiej z tego okresu, chce pokazać, że choć fałszywe w treści, wystawały ponad ówczesną produkcję. Stara się tłumaczyć Szymborską, jakby moralna ocena była tu najważniejsza i niezbędna. Pisz o „ideologicznym otumanieniu”, by w końcu stwierdzić: „Myślę, że ani przez chwilę nie była konformistką. Dała się rzeczywiście porwać ideologii, tłumiąc swój wrodzony sceptycyzm”. Nawet Bikont i Szczesna, pisząc swoją książkę za wiedzą i zgodą bohaterki, potraktowały ten fragment jej życiorysu z większym obiektywizmem.

W sprawie donosu na Macieja Słomczyńskiego (w 1953 r. Włodek napisał do UB, że podejrzewa sąsiada o szpiegostwo, co w tamtych czasach mogło się skończyć karą śmierci) nie znajdziemy nowych szczegółów. „Zawikłaną sprawę donosu i agenturalnej działalności męża Szymborskiej starały się obiektywnie naświetlić autorki »Pamiętkowych rupiec« po przestudiowaniu akt Instytutu Pamięci Narodowej” – pisze autorka. Tyle że „agenturalna działalność” to za duże słowo: nie mamy na nią dowodów, a Gromek-Illg nawet ich nie szukała.

Przytacza natomiast nieznaną wcześniej reakcję Szymborskiej na wydaną w 2006 r. autobiografię Sławomira Mrożka, w której napisał o Włodku: „słyszałem o nim błędnie rzeczy. Że donosił na UB bez względu na przyjaźń, która u Polaków była rzekomo w wysokiej ce-

„Znaki szczególne” opisują kilka dotychczas ukrytych miłosnych relacji poetki

– jak korespondencja z utalentowanym literacko dwudziestoletnim Żydem, Arturem Wekslerem.

nie. Na pół w to wierzyłem, na pół nie, to znaczy zachowywałem rezerwę. Taka możliwość nie była wykluczona”. Poruszający jest list 83-letniej Szymborskiej do Mrożka: „Słusznie uprzedzałeś mnie w liście, że kilka zdań (o Adamie jako informatorze UB) może mnie zabołec. Rzeczywiście, zabołały, i to bardzo. Owszem, pojawiła się taka pogłoska, ale dopiero kiedy Adam jako jeden z pierwszych w swoim pokoleniu wystąpił z partii zaraz po likwidacji »Po Prostu«. (...) człowiek na Twoim poziomie nie powinien powtarzać plotek – zwłaszcza drukiem! – o ile nie ma absolutnej pewności, że są prawdziwe. A tej pewności nie masz”. Czy poetka poznała upubliczniony rok później donos Włodka na Słomczyńskiego? W „Znakach szczególnych” nic o tym nie ma.

Dlaczego Szymborska i Włodek się rozwiedli? Autorka sugeruje, że mogło chodzić o jego niewierność. Jak pisze, „nie potrafili być razem, ale też nie rozstali się nigdy całkowicie”. Po rozstaniu zapewniali się nawzajem o wsparciu, miłości i tęsknocie. Ekszona pisała: „To już chyba całe życie tak się będziemy potrzebować, co?”; albo „Po rozwodzie zaczynam być zazdrośna jak mrówka”. Eksmąż: „Komu co do tego, że my się kochamy?”. Do końca życia Włodek pomagał Szymborskiej w remontach, pilnował mieszkania pod jej nieobecność i spędzał z nią wigilie.

Potrzeby i radości małpy

Największe chyba zaskoczenie to informacja o związku poetki z dziennikarzem, krytykiem i późniejszym dyrektorem Starego Teatru Janem Pawłem Gawlikiem. Bikont i Szczesna wspominały o nim jako „przyjacielu, z którym razem pracowała w redakcji »Życia Literackiego«”. Okazuje, że nie była to przyjaźń, tylko romans (Gawlik miał żonę i dziecko), i to trwający ponad dekadę, dłużej niż małżeństwo z Włodkiem.

Zaczyna się uroczo: od „Księgi życzeń i zażaleń”, do której Gawlik i Szymborska wpisywali wzajemne pretensje. Na przykład: „12 września 1955 odebrano mi pod pozorem pożyczki ołówek i pióro, pozostawiając bez środków do pisania – na szereg dni. Zapytuję, czy postępowanie takie jest zgodne z honorem obywatela Polski Ludowej i czy na takie chuligaństwo nie ma żadnego sposobu. Jestem pracownikiem państwowym, dotychczas niekaranym, cieszącym się życzliwością przełożonych i przychylnością władz. Pocho-dzenie robotnicze”.

Potem jest perwersyjnie. Gawlik występuje jako Małpierz, i to przebranie sprawia mu dziwną satysfakcję: „Tęsknię (...) do pokoju, w jakim odbywa się zawsze wielkie misterium metamorfozy i gdzie w tajemnicy przed ludźmi otrzymuję ogon, futerko i wyzwolony z tej całej konwencji, z powszechnego udawania, staję się nareszcie sobą z wszystkimi dobrodziejstwami swobodnego istnienia przy kimś, kto tak jak Ty rozumie wszystkie potrzeby i radości małpy”. W innym liście wspomina o byciu „drapanym i iskannym przez Panią”, a także o tym, jak dobrze jest „w aksamitnym fraczku spełniać różne tam takie polecenia swojej Pani”.

Szybko jednak okazuje się, że Gawlik był partnerem trudnym. Szokujący jest ton listu z 1956 r.: „[w Twoim pokoiku] jest mi najlejiej. (...) Oczywiście nie zawsze. Wtedy tylko, gdy Ty jesteś dobra i miła, co – jak sama wiesz zresztą – nie zdarza się tak często”. Dalej wylicza, co Szymborska ma robić i z kim się zadawać, powątpiewa w jej „rozumek”, a wreszcie grozi: „Żyję teraz jak dziki człowiek, a wiesz, co pierwotni ludzie robią z niewiernymi kobietami? Duszą je. Przypadkowy i sporadyczny wpływ cywilizacji, jakiemu tu ulegam, nie złagodzi z pewnością moich obyczajów, a więc – strzeż się. Nie znasz Kochana, ani dnia, ani godziny, w jakiej zjawię się, aby Cię ukarać lub wynagrodzić. Bądź więc grzeczna, bardzo grzeczna, pamiętaj – żadne kawy, żadne spacer – nic, co mogłoby stać się początkiem czegoś niedobrego. Bo ja, Wiśelko, żyję Tobą i byłoby bardzo niedobre, gdyby to była wiara bez pokrycia”.

Ciężki głuchy sen

Najważniejsza miłość w życiu Szymborskiej, czyli trwający dwadzieścia trzy lata związek z Kornelem Filipowiczem, została już wcześniej udokumentowana. ➔

→ „Znaki szczególne” przynoszą ściskający gardło opis umierania Filipowicza, u którego na początku 1990 r. wykryto zaawansowanego raka płuc.

Trzy tygodnie przed jego śmiercią Szyborska pisała do przyjaciółki: „Zarówno lekarze, jak i my wszyscy nie mówimy mu, oczywiście, co jest naprawdę, bo po co. Skoro nie ma nadziei, skoro przypadek jest nieoperacyjny i nie nadaje się do leczenia chemicznego itp., jedynym lekiem podtrzymującym chorego na siłach jest brak pewności”. Przyjaciół Kornela, Gizelę i Erwina Szancerów, zapewniała: „Ja oczywiście jestem przy nim i jestem – nie wiem, skąd mi się to bierze – wesola. Dopiero u siebie w czterech ścianach – ale to nieważne”.

Miesiąc po śmierci Filipowicza pisała do nich: „Jeszcze wstawał (co prawda przy mojej pomocy) do łazienki, jeszcze dzień wcześniej się ogolił, jeszcze rozmawiał, opowiadał mi swoje sny. Umarł we śnie, po prostu niedotlenione serce stanęło w pewnej chwili. A na mnie, właśnie o tej godzinie spadł jakiś ciężki głuchy sen, choć kilka razy w nocy wstawałam. No i nie trzymałam go za rękę w tej ostatniej chwili. (...) chyba do końca miał odrobinę nadziei, że to nie to. Ja oczywiście żyłam z jego wyrokiem śmierci przez 4 tygodnie i przez ten cały czas byłam wesolutka i pełna (wobec niego) dobrej myśli. Teraz dopiero płaczę. Straciłam największą miłość mojego życia”.

Śmierć Szyborskiej opisana jest mniej szczegółowo; nie dowiadujemy się nawet, na co zmarła. „Poetka niedomagała od listopada roku poprzedniego i nie było złudzeń, że wyzdrowieje” – pisze autorka. I cytuje profesora Janusza Stepińskiego, z którym Szyborska spędzała wakacje w Lubomierzu i który nieproszony odwiedził ją w szpitalu: „Poprosiła, bym jej obiecał, że więcej do niej nie przyjdę, bo nie chciała, żebym ją zapamiętał ze szpitala, wołała, żebym pamiętał ją

z Lubomierza, że spotkań u niej... Powiedziała też, że miała bardzo ciekawe życie, dużo przyjaciół – i że się kurczowo tego życia trzymać nie będzie”.

Sączenie jądów

Czas wreszcie napisać o wadach tej książki. Przede wszystkim podtytuł „Biografia wewnętrzna” okazuje się raczej hasłem marketingowym niż informacją o zawartości produktu. Na stronie 589 autorka uznaje wręcz porażkę swojej koncepcji: „jeden z rozmówców powiedział mi, że to, co najważniejsze w życiu Szyborskiej, jest w jej wierszach. I tylko tam. Skłonna jestem przyznać, że tak właśnie jest. (...) wewnętrzne życie Szyborskiej pozostaje dla mnie w dużym stopniu tajemnicą”. Wcześniej wielokrotnie napotykałyśmy podobne refleksje: „Życie prywatne Ichny jest dzisiaj trudną do rozwiązania zagadką”. Albo: „Nie wiem, czy udało mi się (...) zbudować wyrazisty, trójwymiarowy portret wewnętrzny”.

Zamiast zostawić czytelnikom miejsce na własne oceny, Gromek-Illg wdaje się w psychologiczne dywagacje. Czasami wątpliwej jakości: „Na podstawie tych listów można naszkicować portret młodej kobiety, która z jednej strony pragnie kontaktu, poddaje się namietności, z drugiej jednak – obawia się deklaracji i unika bliskości. Freudysta powiedziałby pewnie, że to zachowanie charakterystyczne dla dziewczyny zranionej czy zdradzonej przez ojca. Ichna, »opuszczona« przez ukochanego tatę w wieku trzynastu lat, idealnie pasuje do tego schematu. Strach przed utratą – nie pozwalający zaangażować się w związek – walczy z budzącymi się uczuciami”.

Inną wadą są powtórzenia, nawet na sąsiednich stronach. Że Szyborska była skryta, autorka pisze chyba kilkanaście razy. Nie rzadziej wspomina o prywatkach na Krupniczej. Najpierw dowiadujemy się, że były organizowane „często wbrew chęciom Adama Włodka, którego rozdokazywane męskie towarzystwo otaczające żonę wyraźnie irytowało”, a potem, że „radosny śmiech prześlicznej dziewczyny wywoływany wierszykami interesującego sąsiada najwyraźniej drażnił jej nie tak błyskotliwego męża, składając go do sączenia jądów”.

Rozdokazywane towarzystwo, sączenie jądów, ale też: swawolny żartowniś, entuzjastyczny preceptor, indywidua ludzkie, szalawiła i obieżyświat – takie zwroty po-

jawiają się w „Znakach szczególnych” często i chyba całkiem serio.

Potrzeba oplakania

Istnieje przekonanie, że autor biografii twórcy powinien część pracy poświęcić analizom jego dzieł. Ponieważ wymaga to rzadkiego talentu i wiedzy, są to zazwyczaj najmniej udane fragmenty. Świadoma tej pułapki, Joanna Gromek-Illg poezją zajmuje się rzadko: cytuje tylko te wiersze, których treść wprost odnosi się do omawianych zdarzeń czy postaci, i te, które są emblematyczne dla poszczególnych okresów twórczości. Niestety, do cytatów dołącza miniinterpretacje, które często dotyczą całości utworu – żeby więc zrozumieć, co się czyta, trzeba sięgnąć do oryginału.

Największym kłopotem „Znaków szczególnych” jest dopowiadanie oczywistego. Im mniej materiału źródłowego, tym więcej fragmentów typu: „Mimo strasznych okoliczności w czasie okupacji toczyło się życie towarzyskie. Nie można powiedzieć, że płynęło normalnie, ale młodzi ludzie, spragnieni przyjaźni, zabawy, miłości (...) spotykali się, by złapać choć trochę radości życia”; „To, co wydarzyło się w czasie II wojny światowej, było wielkim wstrząsem dla ludzkości, ale ani nie pierwszym, ani nie jedynym. Przemoc, okrucieństwo, cierpienie towarzyszą ludziom od zawsze”. Irytują parafrazy właśnie przytoczonych cytatów z listów. Na przykład: „»Wyszperalam (...) nieznaną książkę Prusa i studiuję ją z uwagą« (...) dowiadujemy się, że dziewczynka czytała Prusa i chyba go lubiła, w każdym razie studiowała z uwagą”. Gdyby uprzątnąć ten słowny styropian, „Znaki szczególne” straciłyby na objętości, ale zyskały na jakości.

Joanna Gromek-Illg nie była przyjaciółką Szyborskiej, ale znała ją jako żonę jej wydawcy, bywała z nią na kolacjach i wyjazdach. Uczciwie stwierdza: „przy zbieraniu materiału towarzyszyło mi uczucie bycia nie w porządku wobec osoby, którą znałam i bardzo ceniłam”. A w zakończeniu wyznaje: „gdzieś w głębi serca ukrywałam potrzebę oplakania Wiśławy, osoby, która była dla mnie bardzo ważna w dość nieoczywisty sposób. Ta książka jest więc moim pożegnaniem”.

Z potrzeby pożegnania i oplakania mogą powstać wybitne dzieła. Ale raczej nie wybitne biografie.

© KALINA BŁĄŻEJOWSKA



**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Stuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



LISA CARPENTER / WRITER PICTURES / BEW

Joan Didion

W odśrodkowym wirze

JERZY JARNIEWICZ

Joan Didion nie ocenia, to byłoby zbyt łatwe. Próbuje za to słuchać, patrzeć i zapisywać. W obserwowaną rzeczywistość wchodzi z zaangażowaniem. Jest kimś z zewnątrz, ale też częścią świata, który opisuje.

SĄ DZIEŁA, KTÓRE PRZYCHODZĄ DO NAS późno, ale nie poniewczasie. „Dryfując do Betlejem” Joan Didion, opublikowane pierwotnie w 1968 r., to jedno z nich. Epoka, której dotyczy, czyli lata 60. ubiegłego wieku, dawno wprawdzie minęła, jednak kiedy czyta się te szkice i reportaże, wciąż czuć ich gorący oddech, a mroczne sedno spraw, o których mówią, nie przestało nas nękać. Gdy ukazała się ta książka, dziś już kanoniczna, Joan Didion miała za sobą debiut prozatorski, „Rzekobieg”, a przed sobą ugruntowującą jej literacką renomę, znane z polskich przekładów po-

wieści „Graj jak się da”, „Modlitewnik” i „Demokracja”.

Dzięki tej książce nazwisko Didion związane jest z nurtem Nowego Dziennikarstwa. Jego twórcy zacierali rozróżnienie między faktem a fikcją, wprowadzając do tekstu autora, eksponując zarazem rządzące tekstem mechanizmy pisarskie. Dokonywali więc tego, co za kilka lat zrobi dla historiografii Hayden White, wykazując, że opowieść historyka, czyli po prostu: historia, jest literackim artefaktem i ma narracyjną strukturę. W takim samym stopniu literaturą, dziełem fikcji i wyobraźni, jest dziennikarstwo,

bez względu na to, jak bardzo polega na faktach.

„Dryfując do Betlejem” wpisuje się w ten nurt, obok znanych, a powstałych w tym samym czasie książek, takich jak „Z zimną krwią” (1965) Trumana Capote’a, „Aniołowie Piekła” (1967) Huntera S. Thompsona, „Armie nocy” (1968) Normana Mailera (ze znaczącym podtytułem „Historia jako powieść, powieść jako historia”), będące relacją z marszu na Pentagon w 1967 r., czy wreszcie „Próba kwasu w elektrycznej oranzadzie” (1968) Toma Wolfe’a, obraz kultury psychodelicznej, którą autor mógł obserwować w hippisowskiej komunie Kena Keseya. Nowe Dziennikarstwo, otwierając drogę wielu znakomitym twórcom *non-fiction*, również w Polsce (choćby Ryszardowi Kapuścińskiemu), było odpowiedzią na stagnację ówczesnego dziennikarstwa, ale też reakcją na kryzys społeczny i polityczny świata, dla którego próbowało znaleźć adekwatny język.

Apokaliptyczna godzina

Uznajmy, że kryzys jest także kluczem do pisarstwa Joan Didion. Nie bez powodu na motto swojej pierwszej „dziennikarskiej” ➔

→ książki obrała wiersz „Drugie przyjście” W.B. Yeatsa. Irlandzki poeta pisał go w 1919 r., przerażony ogromem powojennych zniszczeń i wieściami o rewolucyjnej zawierusze we wschodniej i środkowej Europie. W wizji poety zachodnia cywilizacja po dwóch tysiącach lat stanęła u progu katastrofy, a milionowe masy, pobudzone ideą przeobrażenia świata, przybrały postać świętojanowej bestii, o człowieczej głowie i lwim cielsku, pełną do Betlejem, by tam rozpocząć nową, barbarzyńską erę.

Metaforą rozpadającego się świata, która, jak wyznaje Didion, od lat odzywa się w jej „uchu wewnętrznym, jakby wszczepiono ją tam operacyjnie”, jest w wierszu Yeatsa obraz lotu sokoła. Sokół, zataczając coraz szersze kręgi, zrywa łączącą go z sokolnikiem więź, dopowiedzmy: więź hierarchiczną, podporządkowany jest bowiem stojącemu w środku koła myśliwemu. Oswobadza się, ale jego lot staje się w wierszu symbolem świata chaosu i anarchii, w którym wszystko jest „w odśrodkowym wirze”.

Diagnoza poety nie jest tu oryginalna; kryzys współczesności jest konsekwencją zaniku punktu centralnego, który w wymiarze religijnym oznaczać może Boga, w filozoficznym prawdę, a w politycznym tron. W tej apokaliptycznej godzinie, pisze dalej Yeats, „najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych / kipi żarliwa i porywczą moc” (cytuje w przekładzie Stanisława Barańczaka). Siłą sprawczą, dzięki swojej żarliwej pasji, obdarzeni są więc ci, którzy na to nie zasługują; ci zaś, którzy mieliby reprezentować cywilizacyjne dziedzictwo, tracą przekonanie o swojej słuszności. Nietzscheański trop jest tu wartościowany odwrotnie: pasja jako źródło działania przeciwstawiona zostaje niewspomagającej życia, bezwładnej refleksji.

Yeats, flirtujący z okultyzmem, wierzył, że ma dostęp do profetycznych mocy, dlatego nie miał wątpliwości, że świat dzieli się na „najgorszych” i „najlepszych”, tak jak nie wątpił, że on sam może wyrokować, kto do tych „najgorszych” należy (emancypujące się, wykorzenione masy), bo co do tego, że wśród „najlepszych” plasował siebie, nie ma chyba sporu. Swobodny lot sokoła, w którym widział jedynie emblemat anarchii, miał nas niepokoić – mniej on raczej wiąże się z chwilą długo oczekiwaną wolności. Didion przywołała ten słynny wiersz, któ-

rego obrazy nawiedzały jej wyobraźnię, choć sama, jak zobaczymy, byłaby chyba daleko od reprezentowanej przez poetę postawy.

Dzieci z Haight-Ashbury

„Dryfując do Betlejem” to tytuł nie tylko zbioru, ale też najważniejszego w tym zbiorze reportażu, który powstał po wizycie pisarki w hippisowskiej dzielnicy San Francisco, Haight-Ashbury, późną wiosną 1967 r. Nie dzieci Ery Wodnika z kwiatami we włosach spotyka tu Didion, ale ludzi zagubionych, poturbowanych i otepiałych, patrzących na świat z groźną naiwnością, wiodących życie wolne od odpowiedzialności, dryfujących ku niechybnej katastrofie. Bo że katastrofa nadejdzie, wiemy – Didion przywoła ją zresztą w swojej kolejnej książce, „Biały album”, w której opowie o spotkaniu z Lindą Kasabian z sekty Mansona.

W San Francisco pisarka dociera do znanych postaci kalifornijskiej kontrkultury, np. do lidera Diggersów, anarchistycznego ugrupowania rozdającego darmowe posiłki i leki. Ale dreszcz prawdziwej zgrozy wzbudzają jej rozmowy z nastoletnimi „hippissami”, którzy, często z błahych powodów, uciekli z domów rodzinnych, w Haight-Ashbury wpadli w ręce fałszywych proroków i stręczycieli, pogrążyli się w nałogu, a swoje kilkuletnie dzieci zaczęli karmić kwasem.

Zgroza, lecz Didion nie ocenia, to byłoby zbyt łatwe; próbuje za to słuchać, patrzeć i zapisywać. Jest przy tym obserwatorką, która w obserwowaną rzeczywistość wchodzi z zaangażowaniem i do niej przylega. Jest kimś z zewnątrz, ale też częścią świata, który opisuje, dlatego jej opisy są tak konkretne, zmysłowe, „pryskórne”. Buduje ciągi zdań współrzędnych, połączonych najprostszym spójnikiem „i”, nie tylko dlatego, że światu brak hierarchii, ale i z tego powodu, że to najbardziej adekwatny sposób zapisu prowadzi doznań i niepokładanych, równoczesnych komunikatów, jakie śle nam rzeczywistość. Język jej prozy, klarowny, precyzyjny, lecz napięty do granic, może doskwierać, bo Didion pisze całą sobą: „Chyba nigdy nie chorowałam tak ciężko, jak podczas pracy nad »Dryfując do Betlejem«; ból sprawiał, że w nocy nie spałam, więc przez dwadzieścia, czasem dwadzieścia jeden godzin na dobę piłam dżin z gorącą wodą, żeby przytłumić dolegliwości,

po czym zażywałam dexedrine, żeby osłabić działanie dżinu, i pisałam”.

A pisała wbrew dominującym opiniom, jak przystało na kogoś, kto widział w sobie „kobietę, która od jakiegoś czasu czuje się radykalnie oddzielona od większości powszechnie przyjmowanych idei, a po drodze straciła resztkę wiary w umowę społeczną i wielki cel ludzkich wysiłków”. Haight-Ashbury w 1967 r. jest dla Didion wszystkim, tylko nie tym, co głosił obiegowy mit ziemi obiecanej, rozpowszechniany przez media, które, jak na ironię, nazwały ten czas „latem miłości”.

Łatwo byłoby wrzucić tutaj jakąś literacką analogię i powiedzieć, że Didion trafia do jednego z kręgów dantejskiego piekła. Jest ona jednak pisarką nieufną wobec wielkich, abstrakcyjnych słów, nie napisze ani o piekle, ani o kloace. Cytuje wprawdzie Yeatsa, ale jej reportaż sprowadza nas na poziom wiarygodnego konkretnego i tego, co bezpośrednio doświadczane. Yeatsowski rozpad ma u niej imiona i twarze ludzi, z którymi Didion rozmawia.

W swoich rozmówcach, dzieciach z Haight-Ashbury, widzi efekt porażki, jaką poniosła kultura nieumiejąca wpoić młodym pokoleniom poczucia przynależności. Młodzi krążą, jak sokół bez sokolnika, „coraz szerszą spiralą”, uosabiając bezdomność i wykorzenienie, jakby świat istniał bez historii, a oni nie mieli „kuzynów i babek ciotecznych”. Żyjąc w społecznej próżni, którą zgotowało im pokolenie ojców, próbują stworzyć nową społeczność, idealizmu im bowiem odmówić nie można. Brakuje im jednak znajomości reguł gry, brakuje im też języka, w tym bardzo podstawowym sensie umiejętności wyrażania uczuć i nazywania problemów, dlatego posługują się obiegowymi frazesami. To „armia dzieci w oczekiwaniu na właściwe słowo”, napisze Didion, powtarzając to, co dla niej, uważnej czytelniczki Orwella, nie ulega wątpliwości – że od stopnia opanowania języka zależy zdolność naszego myślenia.

„Wiem o strachu to i owo”

Didionowską relację z obserwowanym światem, jej sposób angażowania się, imperatyw rozumienia zamiast serwowania ocen doskonale ilustruje inny, krótszy tekst z tej książki, „Towarzysz Laski”. To sprawozdanie ze spotkania pisarki z sekretarzem generalnym całkowicie marginalnej partii stalinowsko-maoistow-

skiej. Didion zapisuje tu nie tyle, co jej rozmówca mówi, ile jak się wypowiada: konkurencyjna Komunistyczna Partia Ameryki to „rewizjonistyczna klika” i „pacholki burżuazji”, a amerykańscy „robotnicy” pewnego dnia „powstaną” w jednomyślnym wysiłku. Jej wyczulenie na język, przemieniony w klisze i znaczeniowo pusty, ujawnia się w spotkaniach z rozmówcami takimi jak Laski czy młodociani hippisi, których uproszczone wyobrażenia o świecie zdradzają potrzebę okopania się w językowych formułach krążących w środowisku. Wyda się, jakby w powtarzaniu zaklęć znajdowali to, co w ich czasach zniknęło bezpowrotnie: nieruchomą oś ruchomego świata.

Didion słucha więc Laskiego i zauważa, że „nie sposób wyobrazić sobie, jak on je czy śpi”. Kiedy wyznaje, że nie rewolucja ją interesuje, ale rewolucjonista, nie jesteśmy zaskoczeni. Słowa te można bowiem uznać za zasadę jej reporterskich działań. Nie spotyka się ona z ideami, lecz z konkretnym człowiekiem, a to znaczy także, że spotyka się z detalami, które tego człowieka współtworzą, jak choćby ten blachy szczegół, że podczas rozmowy Laski, trzymając w dłoniach czerwoną książeczkę Mao, nie przestaje ustawiać jej równolegle do krawędzi stołu, raz w pionie, raz w poziomie. Zaledwie jedno zdanie, a dostajemy portret mówiący więcej i trafniej niż długie, psychologizujące opisy. Na tym się jednak nie kończy, Didion dostrzega bowiem, że za zwrotem Laskiego ku skrajnym i przegranym sprawom kryje się jego „dojmujące poczucie strachu”.

Po chwili stajemy się świadkami bardzo didionowskiego momentu: pisarka wychodzi z roli przezroczystej obserwatorki i ujawnia się w tekście, pisząc kto wie, czy nie najważniejsze tu zdanie: „sama wiem o strachu to i owo i szanuję skomplikowane systemy, za pomocą których pewnym ludziom udaje się wypełnić pustkę, szanuję każde »opium dla ludu«, zarówno to łatwo dostępne, jak alkohol czy heroina albo rozwiązłość, jak i to, które kosztuje wiele wysiłku, jak wiara w Boga czy Historię”.

W tym miejscu szkic, który mógł się wydawać politycznym, zamienia się w coś istotniejszego, w namysł nad człowiekiem, który swoim działaniem próbuje uporać się z poczuciem pustki. Nic dziwnego, że Didion kończy czymś, co z pewnością nie jest ćwiczeniem z iro-

Twórcy Nowego
Dziennikarstwa
**zacierali rozróżnienie
między faktem a fikcją,**
wprowadzając do tekstu
autora, eksponując
zarazem rządzące tekstem
mechanizmy pisarskie.

nii: „Świat Laskiego to mały, aczkolwiek ryzykowny triumf bytu nad nicością”. Wróćmy do wiersza z motta i przyjmijmy, że w fundamentalizmie amerykańskiego komunisty odzywa się „zarliwa i porywcza moc” przypisana przez Yeatsa „najgorszym” (Laski jest jednak figurą śmieszną); tymczasem „najlepsi”, a to może znaczyć: najwrażliwsi i najmniej pewni siebie, pozwalają nicości zwyciężyć nad bytem.

Walka o oddech

Wiersza Yeatsa nie lubię, drażni mnie jego wyższościowy, apodyktyczny ton, drażni konserwatyzm, pod którym skrywa się lęk przed utratą przywilejów. Jego rozpoznanie dotyczące aksjologicznego centrum, które traci władzę, gdy dookoły świat, jak sokół, wiruje w odśrodkowym wirze, wydaje się trafne. A jednak bestia pełznąca do Betlejem, zapowiadająca barbarzyńską epokę mroku, jest zbyt ciasnym schematem, by tłumaczyć nim społeczne zawirowania czasów powojennych.

Didion zacytowała wprawdzie wiersz w motcie swojej książki, ale tuż pod nim dała drugie motto: wyznanie Peggy Lee, amerykańskiej piosenkarki, że odwagi uczyła się „od Buddy, Jezusa, Lincolna, Einsteina i Cary’ego Granta”. Nie wiem, czy możemy czytać wizję Yeatsa w odezwaniu od tego cytatu. Czy Peggy Lee, która ma tu ostatnie słowo, nie odbiera czasem znaczenia wierszowi? Czy, przeciwnie, jej słowa mają być dowodem trafności jego wizji: obrazem świata i umysłów, w których nie ma hierarchicznego ładu, a wielcy prorocy wymieniani są w jednym ciągu z filmowym amantem jako wzorce etyczne i osobowościowe? Jakkolwiek ważny był dla Didion Yeats ze swoją bestią, Peggy Lee musiała podciąć

patos jego proroctwa. Jest więc dla Didion równie istotna, choć należy do innego niż Yeats obszaru kultury.

Do tego obszaru należy też np. Joan Baez, o której Didion pisze w jednym ze szkiców, opowiadając o założonym przez nią Instytucie Non-Violence i o walce, jaką musi stoczyć z niechętnymi jej sąsiadami, zaniepokojonymi o ceny swoich nieruchomości. Do tego obszaru należy również John Wayne z kolejnego szkicu Didion, żywy mīt, bohater westernów, uosabiający wiecznie niespełnioną tęsknotę za światem prostych, stałych prawd i sentymentów.

Świat się kruszy. Didion niemal cieleśnie tego doświadcza, stając się czułym instrumentem rejestrującym ten proces: pisze o kobiecie, która, fingując wypadek samochodowy, morduje męża, czy też o młodych parach, które za osiem dolarów biorą błyskawiczny ślub w Las Vegas. „Aby żyć, musimy opowiadać sobie historie”, napisze w swojej kolejnej książce. Tymczasem ze szkiców w „Dryfując do Betlejem” wynika, że historie te często nie dają się posklejać. Żeby żyć, trzeba opowiadać, zgoda, ale co zrobić, kiedy to, czego doświadczamy, jest tak niespójne, że uniemożliwia nam tworzenie narracji? Narracje zbudowane są bowiem na założeniu, że opisywane zdarzenia mają jakiś sens. Tu zamiast sensu odzywa się tymczasem poczucie pustki.

„Pisanie jak dotąd nie pomogło mi zrozumieć, co to wszystko znaczy”, przyzna Didion w ostatnim zdaniu „Białego albumu”. Kapitulacja znakomitej pisarki? Raczej dowód odpowiedzialności – dzieli się z nami tym, co przeżyła i za co może odpowiadać, nie próbując nakładać na to czapy interpretacyjnych formuł. Choć piarstwo Didion to świadectwo niemożności budowania spójnych narracji o współczesnym, rozproszonym świecie, Didion nie przestaje pisać. Nie przestaje ścierać się z formą, bo jest dla niej, powtórzę za poetą, walką o oddech: konfrontacją z własnym, niepoddającym się schematyzacji doświadczeniem.

© JERZY JARNIEWICZ



Joan Didion
DRYFUJĄC DO BETLEJEM,
przełożył
Mikołaj Denderski,
Wydawnictwo Cyfranka,
Warszawa 2021

Teatr jest wahaniem

DARIUSZ KOSIŃSKI

„Bieguni” Michała Zadary, jak książka Olgi Tokarczuk, kończą się sceną wyjścia z hali odlotów, ku kolejnej podróży. Dokąd jednak wyjść, skoro na zewnątrz panuje bezruch coraz bardziej życzliwy dla władców tego świata?

WIADOMO, ŻE TO KONIEC. Po krótkiej chwili ciszy aktorki i aktorzy wracają na scenę. Podchodzą blisko, do ukłonów. Mam odruch, żeby wstać i bić im brawo. Nie zawsze czuję, że ten teatralny zwyczaj jest najlepszym sposobem podziękowania. Czasem oklaski wydają mi się wręcz zgrzytem. Ale nie dziś. Bywa bowiem i tak, że w teatrze doznaje się uniesienia, które nie pozwala usiedzieć na miejscu nie dlatego, że taki zwyczaj, ale dlatego, że inaczej się po prostu nie da. Tak jest też teraz. A jednak siedzę i nie biję braw. Ciało z wyprzedzeniem wie, że oklaski przed laptopem to groteskowa demonstracja dla nikogo. Żadna energia stąd nie przeniesie się przez kanał VOD tam.

Na widowni Teatru Powszechnego ktoś jednak klaszcze. Pewnie ludzie z ekipy realizacyjnej, pracownicy teatru, może ktoś jeszcze. Robią wszystko, żeby te brawa były donośne. Ale żadnego uwolnienia nie będzie. Aktorki i aktorzy kłaniają się smutno i jakoś niepewnie. Wychodzą. A ja po raz pierwszy od początku pandemii bardzo mocno i bezpośrednio czuję żal, że nie jestem teraz z nimi w teatrze.

Na skróty

Nad „Biegunami” Olgi Tokarczuk Michał Zadara pracował wyjątkowo długo jak na siebie. Od jesieni 2019 r. wspólnie z Barbarą Wysocką reżyser wykładał i reżyserował gościnnie na wydziale teatralnym swojej macierzystej uczelni Swarthmore College w Filadelfii (ukończył ją w 1999 r.). Tam właśnie, wiosną 2020 r., rozpoczęli oboje pracę nad adaptacją sceniczną powieści noblistki. Polską premierę współprodukować miały krakowska Łaźnia Nowa (jako organizator festiwalu Boska Komedia) i warszawski Teatr Powszechny. Dzięki wyjazdowi do Sta-

nów Zadara – choć obciążony pracą pedagogiczną i przygotowaniem uniwersyteckich przedstawień – nie inscenizował niczego innego, co być może sprawiło, że „Bieguni” nie noszą znamion pewnego pośpiechu i gonitwy pomysłów, charakterystycznych dla wielu prac reżysera.

Od pierwszych przedstawień Michała Zadary, jakie widziałem, jestem pod urokiem swoistej lekkości, odróżniającej go od wielu polskich reżyserów, którzy na różne sposoby usiłują wytworzyć efekt głębi i nadać swoim realizacjom wagę niemal ostatecznych rozstrzygnięć. Zadara wydaje się pracować o wiele szybciej, zręczniejszy, by nie rzec – sprytniejszy. To zarówno zaleta, jak i (dla niektórych niewybaczalna) słabość. Niekiedy rzeczywiście można odnieść wrażenie, że zbyt ulega przyjemności ślizgania się po powierzchni, a figury, które przy tym wykręca, tak go wciągają, że traci krytyczny dystans do własnych pomysłów.

„Bieguni” zachowują wszystkie zalety tej efektownej lekkości, a nie mają jej wad. Dynamika dramaturgii, zróżnicowane tempa, wielość i zmienność rytmów i stylistyk współbrzmia z tematami świata w podróży i nurtującego go lęku przed zatrzymaniem. W świetle tej adaptacji staje się jasne, że słynna książka Tokarczuk ma kompozycję współczesnego tekstu dla teatru. Jej zasadą jest przemyślny montaż pozornie oderwanych od siebie całości, na dodatek należących do bardzo różnych gatunków literackich: eseju, wspomnienia, opowiadania, anegdoty... Niezależnie od ich autonomicznych wartości i znaczeń pełny sens każdej ujawnia się dopiero w relacji z innymi. Rodzi się nie z literatury, ale z dramaturgii.

Adaptacja Zadary i Wysockiej znakomicie to wydobyla. Tak znakomicie, że gdy po obejrzeniu przedstawienia zajrza-



łem do książki, miałem wrażenie, że jest nieznośnie przegadana. Gdy niedawno rozmawialiśmy o książkach Olgi Tokarczuk, mój syn powiedział, że czytając je ma nieustannie wrażenie, że pod spodem są znakomite historie, ale w dotarciu do nich strasznie przeszkadza nadmiar letnich słów. Przedstawieniu Zadary udało się przebić przez ten ciepły deszcz i powołać teatr, który potrafi uzyskać szybciej i skuteczniej rezultaty mocniejsze niż literatura.

Było to możliwe nie tylko dzięki dramaturgicznemu doświadczeniu i adaptacyjnemu talentowi, którego reżyser „Kupca” i „Wielkiego Gatsby’ego” dowiódł wielokrotnie. Wielką rolę odegrały konceptualne zdolności inscenizacyjne Zadary oraz właściwy mu dar scenicznej syntezy i metonimii. Niekiedy wystarczy jedno celnie wybrane i przywołane w odpowiednim momencie zdanie, jeden obraz, lekko zaznaczona aluzja (jak wyświetlenie strony z hasłem „Bieguni” z Wikipedii, której w książce poświęcony jest osobny fragment).

Wrzucone w przestrzeń zniszczonej poczekalni zbudowanej przez Roberta Rumasa tak, że może bez trudu zamienić się w halę odlotów wielkiego lotniska, pokój umierającego i teatr anatomiczny, te powidoki, fragmenty i echa rozblaskują najintensywniejszym światłem. Także tam, gdzie z tekstu wyciągnięte są większe ca-



Próba spektaklu „Bieguni” w Teatrze Powszechnym w Warszawie, grudzień 2020 r.

KRZYSZTOF BIELIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

łostki, reżyser komponuje ich sceniczne wersje z obrazów i sytuacji pozornie prostych, ale narzucających się własną, teatralną mocą. Poszczególne składniki odmierza z precyzją, dawkuje dowcip i wzruszenie, refleksję i zabawę, teatr szerokiego gestu i teatr szeptu w taki sposób, że tworzy całość nowocześnie atrakcyjną, która nie nuży ani przez chwilę, a zarazem daje do myślenia bez konieczności sięgania po tom uczonych przypisów.

W tej zmienności świetnie czują się aktorzy i aktorki Powszechnego, które i którzy są w znakomitej formie. Mam wręcz wrażenie, że po tych kilku już latach mierzenia się z bardzo różnorodnymi stylami, estetykami i wyzwaniem zespołu dyrektora Pawła Łysaka potrafi bez trudu, w obrębie jednego przedstawienia, grać harmonijnie na różnych rejestrach. Nie negując osiągnięć pozostałych, pozwolę sobie powiedzieć, że w „Biegunach” tę wierność zmienności najpełniej widać w znakomitej partii, jaką rozgrywa Arkadiusz Brykalski, który stał się wręcz uosobieniem obecnego stylu tej sceny.

Kiwaj się, cały czas się kiwaj

Cała ta dramaturgiczna, reżyserska i aktorska dynamika działa paradoksalnie na rzecz wzmocnienia wątku znieruchomienia. Tworząc konstrukcję w ogólnych zarysach analogiczną do literackiej, Zadura i Wysocka z książki o podróżach wydoby-

wają na pierwszy plan opowieści o znieruchomieniu.

Najważniejszą figurą jest tu preparat anatomiczny – ciało, którego zmienność zostaje zahamowana nawet w tak radykalnie nieuchronnym przejawie, jakim jest rozkład. Zanurzone w formalinie zdeformowane płody, kończyny (noga Filipa Verheyena) i narządy (serce Chopina). Zmumifikowane ciało Angela Solimana wystawione w cesarskim gabinecie osobliwości w Wiedniu mimo błagań i protestów córki. Kolekcja słynnych preparatów Frederika Ruyscha kupiona przez cara i częściowo zniszczona w czasie podróży morskiej przez zbuntowanych marynarzy. Te przykłady i okazy osobliwości, jaką jest znieruchomienie, stopniowo narastają, by zdominować drugą część spektaklu.

Spod zapętlonych powidoków i odgłosów podróży, spod pełnego ruchu spektaklu świata wynurza się, nawiedzający nie tylko tę scenę, obraz teatru anatomicznego. Jego centrum wypełnia pozbawione znaczenia ciało, którego żywe niegdyś części zostają oddzielone od całości, jaką tworzyły, i od życia, którego były chwilowymi formami. Preparaty anatomiczne, zachowane w doskonałym stanie dzięki tajemniczemu formułom chemicznym i wirtuozerii swoich twórców, stają się demonicznymi figurami wieczności niemieszczącej się w dualizmie nieba i piekła.

Nie wydaje się przypadkiem, że Zadura – także przez przemysłne ustawianie kadrów przygotowanych na potrzeby transmisji online – wzmacnia estetyczny naddatek właściwy tym arcydziełom niezycia. Oto wieczność, która jest dziełem sztuki, jej darem – znieruchomienie w doskonałości formy, do której już niczego nie można dodać, nic w niej nie można zmienić.

Co najmniej od czasów Witkacego wiadomo, że w teatrze osiągnięcie takiej doskonałej czystości formy nie jest możliwe. Nawet jeśli uda się do niej zbliżyć i zachwyceni widzowie mówią o „wspaniałych obrazach” i „mistrzowskich kompozycjach”, to nie jest im dana trwałość preparatu. Teatr nie jest gabinetem osobliwości, nawet jeśli osobliwość stanowi

jego rdzeń. Teatr – to kolejny banał, który w kontekście scenicznych „Biegunów” odzyskuje znaczenie – jest sztuką żywą. Jego podstawową cechą stanowi zmienność, w tym także rozkład i rozpad.

Teatr nowożytny istnieje i rozwija się w tym samym polu napięć, które stanowi rdzeń książki Tokarczuk i spektaklu Zadura: między ruchem wydanym na przypadek a zatrzymaniem w doskonałości, między igraniem a preparatem. Być może dlatego kompozycja, która jako literatura mnie nie przekonywała, jako przedstawienie uderza z wielką siłą. Literatura ukrywa swoją kruchość pod postacią tekstu, który nie znika, gdy odwrócę wzrok. Teatru nie ma w chwili, gdy się staje. Teatr nie ilustruje opowieściami i obrazami tematu wahania między zmiennością i trwałością. Teatr jest tym wahaniami.

„Kiwaj się, cały czas się kiwaj” – mówi biegunka z moskiewskiego metra do Anuski, gdy zostają zatrzymane przez milicję. Przykazaniem biegunów, by nigdy nie popadać w bezruch, kończy się pierwsza część przedstawienia. To przykazanie teatru i dla teatru. Kiwaj się – samotny i zamknięty. Kiwaj – nawet jeśli z każdym tygodniem coraz bardziej wygląda to jak objaw choroby sierocy.

Śmierć z przyrodą oniemiała

Premierę „Biegunów” zapowiadano na grudzień ubiegłego roku. Miała być jednym z głównych wydarzeń krakowskiej Boskiej Komedii. Ostatecznie pokaz odbył się w wersji online jako prezentacja *work in progress*. Premierę teatralną gotowego spektaklu przesunięto na koniec stycznia, być może w nadziei, że do tego czasu teatry zostaną otwarte. Nadzieje okazały się płonne.

Premiera odbyła się w sobotę 30 stycznia, dokładnie dzień po tym, jak minister zdrowia długo i zawile tłumaczył, dlaczego rząd nie otwiera większości przedsiębiorstw i instytucji zamkniętych przez pandemię w kleszczach narodowego lockdownu. Na koniec i na pocieszenie poinformował, że otwarte będą galerie. Pewnie przez skojarzenie z handlowymi komuś się przypominało, że są jeszcze takie ze sztuką, więc otwarto jedno i drugie.

O teatrach minister nawet się nie zająknął. Pewnie nie bywa. Podobnie zresztą jak koledzy z ministerstwa kultury, którym najwyraźniej też teatru na żywo nie brakuje. Ich preferencje są jasne, więc ➔

→ nie postanie im w głowach, by zapytać, dlaczego bez żadnej kontroli i dystansu ludzie mogą gromadzić się w kościołach, a nie mogą się na widowni teatralnej nawet w ścisłym reżimie znany z jesieni (po dwa miejsca wolne obok każdego zajętego).

Nie ukrywam: pominięcie milczeniem przedłużonego bez racjonalnego uzasadnienia zamknięcia teatrów napęliło mnie ponurymi myślami. Mieszkam wśród ludzi, którzy nie odczuwają żadnej potrzeby teatru, więc nie ulegam przekonaniu o jego oczywistej wadze, jakie podtrzymuje się w niektórych wielkomiejskich bańkach. Ale nie myślałem, że jest aż tak źle. Że nikt nie zapyta, nikt nie weźmie pod uwagę, nikt nie będzie łaskaw nawet napomknąć.

Bieguni przypominają, że bezruch oznacza poddanie się władzy pana tego świata, Demiurga, który tworzy kształty, utrzymuje porządek i kusi bezpieczeństwem, by uniemożliwić wyjście poza granice swojej władzy. „Bieguni” w Powszechnym, tak jak książka, kończą się sceną wyjścia z hali odlotów, ku kolejnej podróży. Ale fragment, który w tekście brzmi jak wypowiedziana mimo wszystko nadzieja, Barbara Wysocka mówi ze ściśniętym gardłem i łzami w oczach. Dokąd wyjść z hali odlotów, skoro na zewnątrz niepodzielnie panuje bezruch coraz bardziej życzliwy dla władców tego świata? Jak i gdzie mam się ruszyć, skoro nie mogę wyjść do szatni, wziąć kurtki i wyjść – tak jak lubię – sam w wieczorną Pragę, by przeciąć parking przy Stadionie Narodowym i wsiąść do SKM-ki na Centralny, a potem w nocne TLK na południe?

Siedzę przed ekranem nieruchomo. Po krótkiej chwili ciszy aktorki i aktorzy wracają na scenę. Podchodzą blisko, do ukłonnów. Przez chwilę mam odruch, by – jak zrobiłbym w teatrze – wstać i bić im brawo. Nie robię tego. Aktorki i aktorzy kłaniają się smutno i jakoś niepewnie. Wychodzą. A ja czuję tak mocno jak jeszcze przez ten rok nie czułem, że brakuje mi żywego teatru. Ruchu, który jest spoczynkiem. Kształtu, który jest zmiennością. Ucieczki, która powraca. *Quando coeli movendi sunt et terra.*

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Kropka i trzykropek

ANITA PIOTROWSKA

„Palm Springs”, krotocwilny i sprośny film z serii „co by było, gdyby w nieskończoność dało się wchodzić do tej samej rzeki”, nie jest wcale tak błahy, jak mogłoby się wydawać.

UWIEZIENIE W PĘTLI CZASU TO EKSCYTUJĄCY chwyt fabularny, choć dla samych uwięzionych doświadczanie raczej męczące. Przekonał się o tym bohater kultowego „Dnia świstaka” Harolda Ramisa, dziewczyna z serialu „Russian Doll”, a już ponad pół wieku temu Ijon Tichy z „Dzienników gwiazdowych” Stanisława Lema (niedawno powstał z tego krótkometrażowy film „Pokój” Krzysztofa Jankowskiego – do obejrzenia w internecie).

O tym, jak łatwo z „dnia świstaka” osunąć się w „dzień świra”, przekonaliśmy się chyba wszyscy podczas wielomiesięcznych lockdownów. Lecz zdarzają się przecież w życiu momenty, kiedy własnoręcznie chcielibyśmy ów czas zapętlić, odtwarzać go na nieustannym powtórzeniu, w duchu faustowskiego „chwilo, trwaj”. Albo przeżywać kolejne jego warianty bez żadnych zobowiązań i ciągów dalszych, jak gdyby – co głosi plakat do filmu „Palm Springs” – jutra miało nie być.

Taką datą, w życiu i na ekranie, bywa dzień weselny. Od niego zaczyna się i na nim kończy film Maksa Barbakowa, aczkolwiek to nie państwo młodzi będą przerabiać ów słoneczny kalifornijski 9 listopada w rozmaitych jego odsłonach. Aż do upadłego i nawet jeszcze dłużej. Dlatego porzućcie wszelką nadzieję ci, którzy po niezależnym debiucie Amerykanina oczekiwaliście sterylnej komedii romantycznej. Oraz ci, którzy po tym poważnym wstępie spodziewaliby się filmowego eseju na temat względności czasu.

Już pierwsza scena – niby erotyczna, ale jak każda kolejna tego typu w „Palm Springs” będąca swoją własną kompromitacją – ustawia zwiariowany ton tego filmu. Młody reżyser od początku dworuje sobie z oczekiwań widza, i tego „na- iwnego”, i tego wymagającego. Sarah

(Cristin Milioti) i Nyles (Andy Samberg) spotykają się na weselu siostry Sarah, acz łatwo przewidzieć, że owe „nitki w pięknym gobelinie”, bo tak określa się w ślubnej przemowie związku międzyludzkie, muszą się wcześniej czy później poplątać lub mocno zmechacić. Zresztą Sarah i Nyles zmechacili się już dawno temu, toteż wyraźnie nie pasują do tej wykwintnej z pozoru imprezy. Za chwilę wszystko wymknie się spod kontroli, choć może to raczej Nyles – w nieprzepisowej hawajskiej koszuli i kąpielówkach – narzuci weselnikom własną, dość osobliwą choreografię. Następnego ranka para głównych bohaterów będzie znów szykować się na wesele, a potem kolejny raz i kolejny.

Każdy nowy rozdział czy podrozdział scenarzysty Andy Siara rozpoczyna gwałtownym przebudzeniem bohaterów, które w konsekwencji nie ma znaczenia jedynie fizycznego. Co prawda na pierwszym planie absurd goni absurd: Nyles w trakcie przyjęcia zostaje zaatakowany przez groźnego łucznika (znany z „Whiplasha” J.K. Simmons), panna młoda tuż przed ślubem przypadkiem wybija sobie przednie zęby, w torcie weselnym zostaje znaleziona bomba, a zakochani pod wpływem grzybków halucynogennych widzą dinozaury.

W tym świecie na niby wszystko traci znaczenie i nawet sens nie ma sensu – chciałoby się zacytować dziwnego Kota z Cheshire. Ale nie jest przypadkiem, że to Nyles, a za nim Sarah po wejściu do tajemniczej groty na pustyni zostają wkręceni w czasoprzestrzenny wir. To im zostaje dana szansa, ażeby za każdym razem, kiedy zapowiada się piękne wesele, wraz z każdym przebudzeniem i nowym-starym rozdziałem mogli zobaczyć odrobinę więcej. I żeby wreszcie czegoś się dowiedzieli o sobie. Jakby z każdym powtórzonym dniem



JESSICA PEREZ / MATERIAŁY PRASOWE

Cristin Milioti jako Sarah i Andy Samberg jako Nyles w filmie „Palm Springs”

nieznośna lekkość bytu zwielokrotniała się, a zarazem niepostrzeżenie nabierała ciężaru.

Podczas gdy ona od samego początku pragnie wypisać się z tego zapętlonego dnia, on coraz lepiej czuje się w wirtualnej pułapce i uparcie chciałby w niej pozostać. Najlepiej z Sarah i na zawsze. W uproszczeniu rzecz można, że ona pragnie razem z nim dotknąć w końcu ziemi, podczas gdy on niczym ognia boi się wspólnego życia w realu. Sam reżyser wydaje się trochę takim Nylesem: śmiesz, tumani, sprawia, że wszystko staje się tutaj „ulotne jak ulotka”, bo każda ważka myśl zostaje przerobiona na zgrywę. Dodajmy: czasami grubą i niesmaczną, jakkolwiek na tym też polega wszeteczny urok tego filmu.

„Palm Springs” swoją paletę barwną czerpie wprost z cukierkowej ikonografii Kalifornii i jednocześnie z otaczającego ją dzikiego pejzażu. Na tle nagich ochrowych skał turkus wody w basenie zdaje się bardziej syntetyczny, stylizacje weselne jeszcze bardziej perfekcyjne, a hedonistyczny model życia bez jutra jeszcze bardziej jaskrawy. Bohaterowie chcieliby uciec także przed dniem wczorajszym. Sarah zaczyna jednak rozumieć, że taki twardy reset nie jest możliwy, tak jak nie da się uciec od zakłętej w skałach głębokiej przeszłości tego miejsca. Bo żeby zacząć całkiem nowy dzień, trzeba najpierw rozliczyć się z poprzednim. Albo przynajmniej z minioną nocą.

Życie w pętli z takiej odpowiedzialności zwalnia – czy wobec kuszących per-

spektyw uda się bohaterom z niej wysupłać? Warto przeczekać część napisów końcowych, gdyż dopiero w ich trakcie pojawia się ostateczna odpowiedź. Wcześniej trudno jednoznacznie stwierdzić, czy zakończenie przynosi nam rzeczywiście „kropkę z przytupem”, czy jedynie kolejny trzykropek.

Ten krotkochwilny i sprośny film nie jest zatem wcale aż tak błahy. Stawką wobec kolorowego życia na niby staje się tutaj życie naprawdę, choć na pierwszy rzut oka nie dalibyśmy funta kłaków za związek wiecznego Piotrusia Pana i dziewczyny, która uchodzi w rodzinie za czarną owcę. Pętla czasu pozwala im właściwie na wszystko: umierać i zmartwychwstawać, zabijać i wskrzeszać, czekać na ten pierwszy raz i jednocześnie rozpamiętywać te minione, pakować się w kolejne tarapaty i zaczynać wszystko od zera. Czyni to z filmu coś na kształt zabawkowej kolejki, która za każdym okrążeniem napotyka coraz to nowe przeszkody i spektakularnie się wywraca.

Chwilami działa też „Palm Springs” niczym ów „koks” chyłkiem wciągany podczas weseliska. Jednak precyzja scenariusza oraz szelmowski wdzięk Milioti i Samberga nie pozwalają na całościową wywrotkę. Albowiem reżyser – i za to mu chwała – trzyma to szaleństwo mocno w garści. ©

PALM SPRINGS – reż. Max Barbakow. Prod. USA 2020. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 26 lutego. Wcześniej planowane są pokazy przedpremierowe.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Fabryka niczego



Dramat/musical, reż. Pedro Pinho, Portugalia 2017, mojeekino.pl, 17 II, 20.00 – 19 II, 20.00
W ramach przeglądu

„Kino kryzysów”, organizowanego przez CSW Zamek Ujazdowski, pokazana zostanie przedziwna hybryda kina i zaangażowanego społecznie eseju, nagrodzona przez krytyków w Cannes. Likwidowany zakład pracy staje się tu sceną protestu, politycznych dyskusji, ale także musicalowych występów w wykonaniu zwalnianych robotników.

2. Dwa tygodnie na miłość



Przegląd, krakowfilmfestival.pl, do 28 II

Bez walentynkowego lukru mówią o uczuciach filmy z Krakowskiego

Festiwalu Filmowego. W zestawie są dokumenty: „Miłość bez granic” Hasana Oswald, „Zakończę się” Kalea La Belle’a, „Miłość bezwarunkowa” Rafała Łysaka i „Mój wróg, moja miłość” Krzysztofa Langa oraz etiuda fabularna „Ukaszanie” Heleny Oborskiej i animacja „Portret Suzanne” Izabeli Plucińskiej według opowiadania Rolanda Topora.

3. Dzień z życia 2020

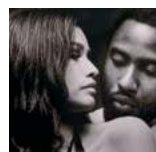


Dokumentalny, reż. Kevin Macdonald, Mário Filipe Neves, YouTube

Jak zapisać się 25 lipca 2020 roku w obiekty-

wie zwykłych mieszkańców naszego globu? Szkocki reżyser powraca do projektu dokumentalnego sprzecz dekady. 324 tysiące amatorskich filmików ze 192 krajów w 65 językach złożyło się na mozaikę chwil i przeżyć, wpisaną w kontekst pandemii czy ulicznych demonstracji ruchu Black Lives Matter.

4. Malcolm i Marie



Dramat, reż. Sam Levinson, USA 2020, Netflix

Twórca serialu „Euforia” na podstawie osobistych przeżyć opowiada

o nadużyciach, stabościach i ranach zadawanych w intymnym związku. Przed nami brudny damsko-męski pojedynek i studium narcyzmu opakowane w elegancką dramę, choć nade wszystko aktorski popis w wykonaniu Zendayi i Johna Davida Washingtona.

JAN

Klata:

Podróż zimowa 2021



PO PANDEMII ŚWIAT JUŻ NIGDY NIE BĘDZIE taki sam. Najlepszy dowód posuwa się 10 kilometrów na godzinę korkiem samochodów na Zakopiance. 4-5 godzin z Zimowej Stolicy Polski do Miasta Królów Polskich. Ludzie pasjami lubią robić

wszystko razem, po prostu, razem się przemieszczać, razem wypoczywać, a następnie razem się przemieszczać w odwrotną stronę, wszystko w dwie i pół doby. Ludzie lubią masowo bić rekordy – wydawałoby się – nie do pobicia. Ludzie mają w sobie to coś, jednak, wspólnotowość fenomenalną, stadne odruchy ruchu w kierunku Zakopanego, zwłaszcza w chiński Nowy Rok oraz słowiańskie Walentynki.

Nasze zimowe Rio de Janeiro płonęło w weekendowe noce pośrodku lutego, skrzykiwały się spontaniczne uliczne tańce bez maseczek, heroicznie rozpraszane przez umundurowanych funkcjonariuszy, którzy widocznie nie lubią brzmienia hitów Zenka. Policja miała zresztą sporo zachodu z przenoszeniem pozbawionych przytomności urlopników z tro-tuarów w jakieś ciepłe miejsca. Gdyby to były protestujące kobiety, policjanci przeniesliby je od razu do Krakowa, a tak, niestety, po obudzeniu trzeba stać w korkach. Tak czy owak, naród energiczny i przedsiębiorczy nie dał się stłumić i przys-gasić w Zakopanem pandemii. Nie bez kozery wicepremier Jacek Kurski już od lat robi sylwestry w Zakopanem, a nie Żelazowej Woli, a kto jak kto, ale on dzierży różdżkę wykrywającą podziemne ciekły duszy polskiej.

Musimy sobie trochę posłodzić, nie ma co owijać w ba-welnię: po raz kolejny wyszło na jaw, że jesteśmy Jamajczy-kami Mitteleuropy, co tam Jamajczykami... okazaliśmy się nawet lepsi od Jamajczyków, gdyż nasze uliczne sound sys-temy rozgrzewają imprezę w temperaturze -15 stopni Cel-sjusza. Może bobsleistów mamy gorszych, ale za to dalej ska-czemy na dwóch deskach. Tacy z nas postułańscy piraci z Ka-raibów. Teraz szarża do domu, i wspomnień czar. Ale był ka-wał karnawału!

©

Lektor:

Świadek nieobojętny



■ Józef Czapski
ROZPROSZONE TEKSTY Z LAT 1923-1988.
Tom 1-2 Zebrali i notami
opatrzył Paweł Kądziała.
Biblioteka „Więzi”,
Warszawa 2020, ss. 432 + 430.

„PISMA ROZPROSZONE” to zazwyczaj ostatni tom dzieł zebranych, przeznaczony głównie dla najgorętszych wielbicieli danego autora. W tym przypadku jest inaczej, nie tylko dlatego, że edycji krytycznej dzieł zebranych Czapskiego dotąd nie ma. Te dwa tomy znakomicie wprowadzają w jego pisarstwo, pokazują wielostronność jego fascynacji, a przede wszystkim – czuły, wrażliwy i nigdy obojętny stosunek do świata i ludzi. To są teksty

rozproszone, ale nigdy błahe ani przypadkowe – bo Czapski po prostu takich nie pisał. Pierwsze wydanie tego zbioru ukazało się piętnaście lat temu, obecne poszerzono o kilkadziesiąt nowych pozycji, między innymi o korespondencje z Paryża, nadsyłane w latach 20. do krakowskiego „Czasu”, i o kilka artykułów z lat wojny, jak wstrząsająco powściągliwy reportaż „Aszchabad – Meszched”, o podróży z sześćdziesięciorgiem

uratowanych dzieci z Rosji do Iranu. Malarz i pisarz, autor dziennika, w którym obie jego życiowe pasje splotły się nierozdzielnie. Pacyfista i żołnierz, więzień Starobielska i strażnik pamięci o Katyniu. „Świadek epoki, jeden z tych, którzy swój czas współkształtują” – pisał o nim Jerzy Turowicz, a filozofka Jeanne Hersch zauwa-żała, że wiek XX Czapski przeżył „niemal zawsze tam, gdzie to, co ludzkie, było najokrutniej zaprzeczone”. Kilka dokumentów z tej książki ma wymiar symboliczny. „Raport z podróży podjętej przez hr. Józefa Czapskiego w celu odnalezienia kpt. Bronisława Romera z I Pułku Ułanów Korpusu Polskiego Dowbora-Muśnickiego” pochodzi z początku roku 1919; podobne poszukiwania, tym razem kolegów ze Starobielska, podejmie Czapski podczas następnej

wojny. Wtedy też, po klęsce powstania warszawskiego, napisze „List otwarty do Jacques’a Maritaina i François Mauriac”, czołowych postaci intelektualnego katolicyzmu francuskiego – nie doczeka się od nich odpowiedzi. I jeszcze świadectwa z końca lat 60. Najpierw deklaracja solidarności z zagrożonym zagładą Izraelem, napisana przez Czapskiego, jego siostrę Marię i Konstantego Jeleńskiego, wsparta przez Stanisława Vincenza, Aleksandra Wata i Kazimierza Wierzyńskiego. Potem tekst o marcowym antysemityzmie. I „Wystrzał wśród nocy” – rzecz o „Rosji braterskiej”, czyli o siódemce straceńców manifestujących na moskiewskim placu Czerwonym przeciw inwazji na Czechosłowację. Wspaniała to jest książka! ©P

PAWEŁ

Bravo:

W moralnych okopach



„POST TO ŚWIADOMA REZYGNACJA, PRZEŻYwanie utraty, a weganizm daje kompletnie inną obietnicę, mówi: nie jesz tego czy czegoś innego, ale wciąż masz radość, jesteś zaspokojony i szczęśliwy” – to słowa Marty Dymek, promotorki kuchni roślinnej, bodaj najślawniejszej w Polsce, ale przy tym, wedle mojego rozeznania, najsensowniejszej – co rzadko idzie w parze.

Pamiętam te słowa ze spotkania, na które festiwal Nowe Epifanie zaprosił mnie parę lat temu u progu Wielkiego Postu – im mniej ludzi go przeżywa i przestrzega, tym więcej przy tej okazji rozprawia o „niejedzeniu mięsa”.

Słowa niezbyt kontrowersyjne, ale potrzebne, żeby rozplątać to, co bezsensownie się płacze. Post to nie jest dieta. Owszem, na głębszym poziomie jest to okres i praktyka, gdy ciało przestaje być tylko manichejsko pogardzaną doczepką do nieśmiertelnej duszy, kiedy skupiając się na głodzie i wyrzeczeniu, człowiek dotyka pełni swojej osoby przez łączność z materialną, czasową postacią. Ale paradoks z uobecnieniem ciała w poście nie oznacza bynajmniej, że na piedestale stawiamy jego dobrostan rozumiany w kanonach aktualnych trendów medycznych i estetycznego dyktatu.

Manichejskie widzenie, ucieczka w moralistyczne okopy – tego, gdy wyprostuję plecy i okręcę się na kuchennym taborecie, widzę coraz więcej w miarę upływu lat między tamtą rozmową z Martą Dymek a nowym wywiadem, którego udzieliła kwartalnikowi „Nowy Obywatel”. Ten, zgodnie ze swoją linią programową, szukał w rozmowie z nią potwierdzenia przekonań o wzorcach żywieniowych jako środkach klasowego ucisku. „Mówienie, że ktoś dokonuje »złych wyborów żywieniowych«, sprawia, że umyka nam cały system, który do tych wyborów doprowadza. Kategoria »wolnego wyboru«, jeśli chodzi o jedzenie, jest mocno przewartościowana. Tak naprawdę jemy to, co sobie możemy wyobrazić, kupujemy to, co jest dostępne na półce, przygotowujemy to w taki sposób, na jaki mamy czas”.

Ech, ten lewicowy determinizm, a gdzie wolna wola? Owszem, każdy ją ma i jest suwerennym podmiotem moralnym, który odpowiada za siebie przed sumieniem lub Stwórcą, zależnie w co i jak wierzy. Ale na pewno nie przed internetowym świętoszkiem opieprzającym miliony nieznanym sobie ludzi za złe wybory, które wypychają ich w uzależnienie od masowej produkcji śmieciowego zarcia ze wszystkimi tego konsekwencjami „dla planety”, za co spotyka je zasłużona kara w postaci otyłości. Zdumiewająca jest kariera wypukłego brzucha i opasłego tyłka jako współczesnych

znaków pogardy i upodlenia: cech, które, owszem, obniżają znacznie atrakcyjność *stricto* seksualną, zastępującą nam wszelkie inne sposoby widzenia bliźniego.

Im łatwiej przyjmujemy jako oczywiste, że o tym, co jemy i jak jemy, da się rozmawiać – publicznie, nie prywatnie – w kategoriach moralnych, tym bardziej umyka nam sprzed oczu prosty fakt, że są to wybory polityczne. Nie partyjne rzecz jasna, tylko polityczne w ścisłym znaczeniu tego słowa: odnoszące się do sposobu zarządzania życiem zbiorowym, do ustroju gospodarczego i oferowanych przezeń możliwości godnego życia, a także wzorców tegoż życia, które państwo może wspierać lub osłabiać. Być obywatelem to znaczy też móc rozliczać instytucje swojej wspólnoty z tego, czy dobrze służą deklarowanym przez siebie celom. Oczywiście, instytucjom tym jest na rękę, że chętnie zapominamy o tym obowiązku, poprzestając w zamian na moralizowaniu, które budzi same przyjemne uczucia.

„Jak oni mogą jeść rybne paluszki?”, „Widziałeś skład sałatki, którą ta baba wzięła do koszyka?”, „Ja bym odbierała prawa rodzicielskie za dawanie dzieciom takiego syfu!”. Przypomina mi to częste ostatnio wywody na temat „katolicyzmu kulturowego”, czyli pustych kalorii duchowych, którymi wedle krytyków karmią się w Polsce masy i dzięki temu podtrzymują toksyczny i szkodliwy byt koncernu-Kościół. „Gdyby tylko klienci uświadomili sobie, że dostają śmieciową strawę duchową, to system by upadł” – mówią ci, którzy mają dość kapitału kulturowego i dostępu do rynku wszelakiego samodoskonalenia, by mieć wybór w zaspokajaniu potrzeby ładu i ukojenia przed lękiem istnienia bez uciekania się do – faktycznie przeżartych zepsuciem i pychą – instytucji. Obawiam się, że złorzeczą na bliźnich równie bezsilnie jak ci, którzy się ludzą, że sykiem i pogardą namówią kogoś, żeby odstawił colę i kupił sok z marchwi. ©P

„Przed nami stoi miska soczewicy / i w ciemność psalmu pochyla się ciało” – ten wers Tadeusza Nowaka dobrze oddaje tajemnicę tego, jak ze skromnego uważnego jedzenia uczynić swoistą modlitwę, w której odnajdujemy pełnię siebie tu i teraz.



Soczewica pasuje zresztą do przedświątecznego, który chronologicznie zbiega się z Wielkim Postem. Trudno z niej wymyślać cuda, ale jest niezawodna w syceniu ciała. Oto zwykłe danie pasta e lenticchie – w którym skrobia wzmocni wartość odżywczą. Dusiśmy pomatu kilka minut na oliwie drobno posiekaną **cebule, marchew, seler naciowy i ząbek czosnku**. Dodajemy **200 g opłukanej soczewicy, pół szklanki przecieru pomidorowego** i dolewamy **gorący bulion warzywny (albo wodę)**, żeby przykrył całość na 1 cm. Gotujemy pod przykryciem

na wolnym ogniu, aż soczewica zmięknie (ok. 45 min. – w razie czego dolewamy jeszcze bulionu). Potem dodajemy ok. **200 g drobnego, krótkiego makaronu**, dolewamy znów **bulionu albo wody** i gotujemy tak długo, jak podaje producent. Gasimy ogień, dosypujemy **dwie garści parmezanu**, dolewamy jeszcze trochę płynu (jeśli ktoś woli konsystencję zupy, a nie papki). Standardowy przepis zakłada dodatek **boczek** lub pokrojonej **śłonki**, jeśli się wam to nie kłóci z postem, spróbujcie.

METANOJA

Pierwsze zimowe wejście na K2 symbolicznie zamyka epokę alpinizmu heroicznego. A w dużej mierze również urojonego – tak jak chybiona jest sama wizja góry jako wroga czy też łupu.

MAREK RABIJ

Udręka bez ekstazy

FOTOGRAFWIE NAZYWAJĄ TEN CZAS ŻŁOTĄ GODZINĄ. SŁOŃCE kładzie się powoli na horyzont, a światło mięknie, podkreślając detale i kontrasty.

Alpiniści też mają taki magiczny moment, gdy po przejściu zimnej i zacienionej ściany dociera się wreszcie na łatwiejsze stoki podszczytowe skąpane w pomarańczowej poświacie. Skostniałe ciało łapczywie chłonie ostatnie strzępki słonecznego ciepła. Nerwy i mięśnie, napięte od kilkunastu godzin, właśnie teraz mają chwilę na regenerację przed stresem najniebezpieczniejszego etapu wspinaczki, jakim jest niemal zawsze zejście. Do szczytu pozostaje tylko kilkaset metrów nietrudnym i zwykle dość bezpiecznym terenem.

To czas euforii. Przyznawał to nawet nieskory do wzruszeń Jerzy Kukuczka. „W momencie, kiedy staje się na wierzchołku, nie ma wybuchu szczęścia – szczęście przeżywa się, gdy wszystko pozostaje jeszcze przed tobą, kiedy wiesz, że do celu masz jeszcze kilkaset, kilkadziesiąt metrów, gdy jesteś tuż przed”.

Na słynnym nagraniu z pierwszego zimowego wejścia na K2 ostatnie metry do szczytu Nepalczycy pokonują niemal ręką w rękę, do tego śpiewając hymn. Na drugim planie gigantyczna piramida Czogori – to lokalna nazwa tej góry – rzuca zimny cień na lodowiec Godwina Austena i poniższe wierzchołki. Pogoda jest idealna, niemal bezwietrzna, co o tej porze roku właściwie się nie zdarza.

„My, Sierpowie, czerpiemy radość z pobytu w górach, ze wspinania się, w końcu ze zdobywania szczytów. I dla nas naprawdę nie jest najważniejsze, czy robimy to z tlenem, czy bez. Najważniejsza jest miłość do gór” – napisze kilka dni po historycznym wejściu jeden z jego uczestników, Mingma G, w reakcji na słowa polskiego wspinacza Adama Bieleckiego, który umniejszył rangę wyczynu Nepalczyków – bo część z nich oddychała tlenem z butli.

Można dyskutować, ile było w wypowiedzi Mingmy G szczerego, niemal dziecięcego zachwyty dla gór, a ile koniunkturalnego doboru argumentów pod bronioną tezę. Pewne jest jedno. Zabrzmiała ona – jeśli można tak powiedzieć – bardzo nieeuropejsko.

Czy alpiniści w ogóle lubią góry? W literaturze spod znaku liny i haków po wielokroć padają deklaracje miłości, lecz nie od dziś wiadomo, że głębokim uczuciom bliżej często do fatalnego zauroczenia niż szczerzej sympatii i zdrowego partnerstwa. Wsluchując się w słowa najwybitniejszych przedstawicieli tego cechu, można dojść do wniosku, że najbliższa prawdy będzie jednak odpowiedź przecząca.

Sir Chris Bonington, legendarny brytyjski wspinacz, porównywał wręcz siebie i kolegów do „biegającego w kółko udręczonego i skołowanego byka, który na widok czerwonej płachty, jaką jest skała, nie może powstrzymać się od ataku”. Wyraźnie słychać w tych słowach potrzebę nieustannego przełamywania własnych ograniczeń, a nawet narkotyczną chęć odczuwania zagrożenia; być może sir Chrisa, dyplomowanego czołgistę po słynnej Royal Military Academy w Sandhurst, zyczajnie nie stać na dokładniejszą wiwisekcję własnych relacji z górkim światem.

Stosunek Boningtona do areny, na której przyszło mu prowadzić nierówną walkę z samym sobą, jest za to bez wątpienia reprezentatywny dla większości alpinistycznej elity. Dla Walta Unswortha, innego prominentnego przedstawiciela brytyjskiej sceny wspinaczkowej lat 60. i 70., alpinizm był rodzajem fatalnego pojedynku, w którym człowiek „może liczyć w najlepszym razie na remis”. O rzadkich, za to niemal zawsze „niepotrzebnych zwycięstwach” w konfrontacji z naturą pisał też w słynnej autobiografii Lionel Terray, jedna z najważniejszych postaci złotej ery powojennego alpinizmu francuskiego.

Czym więc są góry dla ludzi gotowych ryzykować w nich życie? Tylko statystami w tytułowym flircie z Czarną Panią z opowiadania autorstwa legendy polskiego taternictwa, Jana Długosza? A może jeszcze gorzej – zimną materią, którą ożywia dopiero dokonujący się na niej akt wspinaczkowego stworzenia? Na górskich forach nie ma wielu miłośników łaciny (powiedzmy uczciwie: nie ma ich dziś wielu w ogóle), ale tu nie trzeba szerzej tłumaczyć przypisywanej Hannibelowi maksymy: *inveniam viam aut faciam*. Albo znajdę drogę (o ironio, przez Alpy), albo ją sobie stworzę.





*Droga na Lhotse,
na wysokości 7500 m n.p.m.,
Nepal, maj 2012 r.*

→ Wspinaczkowy słownik, zwłaszcza w polskiej wersji, roi się za to od terminologii militarnej. Alpinisci rzadko po prostu wchodzą na szczyt, za to nagminnie go zdobywają, do tego najczęściej w „ataku szczytowym”. Góry zazwyczaj „poddają się zdobywcom”, najczęściej po przejściu ściany czy też grani, która „pada” pod naporem ich umiejętności i determinacji. Jedynie kluczowe trudności poszczególnych partii, nie doczekawszy się „rozwiązania”, dołączają z czasem do listy „największych wspinaczkowych problemów” Alp, Himalajów czy Karakorum. Trudno w zasadzie oczekiwać innej retoryki, skoro sama definicja wspinania mówi o „zdobyciu ścian i szczytów bez względu na napotymane trudności”.

A przecież ci sami alpinisci potrafią nazywać niektóre z tych „problemów” z niemal poetycką czułością. „Świetlista ściana” Gasherbruma IV. „Magic Line” biegnąca eleganckim filarem oddzielającym południowe zbocza K2 od wybitnej zachodniej ściany. „Królewski trawers” przez Dômes de Miage i Aiguille de Bionnassay w kierunku kopuły szczytowej Mont Blanc oraz wagnerowski „Trawers bogów” w górnych partiach drogi klasycznej na północnej ścianie Eigeru. Nazwa relatywnie nowej drogi „Pachniesz brzoskwinia” na Kopie Spadowej w polskich Tatrach również pięknie oddaje emocje, jakie jej twórca niósł w kierunku wierzchołka. Te rzadkie deklaracje czułości toną jednak w kulturowanym przez środowisko zamiłowaniu do obsceniczności, które swego czasu podsuwało autorom skalnych dróg nazwy w rodzaju „Dupa biskupa” czy „Ślady zębów na kaszance”. Wspinanie w klasycznym europejskim wydaniu ma być zabawą dla chłopaków, a ci, jak wiadomo, nigdy nie płaczą.

Zwłaszcza wtedy, gdy czynią sobie ziemię poddaną.

Mallory w każdym z nas

Mieszkający u jej stóp ludzie z plemiona Gurung nigdy nie nadali jej imienia. Nepalczycy zwą ją Mačhapučhre, co można przetłumaczyć jako „Rybi ogon” – choć charakterystyczny trapezowaty kształt kopuły szczytowej z granią rozpiętą pomiędzy dwoma wierzchołkami staje się widoczny dopiero wtedy, kiedy omija się górę wędrując w stronę pobliskiej Annapurny.

Niespełna siedmiotysięczny Mačhapučhre (6993 m n.p.m.) pozostaje najwyższym niezdobytym oficjalnie szczytem Nepalu – choć już w 1957 r., cztery lata po pierwszym wejściu na Mount Everest, u jego stóp pojawiła się brytyjska wyprawa wojskowa pod kierownictwem Jamesa Robertsa. Śmiałości wybierających się tam, gdzie wedle wierzeń Nepalczyków mieszka sam Śiwa, jedna z najważniejszych figur hinduistycznego panteonu, przyjął w swoim pałacu król Mahendra. Audycja nie była czystą kurtuazją; władca zamierzał wymusić na Brytyjczykach przyrzeczenie, że nie zbrukają świętego szczytu swoimi stopami.

Kilka tygodni później dwaj uczestnicy wyprawy Wilfrid Noyce i David Cox pomimo dobrej pogody i niezłego samopoczucia zatrzymali się około 50 metrów poniżej wierzchołka. Kulminacja ośnieżonej grani szczytowej opadającej stromo w obu kierunkach była tak krucha i zarazem elegancka, że obaj wspinacze doszli zgodnie do wniosku, że brutalny i nieprzewidywalny Śiwa nie może mieć z nią nic wspólnego. To sama góra wydała im się boginią.

„Zdecydowaliśmy, że właśnie tutaj dwóch szanujących się żonatych mężczyzn powinno zostać jej burzliwej prywatności i zejść na dół. (...) Zakopałem nepalską flagę oraz Union Jack i zacząłem wbijać hak do zjazdu. W tym momencie, w pa-

dającym śniegu, David uznał, że nadszedł czas, aby zapalić fajkę” – pisał potem Noyce w relacji dla „Alpine Journal”.

W 1980 r. na szczycie Mačhapučhre stanął prawdopodobnie nowozelandzki wspinacz Bill Denz, na którym nie zrobiły wrażenia ani wierzenia miejscowej ludności, ani oficjalny zakaz wspinaczki na tę górę, wydany przez władze Nepalu. Słynne zdanie Mallory’ego, który pragnienie zdobycia Everestu uzasadnił samym jego istnieniem, kolejne pokolenia wspinaczy zmieniły w karykaturę.

Nie ma chyba aktywności, która lepiej od wspinaczki korespondowałaby z europejskim uwielbieniem dla indywidualizmu i pragnieniem ekspansji. Narodziny samego alpinizmu zbiegły się zresztą w czasie z epoką rewolucji przemysłowej, która po raz pierwszy w dziejach ludzkości odważyła się zakwestionować prymat natury nad człowiekiem. Złota era himalaizmu nałożyła się z kolei na epokę podboju kosmosu i znikania ostatnich białych plan z mapy świata.

Być może stanowi to również wyjaśnienie dla zadziwiającej nadreprezentacji umysłów ścisłych i technicznych wśród najlepszych alpinistów i himalaistów wszech czasów. Reinhold Messner (geodeta). Jerzy Kukuczka (po technikum górniczym). Erhard Loretan (cieśla). Krzysztof Wielicki, Wanda Rutkiewicz, Wojciech Kurtyka (elektronicy). Andrzej Zawada (fizyk). Zygmunt Andrzej Heinrich (inżynier budownictwa). Denis Urubko i wspomniany już Chris Bonington (żołnierze zawodowi). Alex MacIntyre (geodeta i ekonomista). Jeśli odliczyć z tego grona zawodowych ratowników i przewodników górskich (jak Gaston Rebuffat, Lionel Terray, Hermann Buhl czy Ricardo Cassin, a ostatnio także Ueli Steck czy Simon Anthamatten), przy najgłośniejszych dokonaniach alpinistycznych najczęściej pojawia się nazwisko osoby związanej zawodowo ze światem nauk ścisłych, ewentualnie logistyka.

Ich „niepotrzebne zwycięstwa” nad naturą w wymiarze indywidualnym były oczywiście wiktoriaми w setkach wewnętrznych bitew z własnymi słabościami i strachami, niemal ludzko podobnymi do ideału starogreckiej przygody, która kała poznać samego siebie w obliczu nieznanego. Jednocześnie – co widać chociażby po słownictwie – pozostawały konfrontacją z naturą pojmowaną niemal zawsze jako przeciwnik, w najlepszym razie żywioł do poskromienia. A stąd był już tylko krok do działania na skróty, z użyciem całego arsenału inżynierii, włącznie z tlenem w butlach, środkami pobudzającymi na bazie amfetaminy, które zażywał Hermann Buhl podczas pierwszego wejścia na Nanga Parbat, a nawet dynamitem!

W 1954 r. argentyńska wyprawa wojskowa na niezdobyty jeszcze ośmiotysięczny Dhaulagiri tak bardzo chciała wrócić z sukcesem do ojczyzny, że miejsce pod obóz na wysokości ok. 7000 m n.p.m. postanowiła wymościć sobie za pomocą materiałów wybuchowych. Ciekawe, co powiedziałby na to jeden z XIX-wiecznych pionierów alpinizmu Albert Mummery, który podczas jednej z prób, zatrzymany przez gładką granitową płytę, zostawił u jej stóp list w butelce dla kolejnych zdobywców, że to część drogi „*absolutely inaccessible by fair means*”. Nie do pokonania w uczciwy sposób.

Sztuka cierpienia

Alpinisci od dawna podświadomie odczuwali absurd założenia, że w starciu z siłą natury człowiek może prowadzić walkę na własnych warunkach. Chyba najdosadniej spuentował to jed-

nym z wielu słynnych powiedzonek Don Whillans, wieczne *enfant terrible* brytyjskiego świata wspinaczkowego. „On jest przekonany, że jest alpinistą światowej klasy. Ty w to wierzysz. Ja mam wątpliwości. Tylko czy, do cholery, ktoś pofatygował się, żeby powiedzieć o tym górze?” – miał stwierdzić Whillans na wieść o tym, że jeden z koryfeuszy brytyjskiej wspinaczki wybiera się na niezdojdyty do tej pory szczyt i tylko z tego powodu ogłosił już właściwie zwycięstwo.

Najwybitniejsi wspinacze – to już obsługa Jima Curana, brytyjskiego alpinisty, a raczej wspinającego się pisarza i filmowca – mają zadziwiającą skłonność do przypisywania sukcesów wyłącznie swojej intuicji, umiejętnościom oraz wytrzymałości. Porażki cedują natomiast na konto nietrafionej prognozy pogody, problemów logistycznych, sporów z partnerami.

W tej optyce wspinanie staje się aktem zredukowanym właściwie do konfrontacji z trudnościami skalnymi i lodowymi. Wszystko, co bezpośrednio nie ma wpływu na ich pokonanie, przestaje mieć znaczenie. Stąd tony śmieci rozrzuconych co roku przez niefrasobliwych herosów od bocznych moren lodowców, na których stawiają bazy, aż po partie podszczytowe ośmiotysięczników. Stąd także opowiadki o „lodowych wojownikach”, wirtuozach „sztuki cierpienia”, którymi karmi się widownię w dolinach, byle przynęcić sponsorów dla kolejnej wyprawy.

Polscy alpinisci, przez dekady odcięci od wolnego rynku, nauczyli się reguł tej gry szybko, choć nie bez początkowych trudności. W popularnym w środowisku opowiadaniu „Nagós” Artur Paszczak, uczestnik głośnej wyprawy na patagoński szczyt Cerro Torre z 1996 r., skreślił portret, a raczej karykaturę tego pierwszego w pełni komercyjnego przedsiębiorstwa wspinaczkowego w Polsce, sponsorowanego przez firmę PepsiCo.

„Rozpoczęła się przygotowana naprędce konferencja prasowa. – Pamiętajcie – pouczał alpinistów menedżer Polo-Cocty – macie często używać słów ekstremalny i maksymalny. Pamiętajcie! (...) – Nie no – wtrącił się Pogromca – tam to teraz jest lato, słońeczko świeci i jest bardzo przyjemnie. (...) – No tak, ha, ha – zadowcipkował przedstawiciel Polo-Cocty – nasi bohaterowie są skromni, ale nie zapominajmy, że będą musieli kopać sobie śnieżne jamy, aby przetrwać mróz i nawałnice! – Nie no, żaden wyczyn – odparował niezrażony Pogromca – w takiej jamie jest komfortowo i ciepłutko, rozebrać się można... – No, ale szczyt jest tak niedostępny! – A gdzie tam, jest na niego całkiem łatwa droga, którą można sobie wejść. – ...dziękujemy Państwu za przybycie – przerwał mu pobladły rzecznik prasowy Polo-Cocty – nasi alpinisci muszą już udać się na samolot! Do widzenia! – Ja jeszcze chciałem dodać – wysunął się Pogromca – że my jedziemy na Nagósia, bo tam jest maksymalnie daleko, ekstremalnie trudno i pięknie na maksa!

Rzecznik osunął się na krzesło i jęknął: – Weźcie go, kurwa mać... – Nieoczekiwanie zgąsło światło i konferencja musiała się zakończyć. Dziennikarze z wrzaskiem rzucili się na przygotowane żarcie, natomiast wyprawa sprawnie udała się do wyj-

Wspinanie w klasycznym europejskim wydaniu niemal

zawsze ma być zabawą dla chłopaków,

a ci, jak wiadomo,

nigdy nie płaczą.

Zwłaszcza wtedy,

gdy czynią sobie ziemię

poddaną.

ścia. Tam dogonił ich jeszcze rozdygotany menedżer Polo-Cocty: – Panowie, ja was błagam: wejdźcie na cokolwiek”.

Arena wewnętrzna

Młode pokolenie polskich wspinaczy, które w styczniu tego roku – w chwili historycznego ataku szczytowego na K2 – bawiło na zgrupowaniu w rejonie Morskiego Oka, będzie pierwszym, które będzie mogło naprawdę wspiąć się „na cokolwiek”. Osiągnięcie Nepalczyków zamyka bowiem w symboliczny sposób epokę alpinizmu eksploracyjnego, z – co raz krótszą wraz z upływem czasu – listą celów obligatoryjnych.

Wciąż nie brak oczywiście szczytów i ścian nietkniętych ludzką stopą, zwłaszcza w zimie, żaden z tych celów nie będzie już jednak skupiać na sobie takiej uwagi, jaką cieszyły się wcześniejsze wyprawy po pierwsze wejście. W latach 30. zeszłego wieku mordercze zmagania kolejnych ekip o tytuł pierwszego zdobywcy północnej ściany Eigeru ściągały do Grindenwaldu dziennikarzy i gapiów z połowy Europy; dziś pokonanie tej ściany zasługuje najwyżej na notkę w serwisie wspinaczkowym.

Niemal środkiem północnej ściany Eigeru biegnie droga poprowadzona w 1991 r. przez Amerykanina Jeffa Lowa. Ponad 1800 metrów, z asekuracją w parszywej skale i o ekstremalnych trudnościach – pokonanie tej drogi samotnie, do tego w wymagających zimowych warunkach, zajęło jej autorowi aż dziewięć dni. Low przechodził wówczas przez ostry życiowy zakręt, był praktycznie bankrutem i część znajomych była wręcz przekonana, że szalone wyzwanie, które rzucił górze, było *de facto* próbą samobójczą.

Jakimś cudem Low przeżył. Doświadczenia z tej wspinaczki odcisnęły na nim tak głębokie piętno, że nazwał je z grecka metanoją: przeżyciem, które skutkuje diametralną zmianą stosunku do życia. „Metanoja” Lowa, już jako droga o takiejże nazwie, czekała na powtórzenie aż 26 lat. Zespół wyśmienitych alpinistów, który dokonał tego pod koniec 2017 r., nazwał swoją wspinaczkę przejściem „na krawędzi”.

Z pewnością za wcześniej na wizję kierunku metanoi, która czeka alpinizm. Nie wiadomo na przykład, czy ocieplenie klimatu nie zmieni Alp, Himalajów i Karakorum w miejsca nie nadające się do wspinania. Być może niektóre ściany i szczyty będą dostępne jedynie zimą – tak jak już dziś jest z częścią historycznych dróg alpejskich pokonanych po raz pierwszy w sezonie letnim.

Nieco wyraźniejsza wydaje się za to wizja stylu, w jakim będą próbowali działać ambitni wspinacze. Kameralne, czasem wręcz jednoosobowe przedsięwzięcia (już nie wyprawy), realizowane z minimum sprzętu i symbolicznym wsparciem logistycznym, za to z poszanowaniem dla środowiska, czasem połączone z dodatkowymi celami pozawspinaczkowymi – jak realizacja filmu czy zbieranie danych do badań naukowych. Kierunek wyznaczali tu już pionierzy, jak Stefan Glowacz i Mick Fowler. Wspinacze, którzy w górach walczą ze sobą, próbując znaleźć harmonię ze światem, do którego wkroczą.

W gruncie rzeczy byłby to powrót do korzeni alpinizmu.

© MAREK RABIJ

STANISŁAW

Mancewicz:

Ciekawostki dla dzieci



OD PRAWA DO LEWA, JAK JEDEN MĄŻ, SIEDZIMY sobie dziś w kasynach, a to tasując karty, a to rzucając kostkami, a to kręcąc złotym kurkiem ruletki, i stukając się przy tym kielichami. Urzędujący minister zdrowia uznał bowiem kasyno za miejsce sterylne i bezpieczne, za ośrodek w kształcie jakby szpitala. Zupełnie niespodziewanie zatem, dzięki rewolucyjnej decyzji o otwarciu kasyn w czasie szalejącej epidemii, p. Niedzielski wbiegł równocześnie i do powszechnej historii medycyny, i także do historii hazardu. Z rękoma wzniesionymi, zdaje się, w geście triumfu, a nie poddawania się bynajmniej naciskom kogokolwiek z branży gier losowych. Brawo, gratulujemy i pałamy po polsku zawiścią. Żyjemy też nadzieją, że ten przypadek stanie się w przyszłości, gdy p. Niedzielski nie będzie już urzędnikiem państwowym, tematem poważnych badań, analiz i ciekawych opracowań. Sytuacja dojrzała do wyposażenia naszych kasyn w sławne już respiratory. Jak by powiedział niezłomny p. Morawiecki – świat na co dzień szuka w działaniach polskiego rządu inspiracji. W placówkach tego typu w Makau, w Monte Carlo, aż po Las Vegas, inspiracje polskiego rządu muszą budzić dziś szok i niedowierzanie.

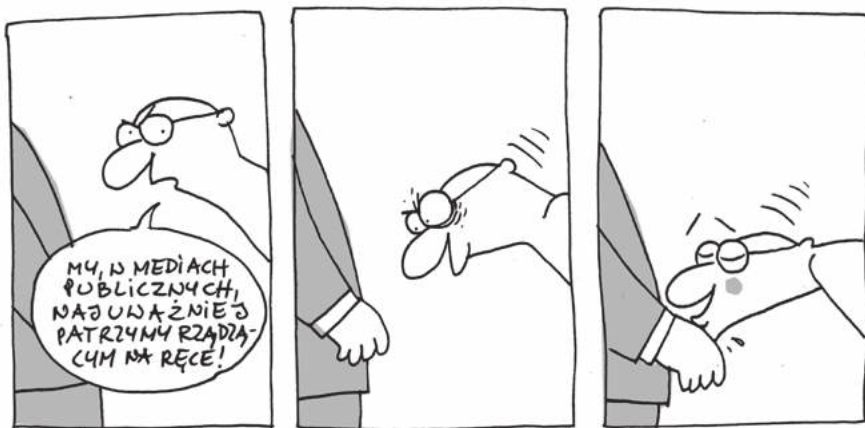
Idźmy dalej. Zauważmy, że po wielu latach doświadczeń – to druga dzisiaj ciekawostka – wśród tutejszej ludności panuje żelazne przekonanie, że p. Kaczyński cokolwiek robi bądź nie robi, nie musi się z nikim liczyć. Określenie z nikim, choć pozornie wygląda na figurę publicystyczną, jest określeniem bardzo precyzyjnym i rzeczywiście znaczy z nikim. Na planecie Ziemia. Gdy teraz – przeczytawszy to, co powyżej – zapanujemy nad emocją złą lub dobrą i oddamy

się na przykład jodze bądź morsowaniu w samym staniku, musimy myśleć tę zaktualizować. P. Kaczyński nie musi się z nikim liczyć prócz p. Gowina. Jest to – powiedzmy sobie szczerze – okoliczność zupełnie kapitalna, wywołująca dudniący śmiech w każdym kasynie, w którym się teraz pije na umór i szaleńczo tańczy do rana. Te serdeczne objawy wynikają z mnogości pomieszania i stu dysonansów. Dużo by tłumaczyć i po krakowsku dzielić jednogroszówkę na ćwiartki, więc może wypada powiedzieć po prostu: poza p. Kaczyńskim nikt z p. Gowinem liczyć się dziś nigdzie nie musi, od Makau po Las Vegas, od Giewontu po Mierzeję Wiślaną i od Lenino do Berlina. Nie tylko w sprawie wolności słowa, której p. Kaczyński nie lubi. Ot choćby dlatego, że partia, której jest – lub, jak ktoś woli: nie jest – przywódcą p. Gowin, po prostu nie ma wyborców. To znaczy ma, ale bardzo mało. Doprawdy, gdy czytamy te słowa, gdy wyobrażamy sobie minę p. Kaczyńskiego, który musi i tych wyborców, i ich reprezentantów w Sejmie, na palcach dwu rąk w kółko zliczać, brzuch trzęsie się nam ze śmiechu. Trzęsie się on tak mocno, że niestety sąsiedzi stukają miotłami w sufit, byśmy się jednak przymknęli, wołają do nas przy tym, że oto kto się śmieje, ten się śmieje ostatni. Tak czy owak, jest to – za przeproszeniem – megaciekawostka i nikt nie wie, co z niej wyniknie. Wyborcom p. Kaczyńskiego wypada zacytować od zawsze niezwykłego p. Morawieckiego: „Trzeba było pójść na wybory. Tłumniej”. Wtedy p. Gowin by nie bruździł i mógłby wrócić na Ziemię Krakowską do organizowania „Dni Tischnerowskich” bądź uprawiania tu działalności na dowolnej niwie.

Trzecia dziś ciekawostka, wyselekcjonowana z co najmniej tuzina, także dotyczy p. Gowina i poniekąd też p. Kaczyńskiego. Wiadome publikatory z emfazą podają, oczywiście nie bez kozery, plotę, że mianowicie p. Gowin utrzymuje nie-
sporadyczne stosunki towarzyskie z p. Tuskiem. To oznacza – ni mniej, ni więcej – tylko zdradę główną. Nic lepiej nie ilustruje poziomu owych publikatorów, sytuacji państwa polskiego i poziomu ludzi u władzy. Poziomu władzy szczególnie. Każdy, nawet z rzadka trzeźwy obywatel wie, że granice infantyilizacji polskiej polityki przesuwają od lat p. Kaczyński, zaiste wydaje się, że terytoria zdziecinienia są w Polsce nie-
zmierzone.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.



i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

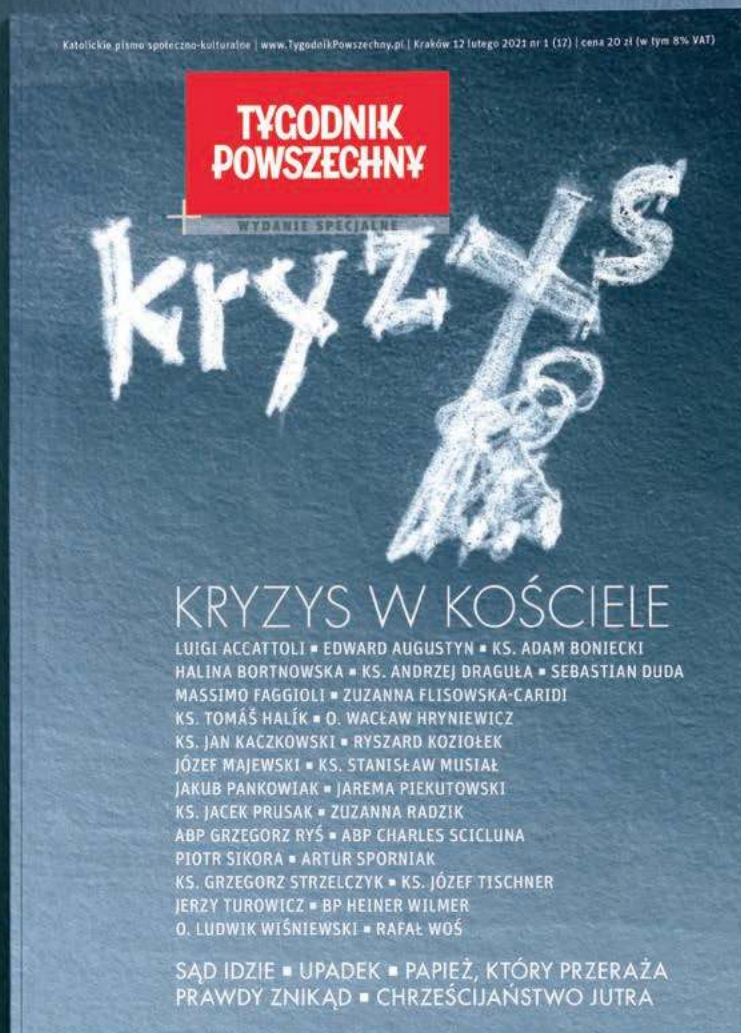
Wydanie specjalne KRYZYS W KOŚCIELE

Już w sprzedaży!

Kiedy się wydaje, że pod lawiną ujawnionych skandali Kościół jeśli nie umarł, to właśnie umiera, papież Franciszek, jak Jezus do żałobników w domu Jaira, mówi: „Nie płaczcie, nie umarła dziewczeczka, ale śpi”.

Ks. Adam Boniecki

Skandale obyczajowe i nadużycia związane z systemem władzy w Kościele, flirty z polityką, błyskawicznie przyspieszająca laicyzacja, pełzająca rebelia przeciwko reformującemu Kościół papieżowi Franciszkowi, a także poszukiwanie dróg wyjścia i wizja chrześcijaństwa przyszłości – to tematy kolejnego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego”. Wśród autorów, ekspertów i rozmówców „TP” – najwybitniejsi komentatorzy życia Kościoła z Polski i ze świata, watykaniści, hierarchowie, teologowie i reporterzy, a bieżące komentarze dopełniają klasyczne teksty autorstwa m.in. Jerzego Turowicza i ks. Józefa Tischnera.



„Kryzys w Kościele” – już w sprzedaży w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/kryzyswkosciele

weź, czytaj!